WSPOMNIENIA OBOZOWE

z r. 1863 i 1864.

napisał

ZYGMUNT NAPOLEON KRZYWDA.

LWÓW.
NAKŁADEM AUTORA.
1883.

WSPOMNIENIA OBOZOWE

z r. 1863 i 1864.

napisał

ZYGMUNT NAPOLEON KRZYWDA.

LWÓW.
NAKŁADEM AUTORA.
1883.

301754

179752



Długie lata żałoby, smutku i zwątpienia upłynęły od chwili, w której naród polski podniósł ponowny, krwawy protest przeciw stuletnim bezprawiom, przypominając światu nieprzedawnione swe prawa.

Przycichły namiętności stronnicze, a wypadki z lat 1860—1864 przechodzą zwolna w dziedzinę historji, gdzie — da Bóg — doczekają się spokojnej krytyki, sumiennego ocenienia i wyroku dziejów — wyroku, wolnego od namiętnego zaślepienia i brzydkich zawiści!

Ogrom pracy ciężkiej, mozolnych poszukiwań czeka historyka tych smutnych, tragicznej grozy wypadków i bodaj czy wypadki te we wszystkich swoich przejawach, pomimo najsumienniejszych badań w zupełności będą wyjaśnione.

Długi szereg czynności organizacyjnych, mających na celu przygotowanie i wzniecenie ruchu zbrojnego — czynności dokonywanych tajemnie, na całym obszarze krajów polskich — nie tak łatwo da się pochwycić oku badacza, przy braku źródeł, wolnych od inwazji wroga. Pisma, broszury, i pamiętniki, dotyczące ostatniego naszego powstania, o ile dotychczas zostały drukiem ogłoszone, rzucają słabe zaledwie światełko na całość sprawy, pełnej epizodów charakterystycznych. Dokumenta Rządu Narodowego mogłyby wprawdzie wyjaśnić wiele wypadków, a co do czynno-

ści organizacyjnych, nawet posłużyć do wytworzenia dostatecznego poglądu na całość, ale czy dokumenta te istnieją w całości? A jeśli istnieją, czy wolne są od braków i niedokładności, zwłaszcza, że ostrożność przed policją wroga nakazywała wiele rzeczy opuścić, ukryć lub zniszczyć....

Historja powstania z r. 1863/4 przedstawia jeszcze więcej trudności, niż określenie czynności organizacyjnych i administracyjnych Rządu Narodowego.

O ile to było możliwem ze względów ostrożności i bezpieczeństwa, spostrzegamy w działaniach Rządu Narodowego związek organiczny i ład, któregobyśmy napróżno szukali w działaniach wojennych.

Rząd Narodowy przedstawia zcentralizowaną korporację, działającą dość regularnie i dla tego wzajemne porozumienie się członków Rządu w kwestjach zasadniczych mogło zawsze nastąpić. Jednolitości tej brakuje właśnie działaniom wojennym.

Samoistne oddziały powstańcze, walcząc w kraju, w którym każde najmniejsze miasteczko, a nawet i wiele wsi posiadało liczne załogi moskiewskie — nie mając żadnego punktu oparcia, ścigane ustawicznie przez siły zawsze przeważające, musiały działać na własną rękę — doryw-czo. — Dziś rozbite lub rozwiązane, zbierały się nazajutrz w innem miejscu, dopóki nie znikły z teatru walki, jużto w skutek śmierci lub ran jednej części żołnierzy, już w skutek niewoli, chorób, zwątpienia i wychodźtwa reszty.

Można sobie łatwo wyobrazić, z jakiemi trudami połączone jest napisanie gruntownej i sumiennej historji podobnej wojny. Nie mieliśmy sztabu jeneralnego, nie mieliśmy kancelaryj wojennych, w których zbierać by się mogły wiado-

mości z pola walki. Ówczesne gazety, często bardzo mylnie podawały opisy bitew — nie mówiąc już o nikczemnych biuletynach *Dziennika Warszawskiego*, którego podły serwilizm postawił sobie za zadanie: zohydzić nas w oczach świata — okradziony, zrabowany naród nasz nieszczęsny obedrzeć jeszcze z tego uroku bohaterstwa i sławy wojennej, któremi tak zaszczytnie odznaczają się nasze walki o niepodległość.

Według *Dziennika Warszawskiego*, oddziały powstańcze — to bandy opryszków pod wodzą hersztów, dla których szubienica powinna być nagrodą. Ale cóż nas obchodzić mogą oszczerstwa i fałsze nikczemnego dziennika? Czy sprawy naszej nie uświęca aureola męczeństwa? Czy świat nie potrafi już rozróżnić ofiary od zbójcy i czy ludzie rozsądni nie potrafią sobie wyrobić o ostatniej naszej walce pojęcia zdrowego, wolnego od fałszu, kłamstwa i złej wiary?

Niestety! Opinia *Dziennika Warszawskiego* i innych pism moskiewskich o powstaniu styczniowem, ma zwolenników nietylko między Moskalami! Za granicą, propagowana przez dzienniki, pozostające na żołdzie moskiewskim, zdołała obałamucić wiele umysłów, rzeczy nieświadomych — nie mówiąc o tych indywiduach, które oceniając trafnie wypadki, tłumaczyły je fałszywie z rozmysłu. Błąd zagranicy da się usprawiedliwić, ale na nieszczęście nie potrzeba sięgać tak daleko. Mamy w naszym własnym kraju partję, znaną ze swej buty i zarozumiałości. Znajdziesz w niej historyczne polskie nazwiska, które zapisały się na opinje *Dziennika Warszawskiego*. Wyrok tej partji wypadł w prawdzie łagodniej; ale bo z pokonanymi, pozbawionymi praw ludzkich sprawa łatwiejsza! Wystarcza błąd podnieść do potęgi zbrodni, obrzucić błotem żywych, plunąć na groby...

*

Wśród powodzi kłamstw, fałszów i mylnych wiadomości, nagromadzonych w artykułach dziennikarskich i różnych broszurach, jedyna przystań dla prawdy, mającej kiedyś wyciągnąć honor polskiego imienia z kałuży, jest w pamięci i dobrej wierze naocznych świadków, którzy nie szukając karjery i dla tego nie potrzebując zmieniać swych przekonań, gdy ciężkie nadeszły chwile — walczyli do ostatka pod chorągwią sprawy ojczystej.

Historja ostatniej naszej wojny o niepodległość, jak bohaterska epopea w czasach zamierzchłych, żyje w pamięci wielu osób i czeka na swego Homera!... Ale, nie łudźmy się! Czasy Homerów już przeszły, pamięć ludzka zawodzi, a w kałuży przybywa błota! Dla tego na tych, którzy byli naocznymi świadkami wypadków na teatrze wojny, ciąży obowiązek czuwania, aby nie zginęła ich pamięć.

Niech każdy, kto ma możność po temu, skreśli te wypadki, jak je widział, a wytworzy się z tych oderwanych opisów całość, niezbędna dla przyszłego dziejopisa.

Tak myślałem, kiedy zasiadłem do pisania mych wspomnień obozowych.

Łaskawy czytelnik wybaczy ich formie, bo na celu miałem prawdę. Skreśliłem tylko te wydarzenia, co do których nie miałem najmniejszych wątpliwości, pozostawiając innym opis wypadków, które po upływie lat siedmnastu zatarły się już w mojej pamięci. I radziłbym każdemu, kto swoje pamiętniki z tych czasów zechce spisać, aby się trzymał podobnej metody. Niechaj nie opisuje zdarzeń, których dobrze nie pamięta, a uniknie z pewnością podobnych omyłek, jakie spotkać można w ogłoszonych świeżo drukiem „pamiętnikach powstańca z roku 1863 i 1864 przez p. Zyg. Luc. Sulimę.“ Autor tych pamiętników

opisał niektóre wydarzenia zupełnie błędnie, pomyliwszy się nawet w chronologicznem następstwie wypadków, a chcąc zapełnić luki, powstałe w skutek zawodu pamięci, opisuje niektóre fakta, które wcale miejsca nie miały, jak naprzykład rozkaz jenerała Bosaka formowania żandarmerji wieszającej—przesłany Krzywdzie—czemu stanowczo przeczę—lub spotkanie się niespodziewane z nieprzyjacielem we wsi Krasocinie i Oxy—następstwem którego miała być bezładna ucieczka, równająca się rozproszeniu oddziału.

W interesie zatem prawdy, sprostowałem w niniejszych pamiętnikach błędy i omyłki P. Sulimy.

Stryj 1882 r.

I.

Zygmunt Chmieliński.

Urodzony w r. 1836 syn obywatela ziemskiego z województwa Sandomierskiego, Zygmunt Chmieliński, małem chłopięciem jeszcze, oddany był do korpusu kadetów w Petersburgu, zkąd przeszedłszy do akademji wojennej, ukończył takową w stopniu oficera artylerji.

W roku 1861, gdy z rozkazu namiestnika carskiego Gorczakowa, pierwsze strzały padły do modlącego się ludu i krew niewinna polała się po bruku warszawskim, Chmieliński, konsystujący wówczas w Warszawie, jako porucznik artylerji, mając gorące serce polskie pod moskiewskim mundurem, uważał za hańbę dla siebie, służyć w wojsku, które strzela do bezbronnych rodaków; podał się więc do dymisji; a nie mogąc jej uzyskać, opuścił potajemnie szeregi moskiewskie, emigrując za granicę.

W chęci służenia ojczyźnie udał się do Włoch, gdzie w szkole wojskowej w Cuneo, założonej świeżo dla młodzieży naszej, emigrującej przed więzieniem, katorgą i szynelą moskiewską; w charakterze instruktora ćwiczył i musztrował przyszłych obrońców Polski.

Po zamknięciu tej szkoły przez rząd włoski na usilne domagania się Moskwy, wyjechał do Mołdawji.

Z chwilą wybuchu powstania przybył do Galicji, z zamiarem stawienia się pod rozkazy polskiego Rządu narodowego, lecz niebawem przytrzymanym został przez władze austrjackie i uwięzionym w fortecy Ołomuńcu. Po dwóch miesiącach zdołał się wydobyć z więzienia i przybył do Krakowa.

Na linji bojowej w Królestwie po raz pierwszy zjawił się Chmieliński w końcu maja 1863 roku.

Wszedł on z Krakowa z plutonem kawalerji w sile 40 koni, w randze kapitana. Pierwsze spotkanie z nieprzyjacielem miało miejsce pod miasteczkiem Skalbmierzem, gdzie pobił i rozpędził oddział, złożony z kilkudziesięciu kozaków.

Na drugi dzień, w Klimuntowie, niedaleko Pisiężowa, połączył się z oddziałem pułkownika Bończy i wszedł pod jego rozkazy. Niezadługo jednak zdał komendę swego plutonu, stanowiącego kadrę szwadronu dragonów, rotmistrzowi Rogalińskiemu, który pierwszej nocy powstania zaatakował ze swoim oddziałem Płock, i tam otrzymał rozkaz od Rządu narodowego udania się w lasy Sancygniowskie, celem formowania piechoty. Jakoż w bardzo krótkim czasie, bo zaledwie w kilkanaście dni, dowodził już świeżo sformowanym oddziałem w sile 200 przeszło piechoty i 50 koni kawalerji.

Oddział ten, oddany w miasteczku Secyminie dnia 20. czerwca z wyższego rozkazu pod dowództwo majorowi Zaborowskiemu, w dwa tygodnie później — po bitwie pod Przedborzem — rozpuszczony został wraz z oddziałem Oksińskiego.

Chmieliński, zdawszy komendę Zaborowskiemu, miał polecone udać się w powiat Olkuski dla formowania nowego oddziału.

Po upływie dwóch tygodni widzimy go znów na czele nowozebranych stukilkudziesięciu ludzi, zadającego klęskę Moskalom.

Formując się w lasach niedaleko miasteczka Janowa, otrzymuje wiadomość, iż dwie roty piechoty moskiewskiej maszerując prawdopodobnie w zamiarze rozbicia jego oddziału, zajęły miasteczko Janów.

Wiedząc, iż zwycięztwo przechyla się zwykle na stronę atakujących, dla zaprawienia w boju swego młodziutkiego żołnierza, choć z siłami o połowę blisko mniejszemi, postanawia zaatakować nieprzyjaciela.

W celu tym dnia 6. lipca, pod zasłoną nocy, podsuwa się lasami pod same miasto, i korzystając z chwili, w której większa część Moskali kąpała się najspokojniej w stawie, uderza na nich raptownym i śmiałym atakiem, wśród białego dnia. Moskale nie zachowali potrzebnych środków ostrożności, nie spodziewając się tak blizko powstańców, a tem mniej ataku z ich strony.

Chmieliński odniósł stanowcze zwycięztwo.

Nieprzyjaciel pobity na głowę, został rozprószony; rezultatem bitwy stu z górą zabitych i rannych żołnierzy moskiewskich i kilku oficerow. Między zabitymi znaleziono majora głównodowodzącego i kapitana; z naszej strony, mieliśmy tylko pięciu zabitych i kilkunastu rannych. Jako trofea zdobyliśmy przeszło sto sztuk broni.

Po bitwie janowskiej, Chmieliński cofnął się w lasy Złotego Potoka, a następnie stanął obozem między Koniecpolem a Włoszczową, w lasach pod wsią Rudnikami.

Pod rozkazy zwycięzkiego wodza szybko napływać zaczęli ze wszech stron ochotnicy, a nawet jedna kompania landwery pruskiej, wyłącznie z samych Niemców złożona, w liczbie do 60 ludzi, pod dowództwem kapitana i czterech innych oficerów,

kompletnie umundurowana i uzbrojona, przybyła ze Szlązka do naszego oddziału. Wzmocnienie sił naszych regularnym żołnierzem wpłynęło bardzo na podniesienie ducha w szeregach naszych.

W kilkanaście dni po bitwie Janowskiej oddział Chmielińskiego liczył blizko 300 ludzi piechoty, podzielonych na cztery kompanie i 2 plutony kawalerji niżej 50 koni pod komendą rotmistrza Rzepeckiego.

Przy oddziale naszym przebywał major Władysław Zochowski, oficer wojsk rosyjskich, który, rok jeszcze przed powstaniem był naszym instruktorem w dziesiątkach organizacyjnych.—W Warszawie wśród białego dnia pod okiem nieprzyjaciół, należąc do organizacji narodowej, zbieraliśmy się dziesiątkami, a dla uniknięcia hałasu, zrzuciwszy buty, pod jego komendą uczyliśmy się pierwszych zasad mustry i robienia bronią. Rząd narodowy mianował go dowódcą oddziału kieleckiego, który miał formować pod osłoną naszego oddziału, a który nosił nazwę Olkuskiego.

Ten to więc Zochowski wraz z Chmielińskim i kilku jeszcze oficerami niższych stopni, uczniami byłej szkoły wojskowej polskiej w Cuneo i Genui, męczyli nas po całych dniach mustrą, ucząc przytem robienia bagnetem, pałaszem i lancą, tudzież strzelania do celu.

Chmieliński, figurka niepokaźna, nizkiego wzrostu, chudy, imponował nam jednak swoją odwagą, energją, przytomnością i bystrością umysłu;—nadzwyczaj był surowym, najmniejszego przekroczenia w służbie nie puścił płazem, starał się przelać w nas ducha żołnierskiego i zaprowadzić karność prawdziwie wojskową; żołnierz musiał być posłusznym podoficerowi, podoficer oficerowi itd.—a najmniejsza niesubordynacja ciężko była karaną.—Sam byłem świadkiem, jak żołnie-

rza za krnąbrną odpowiedź podoficerowi porąbał pałaszem, zadając mu cztery razy w rękę i ramię. Wszyscy bali się go, jak ognia, począwszy od szeregowca aż do najstarszego stopniem oficera, jemu podwładnego.

To też porządek w oddziale naszym był wzorowy, i każdy rozkaz naczelnika święcie wypełnionym być musiał, bo kula w łeb, lub co najmniej kilka ran pałaszem.

Po nocach często sam ze swym adjutantem objeżdżał placówki i pikiety, a nieraz chcąc przyzwyczaić żołnierza do pogotowia każdej chwili, alarmował w nocy obóz, wystrzeliwszy z pistoletu po za pikietami.

Trafiło się raz, iż zaalarmowawszy obóz w ten sposób spotkał jednego ze swych żołnierzy, który będąc słabszego ducha, a sądząc, iż Moskwa atakuje nas, rzuciwszy broń, urządzał cichaczem drapaka z obozu. Palnął mu bez pardonu kulką w łeb. Dezercja w podobnem obchodzeniu się dowódcy miała swój hamulec.

Dnia 28. lipca rano, przybywa do obozu pod Rudnikami kurjer z wiadomością, iż nieprzyjaciel wyszedłszy z Częstochowy, w sile 4ch rot piechoty z 4ma działami, szwadronem dragonów i sotnią kozaków, zmierzając w kierunku Rudnik, stanął na wypoczynek w Koniecpolu, miasteczku dwie mile odległem od naszego obozu.

Chmieliński, wezwawszy w tej chwili do siebie porucznika M., dowodzącego 1szym plutonem kawalerji, wydaje mu rozkaz, aby z rekonesansem w sile kilku koni, w celu zbadania rzeczywistej siły nieprzyjaciela, dotarł do samego Koniecpola.

Wyjechało nas dziesięciu na ochotnika.

Rekonesanse mimo niebezpieczeństwa miały zwykle dość amatorów. — Wyjechawszy za obóz, czuł się każdy swobodniejszym, nie patrzyło bo-

wiem na niego oko surowego dowódzcy, a nadto po dworach, gdzie nas wszędzie bardzo mile widziano i gościnnie podejmowano, można było zjeść coś lepszego jak z kotła w obozie, wypić i dobremi cygarami kieszenie naładować.

Jadąc ostrożnie lasem, wskazaną przez Chmielińskiego drogą, dotarliśmy do samego Koniecpola, gdzie nie zastaliśmy już Moskali, którzy podzieliwszy się na dwie kolumny, przed paru godzinami opuścili miasto, maszerując jednak w kierunku nieco odmiennym, jak leżał nasz obóz. Zasięgnąwszy języka, wracamy z powrotem, sądząc, iż tym razem obejdzie się jeszcze bez krwawej rozprawy.

Pół mili przed obozem wyjechawszy na brzeg lasu, w odległości trzech może wiorst, ujrzeliśmy na polu ze 30 kozaków strzelających w kierunku wprost nam przeciwnym, małe górzyste wzniesienie zasłaniało nam przedmiot będący celem pocisków kozackich. — Nie pojmując co, to ma znaczyć, ruszyliśmy kłusem chcąc czemprędzej uwiadomić Chmielińskiego o tem cośmy, widzieli.

Jakież jednak było nasze zdziwienie, gdy w jechawszy w środek naszego byłego obozu, nie zastaliśmy w nim nikogo; pies tylko, (psy zwykle trzymały się obozów), jedyna żywa istota, zajadał ze smakiem resztki wyrzuconego jedzenia.

Gdzie podzieli się nasi, dlaczego opuścili obóz? — Oto pytanie, jakieśmy sobie zadawali. Mieliśmy rozkaz powrócić z językiem do obozu, wymarsz zatem z tego miejsca oddziału musiał być przymusowy, a dymiące się jeszcze ogniska świadczyły iż, krótko przed naszem przybyciem musiało to nastąpić. Nastawiamy uszu — głucho na wszystkie strony, wszędzie grobowa cisza, odgłos nawet strzałów, któreśmy przed kwadransem jeszcze słyszeli, nie dochodził tutaj. Nareszcie jeden z żołnierzy wytropił na trawie i małych

połamanych krzaczkach ślady naszych furgonów; postępując tym śladem, doszliśmy do miejsca, w którem dostrzegliśmy trzy wozy, zaryte kołami w bagnie. Personal furgonów, składający się z trzech furmanów, magazynjera i tak zwanego Karolka (kobiety, przebranej po mesku, służącej w charakterze żołnierza), słysząc brzęk szabli i tentent koni, a sądząc, iż to kozacy, tropiący za nimi, dla przywitania ich salwą pięciu strzelb, wymierzyli swoje rusznice ku nam. Na ich pochwałę nadmienić tu wypada — pomimo pewności prawie, iż mają kozaków przed sobą — nie uciekli, mogąc z łatwością ukryć się w otaczającym ich gąszczu, lecz przygotowani byli siebie i furgony, powierzone ich pieczy, bronić do ostatniego.

Można wyobrazić sobie radość tych ludzi, gdy zamiast spodziewanych pik kozackich, ujrzeli czerwone czapki.

Od nich to dowiedzieliśmy się, iż niezadługo po wymarszu z obozu naszego rekonesansu, przybył ktoś z wiadomością, iż do karczmy, znajdującej się niedaleko lasu, w pobliżu drogi do Rudnik wiodącej, przybyli kozacy w liczbie mniej więcej trzydziestu. Chmieliński w tej chwili wydaje następujący rozkaz: Porucznik J. G. z resztką plutonu porucznika M. (który wyjechał na rekonesans) w liczbie 17 koni ma zaatakować kozaków od frontu, rotmistrz zaś Rzepecki wraz z drugim plutonem Belardego, liczącym niespełna 30 koni, zajmie im tyły. Atak z obu stron równocześnie miał być wykonanym.

Porucznik G. wychyliwszy się z lasu i będąc dostrzeżonym przez kozaków, nie czekając aż Rzepecki, który miał znacznie dłuższą drogę do przebycia, zajmie tył nieprzyjacielowi, uderzył z garstką swoich na kozaków. Ci zaczynają umykać w największym popłochu. Droga na długość dwóch

wiorst była płotem ogrodzona i do tego piaszczysta, w skutek czego powstaje tuman kurzu, niedozwalający nieprzyjacielowi rozpoznać siły rzeczywistej naszych. Gdy jednak oplotki się skończyły i wszyscy wpadli na łąkę, a kurz opadł, Moskale ujrzawszy z jaką małą garstką mają do czynienia, zatrzymali się i stawili opór. Role się zmieniły: nasi nie mogąc podołać nieprzyjacielowi, gdyż oprócz 30 kozaków znalazło się i drugie tyle dragonów, poczęli umykać w kierunku obozu.

W rejteradzie i starciu zginęło trzech naszych żołnierzy, pomiędzy którymi Aleksander Komornicki, obywatel ze stron tamtejszych, który z wybuchem powstania pług na pałasz zamienił. Smierć jego w całym oddziale powszechny żal wzbudziła. Belardi ze swym plutonem został odcięty od całego oddziału tak, że w dalszym toku bitwy pod Rudnikami nie mógł brać udziału.

Powrót porucznika G. z garstką swoich, którzy wyszli cało z gorącej rozprawy, wzbudził tak gwałtowny gniew w Chmielińskim, iż w przystępie tegoż, dobywszy pałasza, porąbał tak silnie G., iż ten kilka miesięcy łóżka nie mógł opuścić. Gniewało go to, że nie czekając na Rzepeckiego, sam uderzył.

Wracajmy jednak do rekonesansu.

Wysłuchawszy opowiadań Karolka o szalonej, lecz niefortunnej szarży I. naszego plutonu, którego byliśmy częścią składową, żałując iż nie mogliśmy w niej brać udziału, aby choć kilku kozuniów zsadzić z koni, zaczęliśmy brać się do wyciągania z błota furgonów, gdy wtem zdala dochodzi uszu naszych jakiś gwar, coraz więcej zbliżający się ku nam, a nareszcie i brzęk pałaszy słyszeć się daje. Zaciekawieni coby to być mogło, nadsłuchując, zaprzestaliśmy rozpoczętej pracy.

— Czy nasi wracają z powrotem do obozu ?!

Po niedługim czasie obóz nasz napełnił się rzeczywiście gromadą paru set ludzi. Słyszymy już dokładnie rozmowy w języku nam wrogim. Co tu z tym fantem zrobić? Jak my za śladem kół doszliśmy do naszych furgonów, tak i oni również tym samym sposobem nas odkryją. Mniejsza o nas, cośmy mieli koni, lecz tych pięciu biedaków i nasze furgony z amunicją staną się niewątpliwie łupem nieprzyjaciela.

Stanęło tedy na tem: zaalarmujemy Moskali w naszym własnym obozie, poczem dawszy im się zobaczyć, drapniemy w przeciwną stronę, aby zmylić ślad i ocalić swoich.

Fortel udał nam się znakomicie.

Cichutko podsunęliśmy się gąszczem pod sam obóz i nie będąc widziani, stanęliśmy na skraju gęstwiny. Przez szczeliny między gałęziami dokładnie widzieliśmy, jak plądrowali po naszych barakach, rozwalając je i węsząc, czy czego lub kogo nie znajdą.

Na komendę daliśmy jedenaście strzałów. W odpowiedzi usłyszeliśmy jęk, zamięszanie, gwar i krzyk okrutny, komendy dowódców, poczem kilkadziesiąt strzałów na oślep, posypało się w naszym kierunku. My jednak, po naszej salwie, nie czekając odpowiedzi, koniom ostrogi — i drapaka; wypadliśmy na jakąś drożynę, a nie widząc jeszcze pogoni za sobą, stanęliśmy, nabili karabinki, a chcąc wskazać, gdzie jesteśmy, wypaliliśmy z pistoletu. Na to hasło pokazało się ze dwudziestu kozaków, których przywitawszy raz jeszcze strzałami, ruszyliśmy co koń wyskoczy, bo wtedy nie było już żartu.

Kozacy przesławszy nam kilkanaście kulek, popędzili za nami i gnali tak, będąc zawsze w dość przyzwoitem oddaleniu, najmniej z milę drogi. Plan powiódł nam się w zupełności; furgony z pięciu ludźmi ocalały, nieprzyjaciela bo-

wiem odciągnęliśmy w innym kierunku, i sami wyszliśmy cało z tej krótkiej rozprawy. Niezadługo dało się słyszeć zdala granie armat.

To Chmieliński bił się pod Rudnikami! — Połączyć się z oddziałem było niepodobnem, byliśmy już blizko dwie mile oddaleni, drogę nadto przecinał nam oddział nieprzyjacielski, gospodarujący w naszym obozie.

Dla wypoczynku i popasu zgonionych koni, zatrzymaliśmy się w Bieganowie, wiosce, niedaleko Szczekocin, na nocleg zaś miejscowy gajowy zaprowadził nas do lasu, gdzie nad potokiem rozłożyliśmy obóz.

Bardzo niespokojni byliśmy o los Chmielińskiego i całego naszego oddziału, huk jednak dział, który dawał się słyszeć aż do późnego wieczora, wlewał w serca nasze nadzieję, iż nasi trzymali się dobrze i wyszli bez szwanku z tej krwawej rozprawy.

Jakaż była nasza radość, gdy na drugi dzień rano, zjawił się u nas ten sam gajowy z wiadomością, iż Chmieliński z całym swoim oddziałem, stoi w tym samym lesie o kwadrans drogi od nas.

Zaraz z tem, dosiadłszy koni, połączyliśmy się z naszymi... Chmieliński ucieszył się z naszego przybycia, sądził bowiem, iż wpadłszy na Moskali, podczas rekonesansu, dostaliśmy się do niewoli, co więcej, zaszczycił nas pochwałą za ocalenie furgonów z amunicją, które niebawem także nadjechały w całości.

Przebieg bitwy pod Rudnikami, miał być mniej więcej następujący:

Chmieliński postanowił przyjąć bitwę. W tym celu, zaraz po powrocie naszej kawalerji z niefortunnej szarży, wysunął się z całym oddziałem na spotkanie nieprzyjaciela, liczącego 2 roty piechoty z dwoma działami i kawalerją; rozwinął

łańcuch tyralierki, i choć zwolna postępował ciągle naprzód. Po niejakim czasie, Moskale rażeni celnemi strzały naszych tyralierów z kompanji niemieckiej, poczęli rejterować, działa jednak ustawione na małem wzniesieniu, bardzo dokuczały naszym. Wtedy Chmieliński zakomenderował stak na bagnety; dzielne nasze żuawy, zaprawione pod Janowem, pod dowództwem swego kapitana Chabriela i majora Zochowskiego, zwartą kolumną rzucili się dziarsko na działa.

Na dwadzieścia kroków przed samemi armatami pada Chabraiol, a wnet za nim i Żochowski, ugodzony dwiema kulami w same piersi. Kolumna atakująca, jakby wodą zimną oblana, zatrzymała się, a zabrawszy swych rannych i dającego jeszcze znaki Chabriola, odstrzeliwając się, poczęła z wolna rejterować, co widząc Chmieliński, wziąwszy kompanię stojącą w rezerwie, pobiegł sam dla wzmocnienia ich. Znów nasi puścili się naprzód prąc gwałtownie nieprzyjaciela bagnetem, wkrótce jednak na naszem lewem skrzydle ukazały się nowe posiłki, które przybyły Moskalom w sile 2-ch rot piechoty z dwoma działami; niebawem rozpoczęły one ogień. (Był to ten sam oddział, który plądrował w naszym obozie).

Chmieliński, dostrzegłszy niebezpieczeństwo grożące lewemu swemu skrzydłu, od nowo przybyłej kolumny, a mając teraz więcej jak dwa razy silniejszego od siebie przeciwnika, nakazał odwrót.

Widząc to Moskale, poczęli biedz ze wszech stron do ataku, nasi cofali się w zupełnym porządku, jedna tylko kompanja niemiecka, będąc raptownie zaskoczoną przez szarżę szwadronu dragonów i kozaków, siły trzy kroć liczniejsze, padła ofiarą, została rozbitą i po większej

części wysieczoną. Zmrok kompletny zapadł już gdy nasi docierali lasu. Nieprzyjaciel cofnął się do Rudnik.

Straty nasze w tej bitwie były tak co do jakości, jak i ilości bardzo dotkliwe. Z całej niemieckiej kompanji został tylko jeden podoficer i czterech zdrowych żołnierzy, major Zochowski poległ, kapitan żuawów Chabriol (Francuz) ciężko ranny, w parę dni życie zakończył, lekko rannym był także i rotmistrz Rzepecki, słowem, w zabitych, rannych i wziętych do niewoli, mieliśmy około 80 ludzi. Strat nieprzyjaciela nie przypominam sobie, mówiono jednak, że trupami i rannymi Moskalami pole bitwy gęsto było zasłane.

Chmieliński twierdził, że gdyby miał był pod ręką całą swoją kawalerję, artylerja nieprzyjacielska byłaby niechybnie wpadła w nasze ręce.

Jako świadectwo najlepsze niechaj posłuży zdanie samego jenerała moskiewskiego, dowodzącego w bitwie pod Rudnikami, który publicznie odzywał się z największemi pochwałami, tak co do dowództwa z naszej strony, jak i waleczności naszego żołnierza.

Po bitwie rudnickiej, rząd narodowy awansował Chmielińskiego na majora.

Po trzech tygodniowym pobycie w lasach Chlewskiej-Woli, w skutek otrzymanej depeszy o wejściu z Krakowa oddziału hr. Krukowieckiego w Olkuskie, Chmieliński wyruszył w kierunku granicy z zamiarem podania ręki Krukowieckiemu.

Chwalebny ten zamiar zniweczył jenerał Czengiery z Kielc, zastępując nam drogę dnia 16. sierpnia we wsi Obiechowie ze znacznie przeważającemi siłami. Równocześnie Krukowiecki,

po sławnej obronie w Glanowie, został w dwa dni później rozbity pod Imbramowicami.

Dzielna obrona glanowska, sławę przynosząca walecznym, zasługuje na wspomnienie. Tam to dowódzca, pułkownik Krukowiecki, będąc odciętym od całego swego oddziału, zabarykadowawszy się we dworze z drugim dowódzcą Habichem, oficerem Anderlinim, dzierżawcą Glanowa, Rutkowskim z żoną, oraz kilkoma szeregowcami, razem w dziesięć ludzi, przez dwie godziny stawili mężny opór atakowi całej roty piechoty moskiewskiej, która widząc w końcu swoją bezsilność w obec tak dzielnej obrony, a sądząc, że z liczniejszym oddziałem ma do czynienia, odstąpiła od oblężenia.

Z całej tej mężnej garstki jeden tylko poległ Rutkowski. Po bitwie Obiechowskiej, która w pamiętnikach powstańca z roku 1863 i 1864 zupełnie dokładnie jest opisaną, nazajutrz stanęliśmy obozem w Białej, wiesce małą milkę odległej od miasteczka Lelowa. Tutaj nie rozdzielił Chmieliński oddziału na drobne części (jak twierdzi autor Pam. pow.) lecz Moskale fatalnie nas rozbili — co jednak nie przeszkodziło, że w dwa dni później znów cały oddział znalazł się w komplecie. Rozdzielenie oddziału na części miało miejsce w dwa miesiące później, po bitwie Mełchowskiej. Rzecz się miała w następujący sposób:

Naczelnik miasteczka Lelowa, daje znać o północy dnia 18. sierpnia Chmielińskiemu, że Moskale w znacznej sile przybyli do tego miasteczka.

Chmieliński w tej chwili wysyła podjazd z kilku koni złożony do Lelowa dla przekonania się o prawdzie i sile nieprzyjaciela, komendantom zaś piechoty i kawalerji wydaje rozkaz pogotowia do marszu.

Wieś Biała leży w długim dość wąwozie; — od Lelowa na samym końcu wsi, po jednej stronie szerokiej drogi, ogrodzonej płotem, stoją zabudowania dworskie, z drugiej znajduje się mały sosnowy lasek.

Około godziny 3-ej nad ranem rekonesansu naszego nie było jeszcze widać z Lelowa; — Chmieliński niespokojny, przybył do nas ze dworu, gdzie stał ze swym małym sztabem kwaterą i dał sygnał do formowania się z zamiarem wymarszu.

Wzdłuż płotu koło wyżej wspomnianych zabudowań stanęły uszykowane dwa plutony kawalerji, frontem do drogi, na brzegu zaś lasku tyłem do tegoż i do drogi prowadzącej z Lelowa sformowała się kompaniami piechota nasza.

Furgony z żywnością, amunicją i bagażami, poczęły się również formować, przejeżdżając przed samym frontem kawalerji.

Zaczęło trochę świtać. Naraz ujrzałem jak przez mgłę w zmroku, jakieś postacie migające się w lasku; — równocześnie, dała się słyszeć komenda dowódzcy jednej kompanii strzelców, kapitana Andersona, jednym tchem wygłoszona: „baczność! lewo w tył zwrot! ogaia!“ — W tejże samej chwili posypał się rotowy ogień z lasku, z tyłu nas, i ze wszystkich stron wzdłuż całej wsi.

Byli to Moskale, którzy idąc z Lelowa, wzięli do niewoli nasz rekonesans, nadto i wedeta konna od tej samej strony, widząc zbliżającą się awangardę nieprzyjacielską, i myśląc, że to nasz rekonesans wraca, wpadła im bez strzału w ręce. Tym więc sposobem, cała masa Moskali, pod zasłoną nadzwyczaj ciemnej nocy okrążyła cichaczem całą wieś, wsunąwszy się niepostrzeżenie łańcuchem między nasze wedety a obóz, tak blisko, że z lasku na odległość nie więcej jak 30

kroków sypnęła nam w oczy rotowym ogniem, rzuciwszy się z dzikim wrzaskiem i krzykiem urra! przy odgłosie bębnów i trąbek sygnałowych do ataku.

Najregularniejszy żołnierz, najwięcej ostrzelany w bojach, w nocy tak niespodziewanie napadnięty przez niewiadomej siły nieprzyjaciela, zapewne nie dotrzymałby placu, a cóż dopiero partyzanci, których szeregi z dniem każdym świeżymi ochotnikami zasilane były — ochotnikami, z których nie jeden często poraz pierwszy w swem życiu miał karabin w ręku i nie miał prawie wyobrażenia o jego użyciu!! — Tacy nowicjusze zazwyczaj najpierwsi zamięszanie w szeregach wzniecali.

Można więc sobie z łatwością wyobrazić, co się działo, gdy nam tak niespodziewanie w ślepie plunęli Moskale kulkami! Wszystko poszło w rozsypkę i żadna siła ludzka nie potrafiłaby powstrzymać uciekających. Czyśmy się odstrzeliwali uciekając, tego dziś już nie pamiętam, prawie wątpię o tem, w podobnem bowiem zamięszaniu sami siebie moglibyśmy byli postrzelać.

Niedaleko miejsca, gdzieśmy stali, głębokim wąwozem skręcała droga na prawo; cała prawie kawalerja rzuciła się w tym kierunku; wąwóz jednak z obydwóch stron silnie był obsadzony dragonami nieprzyjacielskimi, którzy gęsto kulami nas obsypywali; piechota zaś nasza, korzystając z ciemności nocy, pomiędzy domami szczęśliwie przerżnęła się do lasu.

Wśród tego hałasu i zamięszania, huku strzałów, świstu kul, wrzasku atakujących, krzyku naszych oficerów, napróżno starających się przywrócić porządek w szeregach, usłyszałem donośny głos swego bezpośredniego naczelnika, porucznika Nejmana, wołającego na całe gardło: „I-szy pluton za mną!“ (byłem wówczas podoficerem w I.

plutonie kawalerji) — zawracam więc z wąwozu z kilkoma jeszcze należącymi do tegoż plutonu, pakując dobrze ostrogi koniom, aby zdążyć, nim Moskale zamkną wylot wąwozu — w stronę, zkąd słyszeliśmy głos naszego porucznika. Dobiliśmy się szczęśliwie napowrót do wsi i znaleźliśmy się przy Nejmanie, który towarzyszył Chmielińskiemu z kilkoma jeszcze kawalerzystami. Z reszty oddziału już ani znaku nie było we wsi.

Przejechawszy kłusem całą wieś, wyratowaliśmy się szczęśliwie i cało na pole. Z lewego flanku ujrzeliśmy z 50 dragonów i kozaków, którzy z wolna zbliżając się, obrzucali nas kulami; w odległości półmilowej może był las, każdy z nas miałby ochotę czemprędzej dostać się do tego naszego kochanego „stryja“ (jakeśmy go powszechnie w powstaniu nazywali) — często jednak przez Chmielińskiego powtarzana komenda: „stępo!“ — wstrzymywała nasze zapały; — i tak maszerując wolno, odstrzeliwując się, dobiliśmy szczęśliwie do lasu. Pod opieką stryja uczuliśmy się już bezpieczniejszymi i nieprzyjaciel nie ścigał nas dalej.

Do dziś dnia nie mogę sobie wytłómaczyć, dla czego dragoni nie przypuścili do nas szarży? Byliśmy trzykroć słabsi od nich, żeby więc z nami być mogło. Prawdopodobnie powolna rejterada pod ich ogniem zaimponowała Moskalom.

Obliczyliśmy się, było nas wszystkich razem zaledwie dziewiętnastu.

Ze względu, iż tylko trochę samej kawalerji zostało przy jego boku, Chmieliński tak się pogniewał na piechotę, iż oświadczył, że już więcej o piechocie nic wiedzieć nie chce, projektując sformować oddział z samej tylko kawalerji złożony.

W porażce tej pod Białą straciliśmy tylko

sześciu naszych, nieodżałowanego dowódzcę kosynierów Kuleszę i pięciu szeregowców.

Tego samego dnia nad wieczorem staneliśmy w małej wiosce Kątach, niedaleko Włoszczowy.

Przez dwa pierwsze dni pobytu naszego w Kątach, ściągali się nasi ze wszystkich stron drobnemi oddziałkami. Trzeciego dnia cały pierwotny oddział był znowu w komplecie.

Chmieliński dawszy rozkaz całej piechocie, aby stanęła sformowana kompaniami, palnął do niej siarczystą mówkę, przyczem nie obeszło się bez przykrych słów, wskutek za bardzo pospiesznej rejterady przed trzema dniami w Białej.

Po kilkudniowym pobycie w Kątach, pomaszerowaliśmy do Chlewskiej Woli, gdzie już nie w lesie, lecz w samej wsi rozłożyliśmy obóz; piechota po chatach wiejskich; kawaleria na podwórzu przed domem, sam zaś Chmieliński ze swym adjutantem i kilku nadkompletnymi oficerami, którzy nieliczny jego sztab stanowili, we dworze.

Tutaj staliśmy dwa tygodnie; przez cały ten czas ogromnie nas męczono, po całych dniach musztrowano i uczono strzelać do celu, rano pojedynczemi oddziałami, plutonami, kompaniami, popołudniu znów sam Chmieliński z całym oddziałem. Popołudniowe manewry odbywały się z ogniem i miały pozory prawdziwych potyczek, dzieliliśmy się bowiem na dwie nieprzyjacielskie armje, to też żołnierz był dobrze wymusztrowany i karny. Nahajka w ręku naszego pułkownika, jakeśmy Chmielińskiego tytułowali, ważną odgrywała rolę. (Nominację na pułkownika otrzymał Chmieliński od rządu narodowego, po trzechdniowej walce w końcu września).

Mustry te dla mniej pojętnych i opieszałych były prawdziwą plagą. Jednego dnia prawie nie było aby ktoś z szeregowych nie otrzymał pła-

zem pałasza po plecach lub w najlepszym razie nahajką po łbie — a nieraz gdy pułkownik był zniecierpliwiony, to i ostrzem pałasza lubił poczęstować, zwłaszcza w razie najlżejszej niesubordynacji wobec przełożonych.

Służba w kawalerji była nad wszelki wyraz uciążliwą, pomijając już karmienie, pojenie i czyszczenie koni, to ciągła służba obozowa, przypadająca na każdy pluton co drugi dzień, była nadzwyczaj męczącą.

Było nas wszystkiego dwa plutony. Do plutonu będącego w służbie należało obstawienie obozu całego wedetami; w tymże samym czasie, drugi pluton mający dzień niby wolny, używany był na nocne rekonesanse w rozmaite strony tak, że ułan nie miał faktycznie ani jednego dnia zupełnego wypoczynku.

Pomimo to jednak u każdego dobra była mina, bo swobodna, bez troski o niepewne jutro. W obozie zawsze było wesoło, pełno zazwyczaj gości. Ojcowie, matki, żony, siostry i kochanki, wszyscy zjeżdżali się odwidzać swoich.

Pułkownik nasz, wielki lubownik płci pięknej, w najlepszym był humorze, gdy dużo przyjechało kobiet do obozu; wtedy przywoływał swoją „starą wiarę", dla spiewania rozmaitych obozowych pieśni. Maleńkie jego siwe oczy nabierały wtedy dziwnego blasku i sam wtórując nam wybijał takt pałaszem w pochwie. Ulubionemi jego pieśniami były: „Zgasły dla nas nadziei promienie" i druga ułańska „Bryk, bryk, z maniereczki łyk, łyk i t. d."

„Starą wiarą" nazywał pierwszą kompanję piechoty, i pierwszy pluton kawalerji, byli to najstarsi a raczej najpierwsi jego żołnierze, najlepiej ich też lubił i nieraz swojemi względy zaszczycał. Względy te jednak objawiały się w ten sposób,

że do najdrażliwszych i najniebezpieczniejszych poruczeń zawsze używał swoich ulubieńców.

Posyła nas naprzykład w dziesięciu w celu rozbrojenia i wyłapania szajki rabusiów, którzy w liczbie ośmnastu, pod pozorem powstańców, mieli wykonać o północy napad na pewien dwór obywatelski. Połów ten udał nam się tylko w części, rabusie bowiem na czas byli uwiadomieni o naszej zasadzce i nie przybyli. Przywieźliśmy tylko do obozu herszta tej bandy, Dowbora, burmistrza z Pilicy i jego syna, u których znaleźliśmy broń i inne kompromitujące ich pod tym względem dowody. Przy aresztowaniu tychże mieliśmy mała przeprawę z żydostwem tego miasteczka, które dowiedziawszy się o naszem przybyciu i rewizji w domu burmistrza, widocznie będąc w spółce z nim i szajką rabusiów, otoczyło nas masą, objawiając nieprzyjazne względem nas zamiary i wzbraniając uwięzienia Dowbora.

Zmuszeni byliśmy tę hałastrę rozpędzać pałaszami. Dowbora skazał Chmieliński na śmierć, a syna jego po kilku batach, ułaskawiwszy ze względu na jego młody wiek i przyznanie się do winy, wcielił do szeregów piechoty; ten jednak w najpierwszej potyczce przeszedł do Moskali i potem był szpiegiem na jednej z komor granicznych. Mnie również zaszczycał Chmieliński swojemi względami, a chcąc dać tego dowód, porucza mi jednego razu wykonanie pewnej, bardzo wdzięcznej wprawdzie, lecz bardziej jeszcze niebezpiecznej sprawy.

W miasteczku Z. o ćwierć mili od stacji kolei warszawsko-wiedeńskiej M., u adwokata miejscowego pana R. leżał ranny w bitwie pod Janowem, jeden z naszych żołnierzy, Włoch. Moskale zabrali go ze dworu obywatelskiego, gdzie był złożonym. Pan R. jednak wyprosił od Moskali pozwolenie pielęgnowania go, sprowadził

go do swego domu, musiał przecież zań poręczyć swoją osobą, a w razie wyzdrowienia, Moskale mieli go napowrót odzyskać jako jeńca. — Pomimo tego wszystkiego jednak, zostawał pod ciągłym prawie ich nadzorem, gdyż na stacji kolejowej M. stała sotnia kozaków -m razzha kapitan kozacki przyjeżdżał codziennie odwiedzać chorego, badając stan jogo zdrowia, ażali prędko będzie już mógł zabrać go z sobą i osadzić w więzieniu.

Chwila ta krytyczna nadchodziła już dla biednego Włocha, usłyszał bowiem od kapitana zapowiedź, iż ten za parę dni zabiera go z sobą.

Chmieliński, przypadkiem dowiedziawszy się o tem, wzywa mię do siebie i krótko a węzłowato wydaje następujący rozkaz:

— W miasteczku Z., u pana R., leży ranny Włoch, dam ci dwóch żołnierzy z piechoty do pomocy, masz mi go jutro rano dostawić do obozu! — a miej się na baczności, bo Moskale tam są codziennymi gośćmi!"

Podobne dowody łaski i względów kochanego pułkownika nie bardzo przypadły mi do smaku, wolałbym był, co prawda, w tej chwili, nie należeć do rzędu jego ulubieńców!

— Po djabła, myślałem sobie, narażać życie trzech ludzi dla jednego, i to jeszcze chorego?? — rozkaz ten wydał mi się nonsensem, a to tembardziej, że kazano nam jechać furą do miejsca 10 mil odległego od obozu i do tego w mundurach, ja przy pałaszu i pistoletach, a piechury z karabinami. Bardzo niekontent byłem z zaszczytnej roli wybawiciela, jaka przypadła mi w udziale, lecz cóż było robić? — rozkaz! Nawet miną nie wolno było okazać, że mi to nie trafia do przekonania, nadrabiałem więc fantazją, udając zadowolenie z poruczonej mi misji;

w duchu jednak przeklinałem Włocha serdecznie!

Słońce miało się już skryć niebawem, gdy wsiadałem na furę z dwoma moimi współtowarzyszami wyprawy. Co dwie mile zmieniałem konie, i na wszystkich tych stacjach poleciłem, aby na pewną oznaczoną naprzód godzinę stały w pogotowiu zaprzężone furmanki, oczekując mego powrotu.

Około godziny 2-ej w nocy byłem już w miasteczku Z. — odnalazłem mieszkanie pana R., — jednego żołnierza postawiłem na pikiecie od strony stacji kolejowej M., drugiego przed domem, a sam po gwałtownem szturmowaniu do drzwi domu, dostałem się wprost do pokoju sypialnego samego gospodarza; — zbudziwszy go, okazałem nakaz na piśmie Chmielińskiego wydania mi Włocha.

Pan R. przeraził się mocno podobnem rozporządzeniem — obawiając się odpowiedzialności osobistej przed Moskalami. Brzęk mego pałasza i rozmowa podniesionym głosem zbudziły domowników — a Włoch, zobaczywszy mnie, gdy stanąłem przy jego łóżku, zbudzony raptownie ze snu sądząc zapewne, że ma przed sobą kapitana kozackiego, który przybył go zabrać, przeraził się mocno i przez usta jego drżące jak w febrze, wylatywały urywane słowa polskie: „pane kapitane! pane kapitane!“ — Dłuższy czas nie pomagały moje przedstawienia, że ja nie jestem Moskalem, lecz przeciwnie tym, który ma wyzwolić go z zapowiedzianej niewoli moskiewskiej. — Włoch nie chciał wierzyć, podejrzywając podstęp kozacki — gdy dopiero okazałem mu polecenie Chmielińskiego z jego podpisem i pieczęć narodową, otrzytomniał, wyskoczył z łóżka, rzucił mi się z płaczem i jakimś nerwowym śmiechem równocześnie na szyję, ściskając i całując —

ledwie potrafiłem się wydobyć z uścisków tych grożących mi uduszeniem, Włoszysko latał jak warjat po wszystkich kątach pokoju, zapomniawszy o swej ranie, która nie zupełnie jeszcze wygojoną była, i wykrzykując rozmaite słowa to polskie, to włoskie, z których rozumieć tylko mogłem: Polaki, kozaki, eviva Chmieliński, addio pane kapitane!

Widząc nieopisaną radość biednego Włocha, wyrzucałem sobie w duszy, iż pierwotnie z taką niechęcią przyjąłem tę misję; widok tej niekłamanej radości i szczęścia, jakie malowało się na wychudłej i schorowanej twarzy rannego, były mi nagrodą za moje trudy i narażanie się na niebezpieczeństwo swego życia. Nagliłem Włocha, aby się ubierał, nie mając chwili do stracenia, dowiedziałem się bowiem, iż kozacy stojąc w wiosce nie całe ćwierć mili stąd odległej, codzień o świcie przyjeżdżali do miasteczka po furaż. Niebawem weszły i dwie panienki, córki pana R., przyodziane narędce w rauny negliż; — nawpół oszalały Włoch rzuca się znów ku nim, ściska, całuje bez ceremonii po twarzy i rączkach, płacze i śmieje się krzycząc ciągle: eviva Chmieliński, addio pane kapitane! — Śliczne dziewczęta nie broniły się gwałtownym wybuchom jego uczucia i radości; — przy ich pomocy ubraliśmy nareszcie naszego jeńca. — Wielki bo już czas było uciekać! — Rozstanie było znów bardzo rozczulające: — Włoch zbeczał się jak bóbr, żegnając swoich dobroczyńców, panienkom również łzy radości i szczęścia błyszczały w oczkach, widząc swego pacjenta wyrwanego ze szponów wroga.

Wzmianka ta niech będzie nagrodą tym zacnym dziewicom, które swojem poświęceniem i troskliwą opieką nad rannym, przesiadując po całych nocach przy jego łożu, dopełniły godnie

obowiązku Polek. — Cześć tym zacnym patrjotkom!

Pan R. prosił mię, abym dla zrzucenia z niego odpowiedzialności za wydanie powstańca, spisał w urzędzie magistrackim protokół o wydarzeniu; — co też uczyniłem, wyrażając w protokole, iż przybyłem w sile 100 koni i mimo oporu pana R. zabrałem z sobą rannego.

Poleciwszy burmistrzowi przesłać Moskalom protokół w pół godziny po moim odjeździe, wsiedliśmy na wóz, a obawiając się pogoni, co koń wyskoczy zmierzaliśmy w kierunku obozu.

Co dwie mile wzdłuż całej drogi, stosownie do mego polecenia, oczekiwały nas zaprzężone furmanki, a w niespełna cztery godziny stanąłem już z raportem przed moim pułkownikiem w obozie oddając mu uszczęśliwionego Włocha.

Tego samego jeszcze dnia nad wieczorem otrzymał Cchmieliński depeszę, iż cała sotnia kozaków z dwiema rotami piechoty, wyruszyła za mną w pogoń uwierzywszy mojej mistyfikacji, iż rzeczywiście w sile 100 koni porwałem im z pod samego nosa rannego powstańca.

Po dwutygodniowym pobycie w Chlewskiej Woli wyruszyliśmy w kierunku Przedborza, cofając się przed nadciągającym z Kielc nieprzyjacielem, który w małej wiosce Rudec pod Przedborzem dopędził nas dnia 3. września.

Usłyszawszy strzały pikiet, wyruszyliśmy w pochód; w awangardzie szedł 2gi pluton kawalerji potem cała piechota na wozach, na arriergardę zaś przeznaczył Chmieliński 1szy pluton kawalerji, który w odległości kwadransa miał postępować, asekurując tyły oddziału.

Oddział cały był już dosyć daleko za wsią, gdy arriergarda ruszyła z miejsca. — Wyszedłszy na górę po za wieś ujrzeliśmy na lewym naszym

flanku formujący się szwadron dragonów moskiewskich z kilkudziesięcioma kozakami na skrzydłach; na widok ten nasz pluton sformowawszy się również szybko, ruszył kłusem dla połączenia się z całym oddziałem.

Wtem kawalerja nieprzyjacielska wzamierze odcięcia nas od oddziału pełnym galopem przypuściła szarżę; piechota nasza skoczywszy z wozów i przypuściwszy dragonów na odległość kilkudziesięciu kroków, przywitała ich rzęsistym ogniem. Zakotłowało się w szeregach moskiewskich; kilkanaście koni bez jeźdźców wybiegło przed front i jak chyżo szarżowali na nas, tak jeszcze prędzej drapli napowrót — a rozsypawszy się w flankiery i pozsiadawszy z koni poczęli nas razić celnymi strzały.

Niebawem nadciągnęła piechota nieprzyjacielska wraz z kilkoma działami, wtedy i nasza piechota rozwinęła się w łańcuch tyralierski i rozpoczął się żywy obustronny ogień.

Furgony nasze i wozy służące do przewozu piechoty, wysłane zostały naprzód do Przedborza, gdzie oczekiwać miały naszego tamże przybycia.

Chmieliński, mając naprzeciw siebie o wiele liczniejszego nieprzyjaciela, nie miał zamiaru przyjmować bitwy, nakazał więc powolne cofanie się; piechota jednak chcąc zrehabilitować się w oczach swego wodza za ostatnią rozsypkę w Biały, nie słuchając rozkazu postępowała ciągle naprzód.

Chmieliński spostrzegłszy ruchy nieprzyjaciela, okalające nas lewem swem skrzydłem z zamiarem odcięcia od miasta, następstwem czego byłoby wpakowanie nas w rzekę Pilicę, dopada wściekły do łańcucha tyralierskiego i komenderuje sam odwrót, z zagrożeniem strzelania z rewolweru we łby nieposłusznym. Po tak katego-

rycznym bez żadnej apelacji wyroku, strzelcy nasi poczęli nareszcie zwolna w największym porządku odwrót.

W potyczce tej podziwiałem zimną krew naszego dzielnego dowódzcy i obojętność jego na świstające mu koło uszów kulki nieprzyjacielskie. Znajdując się tuż przy naszym plutonie kawalerji, przywołuje mię, aby mu dopomódz w trzymaniu mapy, na której kreślił sobie marszrutę. Nieprzyjaciel, poznawszy zapewne Chmielińskiego, skierował gęste strzały ku nam; koń jego przyzwyczajony do ognia, stał spokojnie, nie wiele sobie robiąc z niebezpiecznej sytuacji, mój również ostrzelany w niejednej już bitwie, tańcował tylko na miejscu, przebierając niespokojnie nogami i za świstem każdej przelotnej kulki, parskał; wtem dwie kule karabinowe uderzają naraz w mapę, dziurawiąc ją; porządnie niemiło zrobiło mi się na sercu i gorąco zapragnąłem, aby marszruta jak najprędzej nakreśloną została. Chmieliński jednak nie zwrócił prawie na to uwagi najspokojniej wpatrując się dalej w podziurawioną mapę.

Muszę tu także wspomnieć, iż w bitwie tej odbył się pojedynek dwóch naszych oficerów: porucznika M. z kawalerji, z kapitanem piechoty Chrzanowskim; umówionem było, iż w najpierwszej bitwie, obydwa stanąwszy obok siebie w pierwszym łańcuchu tyralierów, strzelać będą do Moskali, dopóki jeden z nich nie padnie lub nie zostanie rannym. Rezultatem pojedynku było, iż porucznik M. dostał kulkę, rana jednak śmiertelną nie była, i niezadługo z niej się wyleczył.

Weszliśmy nareszcie do miasta Przedborza, gdzie jeszcze gorącą przeprawę mieliśmy przez most na Pilicy, który przez lukę, jaką tworzyła

BIBLIOTEKA GŁÓWNA

rzeka pomiędzy domami, silnie był ostrzeliwany przez nieprzyjaciela granatami, kartaczami, jak również i karabinowemi strzałami. Moskale nie kusili się o zajęcie miasta, którego i my nie mieliśmy zamiaru bronić, tylko podczas naszego przemarszu przez Przedborz, gdzie krótki czas zatrzymaliśmy się, nieprzyjaciel obrzucał miasto granatami.

Niezadługo potem ogień ustał zupełnie; więc zabrawszy swoich rannych, których w czasie bitwy odsyłało się do miasta, pomaszerowaliśmy dalej do Czermna, a po krótkim tutaj odpoczynku, stanęliśmy na noc obozem w lasach Skotnickich.

Nie przypominam sobie dokładnie ubytku w zabitych i rannych z naszych szeregów w bitwie Przedborskiej. Pamiętam tylko, iż byli rannymi, porucznik kawalerji M., oraz adjutant Chmielińskiego, Wiśniewski, a także i biednego Włocha którego Moskalom wykradłem był, nie minęła kulka, był jednak tylko ranaym i w parę tygodni wyleczywszy się, stawił się znów do szeregów. Tutaj zginął także i Moskal, wzięty do niewoli pod Częstochową, o którym wspomina autor pamiętników powstania z r. 1863/4.

Około północy tej samej doby otrzymuje Chmieliński wiadomość, iż Moskwa pod wodz jenerała Czengerego w parę godzin po wyjściu naszem z Czermna nadciągnęła tamże z Przedborza i rozłożyła się na noc obozem. Wnet pułkownik nasz układa plan napadu pod zasłoną ciemności nocy; wydaje natychmiast rozkaz: do broni! z pogotowiem do wymarszu. Uszykowano nas w czworobok, w pośrodku którego stanął na koniu Chmieliński i uwiadomił nas, że idziemy atakować Moskali, poczem zjawił się kapelan nasz wojskowy, a pobłogosławiwszy z zapałem prze-

mówił, zachęcając do odwagi w boju i wlewając takową w serca mniej odważnych.

Wszyscy pałali chęcią odwetu za porażkę w Biały, jakąśmy ponieśli wskutek nocnego napadu Moskwy. Chmieliński podzielił oddział stosownie do ułożonego planu, przeznaczywszy każdej kompanji miejsce, gdzie miała się stawić na oznaczoną godzinę i czekać hasła do ataku. Hasła to miał dać 1. pluton kawalerji, którego zadaniem było: znieść bez strzału pikiety nieprzyjacielskie, wpaść raptem w ulicę koło dworu, gdzie stały rzędem przy płocie konie dragonów i kozaków, dać ognia, wzniecić popłoch między końmi, które zrywając się z uwięzi sprawić miały główne zamięszanie w obozie nieprzyjacielskim. Strzały nasze miały więc być hasłem ogólnego ataku piechoty, która podejść miała cichaczem pod same budynki, gdzie spała piechota moskiewska.

Drugi pluton kawalerji stał w odwodzie dla ścigania uciekających dragonów i kozaków.

Plan ten byłby się powiódł z pewnością, gdyby nie jedna drobna okoliczność, mianowicie: że przybywszy na umówione stanowiska nie zastaliśmy nikogo; nieprzyjaciel bowiem godzinę wcześniej, a zatem jeszcze nocą, wyniósł się w kierunku Przedborza z powrotem, a ztamtąd, jak później nam doniesiono, pomaszerował do Kielc. Zastaliśmy tylko dopalające się ogniska, świadczące o niedawnym pobycie Moskali.

Mieszkańcy dworu opowiadali nam, iż w nocy powstał raptem alarm w ich obozie, poczem zaraz opuścili Czermno. Powód tak raptownego ich wymarszu pozostał dla nas zagadką. Czy dowiedzieli się o zamiarach Chmielińskiego, czy też co innego spowodowało ich do tego niespodziewanego kroku.

Wypocząwszy do rana w Czermnie, posili-

wszy się i ogrzawszy przy ogniskach moskiewskich, pomaszerowaliśmy do Żeleźnicy.

W sąsiedztwie naszem w Olesznie stał obozem oddział Iskry, składający się z 300 ludzi piechoty i do 60 koni kawalerji; oddział ten różnił się bardzo od naszego brakiem subordynacji, której niedoświadczony młody dowódzca nie potrafił wszczepić w swego żołnierza.

W parę dni później Iskra atakował Moskali w miasteczku Małogoszczu, mając jednak mylne wiadomości co do liczby nieprzyjaciela, został pobitym i cofnąć się musiał ze znacznemi stratami.

Wiadomość ta wielce zirytowała Chmielińskiego, wziął on Iskrze za złe, iż nie wtajemniczywszy go w swoje zamiary, nie zawezwał do wspólnej akcji; połączone bowiem oddziały Iskry i Chmielińskiego byłyby z pewnością zadały Moskwie stanowczą klęskę pod Małogoszczem.

Po kilkodniowym pobycie w Żeleznicy, w skutek ponownego wymarszu samego Czengerego z Kielc na nas w pięć rot piechoty, dwa szwadrony dragonów z sotnią kozaków i 4ma działami, wyruszyliśmy z miejsca i przez Łachów, Rogieniec, Lipno, przeszedłszy wpław Nidę, stanęliśmy dla wypoczynku po całonocnym marszu w lesie, na małej polance niedaleko, wsi Cierna.

Tutaj to właśnie dnia 22. września zaatakowali nas Moskale. Przebiegu bitwy tej zaciętej i krwawej nie będę powtarzał, gdyż autor Pam. Powst. opisał ją dokładnie; niesłusznie tylko rzucił plamę na kawalerję naszą, iż uciekła z pola walki. Drugi pluton bowiem był przez cały czas w ogniu, 1szy zaś przeznaczony w awangardę i wysłany naprzód, został odciętym od całego oddziału.

Jak tylko strzały dały się słyszeć z kilku stron naraz na pikietach, Chmieliński wyprawił

1szy pluton kawalerji w awangardę, wskazując nam kierunek, w jakim mieliśmy maszerować i dając za przewodnika miejscowego leśniczego.

Chmieliński pierwotnie miał widać inny plan marszu, przewodnik bowiem prowadził nas drogą, wiodącą po nad samem polem w kierunku głębokich lasów; dopiero wskutek parcia z lewego skrzydła, zmuszony był prawdopodobnie porzucić pierwotny kierunek, w jakim nas posłał tak, że zamiast trzymać się lasu, nieprzyjaciel wyparł go na rozległe pola.

Za awangardą postępował długi szereg furgonów naszych i wozów chłopskich, na których w marszu, przed bitwą, jechała była nasza piechota; wozy te, gdy kule moskiewskie je dosięgły, poczęły zmykać i na wązkiej leśnej drożynie tak się zaparły, iż ani kroku naprzód postąpić nie mogły.

Kawalerja nieprzyjacielska jeszcze przed bitwą widać otoczyła nasz obóz z lewego flanku, gdyż zaraz z samego początku flankiery dragońskie i kozackie okazały się aż u samego czoła naszej kolumny, rażąc nas z gąszczu nie dalej jak na 30 lub 40 kroków celnemi strzały, a dostrzegłszy zamięszanie, jakie powstało między naszemi wozami, odrazu masą rzucili się na furgony, rąbiąc furgonistów i chłopów na wozach.

Piechota nasza, ujrzawszy dragonów przy furgonach, skierowała na nich silny karabinowy ogień, kule te jednak poczęły razić nietylko dragonów, lecz i nas; znajdowaliśmy się zatem w krzyżowym ogniu strzałów dragońskich i naszej własnej piechoty.

Przebić się do swoich było fizycznem niepodobieństwem, gdyż nietylko ćma dragonów, lecz także i wał wozów przegradzał nas od nich, zmuszeni przeto byliśmy rejterować; nim to jednak nastąpiło, na wezwanie porucznika Nejmana wy-

skoczyło nas kilkunastu na ochotnika do szarży, a nawet jeden z naszych, niejaki Br., przyskoczywszy na parę kroków do majora dragonów wpakował mu cały nabój siekańca z pistoletu w twarz; major spadł z konia, a wtedy chmura dragonów wskoczyła na nas. W całym plutonie było nas niespełna 30tu, trudno zatem było nam się mierzyć z siłą kilkakroć liczniejszą, podawszy więc tyły dragonom, poczęliśmy zmykać, mając na karku całą masę dragonów i kozaków; pogoń trwała z pół mili.

Połączenie się z oddziałem było niepodobnem, cała bowiem kawalerja nieprzyjacielska, licząca do 300 koni, odgradzała nas od niego; pomaszerowaliśmy więc samopas dalej, zdążając do najbliższej wioski dla pozostawienia tam kilku naszych rannych, których uprowadziliśmy z sobą; oprócz tych pluton nasz stracił jeszcze dwóch szeregowców poległych.

Z Chmielińskim, ustępującym wciąż przed Moskalami, połączyliśmy się po południu dopiero w Rakoszynie.

Bitwa trwała kilka godzin i była bardzo krwawą.

Oddział nasz odbył tę niebezpieczną rejtaradę w najzupełniejszym porządku. Straty nasze jednak były bardzo znaczne, lecz nie dziw, gdyż walczyć musiano jeden przeciwko czterem. Moskale bowiem liczyli swe siły do 1000 ludzi, prócz czterech armat.

Między innymi zginął tu kapitan Skąpski, oraz niejaki Herman, 16-letni młodzieniec, syn emigranta polskiego, urodzony w Paryżu, uczeń szkoły polskiej na Batignolles; dzielny ten chłopiec uczył Moskali tańczyć kankana przed łańcuchem tyralierów naszych; brawurę tę niepotrzebną przepłacił tak życiem.

Porucznik Ropolewski, o którym wspomina autor Pamiętników powstania, syn obywatela ziemskiego z Kaliskiego, nie poległ na miejscu, lecz był ciężko rannym i dopiero w dwa miesiące później zakończył życie w szpitalu narodowym w Zarczycach, pod Małogoszczem, pomimo ciągłej pomocy lekarskiej, najtroskliwszej opieki żon i córek okolicznych obywateli, które kolejno po całych dniach i nocach przesiadywały przy łożu biednego męczennika.

Z Rakoszyna w ciągłym marszu, z krótkiemi bardzo wypoczynkami, przeszliśmy szosę kielecko-krakowską między Jędrzejowem a Włodzisławiem, zdążając w kierunku Działoszyc, od których o nie całą milę zawróciliśmy napowrót i przez Lubczę, Węchadłów, kontramarszem przechodząc znów tę samą szosę, w temże samem prawie miejscu, stanęliśmy we wsi Potoku.

Od samego Cierna mieliśmy Moskali ciągle na karku tak, że nasza ariergarda, którą tworzył jeden pluton kawalerji przez cały ten 24-godzinny marsz była w ciągłej prawie utarczce z awangardą moskiewską; maszerowaliśmy samemi prawie gołemi polami, widzieliśmy się zatem jak na dłoni z nieprzyjacielem.

W pół godziny od zatrzymania się naszego w Potoku dały się słyszeć strzały na tylko co porozprowadzanych wedetach; znów zatem w marsz.

Dotarliśmy do następnej wioski Warzyna.

Tutaj zgłodniali i zmęczeni ciągłym, bez przestanku prawie, marszem — dniem i nocą — mieliśmy się posilić i wypocząć trochę. Niedługo jednak cieszyliśmy się tym tak gorąco pożądanym odpoczynkiem.

Ledwie pikiety konne dookoła obozu porozprowadzane zostały, a już ujrzeliśmy czoło kolumny jazdy nieprzyjacielskiej, wychylającej się z lasu od strony Potoka. Wnet rozległy się w obo-

zie komendy: do broni! na koń! i cały oddział był znów w pogotowiu.

Chmieliński spodziewając się ataku kawalerji, wysłał zaraz biegiem jedną kompanję piechoty dla ukrycia jej po za płoty ogrodu.

Jakoż rzeczywiście dragoni, sformowawszy się w szwadrony, mając kozaków na skrzydłach, ruszyli kłusem ku nam, a przybliżywszy się na odległość paru set kroków, z okrzykiem urra! i przeraźliwym piskiem kozackim, puścili się wyciągniętym galopem do szarży.

Piechota polska, przypuściwszy ich na krótki dystans, przyjęła salwą rotowego ognia; kilkunastu jeźdźców runęło o ziemię, co wstrzymało całą kolumnę; cofnęli się w nieporządku pod las i tam rozwinąwszy się w długi bardzo szereg flankierów, opasując nas półkolem z dwóch stron, pozsiadali z koni i rozpoczęli ogień karabinowy.

Piechota nasza żywo poczęła wysuwać się na pole ku nieprzyjacielowi i rozwijać się biegiem w łańcuchy tyralierskie: wtedy Chmieliński daje rozkaz kawalerji wystąpienia z opłotków i sformowania się w kolumnę.

Pierwszy pluton por. Neymana stanął już gotów do frontu, z drugiego zaś zaledwie kilku ludzi, reszta bowiem była na pikietach.

Wtem podoficer II.-go plutonu Chm. wróciwszy z pikiety, które rozprowadzał, przybywa na plac boju; Chmieliński obaczywszy go, spina ostrogami konia i sadzi wprost na niego, a dopadłszy go w największym gniewie i nieprzebierając w wyrazach, zapytuje, gdzie jego pluton, a nie czekając odpowiedzi i nie dawszy mu się wytłómaczyć łapie za swój rewolwer, lecz nie mógł go wyciągnąć z pochwy skórzannej; szczęście to było dla niewinnie napadniętego Chm., iż rewolwer zaplątał się był w pochwie, bo w przeciwnym razie byłby mu pułkownik z pe-

wnością w łeb palną. Struchleliśmy wszyscy duch w sobie tamując, w oczekiwaniu strasznej chwili, kiedy trup nieszczęśliwego Chm. runie z konia o ziemię. Z krótkiej tej chwili, podczas której Chmieliński starał się rewolwer swój rozplątać, skorzystał Chm. i wytłómaczył się, iż cały prawie jego pluton znajduje się na pikietach, a nie otrzymał rozkazu ściągnięcia tychże.

Chmieliński ochłonąwszy z gniewu, daje rozkaz kompanji piechoty Nowickiego zdążać biegiem za kawalerją, a sam stanąwszy przed frontem na czele plutonu, komenderuje: „Z pochwy broń! pluton kłusem naprzód, marsz!“ — ruszyliśmy w porządku, a za nami również prawie szybko kłusowała kompania naszej piechoty; niezadługo usłyszeliśmy komendę: „Skróć cugle, do ataku broń, marsz, marsz!!“ — więc wpakowawszy w boki ostrogi koniom i wyciągnąwszy pałasze po nad łby końskie, z okrzykiem: Hura! — puściliśmy się jak huragan do szarży.

Ładny był widok, gdy garstka naszych, zbitą masą, rozwiniętym frontem, w największym porządku, co koń wyskoczy sadziła zmierzyć się na białą broń z tyle liczniejszym od siebie wrogiem, na każdego z nas przypadało po dziesięciu mniej więcej Moskali, nas bowiem było trzydziestu kilku, oni zaś liczyli 2 szwadrony dragonów i sotnię kozaków, czyli wyżej 300 koni.

Zuchwalstwo to nasze musiało zaimponować wrogom, gdyż poczęli się na całej linji formować do odparcia ataku.

„Stój! równaj się!“ — krzyknął Chmieliński, skinął zdala na piechotę, a ta zagrzmiała salwą kilkudziesięciu strzałów w zbitą kupę dragonów, poczem z 10 koni bez jeźdźców wybiegło na pole.

Wtenże chwili piechota moskiewska poczęła wysypywać się z lasu i szybko rozwijać w łańcuchy tyralierów.

Sam Czengery, głównodowodzący jenerał moskiewski, przybywszy ze swoim sztabem, ulokował się za łańcuchem flankierów dragońskich, pod samym lasem na górce i obserwował nas przez lunetę. Część piechoty naszej skierowała ku niemu swe strzały, kule jednak nie musiały donosić, bo wybrał przyzwoicie odległą pozycję.

— „Prawe ramię naprzód w koło, marsz!“— rozległa się komenda Chmielińskiego i pułkownasz prawem skrzydłem zaszedłszy, stanął tyłem do nieprzyjaciela; po czem kłusem w zupełnym porządku powróciliśmy na pierwotne stanowisko koło wsi.

Jaki był rzeczywisty plan Chmielińskiego prowadząc nas do szarży?—nie wiem, czy istotnie miał zamiar szybkim atakiem uderzyć na dragonów, nimby się zdołali sformować? co rzeczywiście wymagało nieco czasu, będąc na tak długiej linii rozsypani; — czy też atakiem fałszywym chciał ich zgromadzić w jedną masę, by potem ogniem naszych piechurów, biegnących za nami z wywieszonemi językami, módz ich dobrze przetrzebić?—Zdaje się, iż to ostatnie było właściwym powodem, gdyż spotkanie się na pałasze wobec tak przeważnych sił, byłoby za bardzo ryzykownem, bo mogliśmy być łatwo otoczonymi przez ćmę Moskali, a wówczas wyrąbaliby nas co do nogi, lub w najlepszym razie, moglibyśmy byli dostać się wszyscy do niewoli.

Niebawem artylerja zatoczywszy swe działa na pozycje, poczęła nam przesyłać źle celowane strzały, nikt bowiem z naszych nie zginął w tej bitwie od armatniej kuli. W ogóle artylerja moskiewska nie szczególnie wówczas strzelała, kule

ich zwykle nie donosiły lub też przenosiły, nie czyniąc nam szkody.

Podczas parogodzinnej kanonady z dział, trzy tylko strzały były celne: Jeden granat zapalił gorzelnię, drugi rozerwał na miazgę naszego psa obozowego, a trzeci pękł pomiędzy ich własną kawalerją i narobił z dragonów kapusty;—strzał ten ostatni wywołał ogólne i jednogłośne brawo! całego naszego oddziału.

Nieprzyjaciel opasując nas długiem półkolem zagrażał równocześnie obydwom naszym skrzydłom.

Przez pewien czas trzymaliśmy się na zajętych przez nas stanowiskach gdy jednak na wedetach, których jeszcze nie pościągano, dały się słyszeć strzały na prawem naszem skrzydle, Chmieliński dał sygnał do odwrotu, gdyż bał się obejścia z tej strony i odcięcia od lasu, w kierunku którego mieliśmy się cofać.

W parugodzinnej bitwie tej na polach Warzyna, straty nasze były nie wielkie — liczyliśmy zaledwie paru poległych i kilkunastu rannych, samych szeregowców; między tymi ostatnimi znajdowała się panna Biłek, która służyła jako żołnierz w 2gim plutonie kawalerji; biedna dziewczyna dostała się Moskalom do niewoli, a po wyleczeniu z ran w szpitalu w Kielcach wysłaną została na Sybir.

Cofając się w największym porządku, wśród ciągłych strzałów, dostaliśmy się nareszcie do lasu, tej naturalnej naszej fortecy. Moskale cofnęli się do Warzyna. Pospiesznym marszem przez Oksę, gdzie ledwie ze 2 godziny w nocy zatrzymaliśmy się — dotarliśmy do Nieznanowic, wioski leżącej pod samą prawie Włoszczową. Tutaj nakoniec mieliśmy przecie odpocząć nieco.

Pomimo głodu nikt nie skosztował nawet przygotowanego naprzód jedzenia, lecz najwyż-

szem pragnieniem każdego był choć jednogodzinny sen.

Piechota szczęśliwsza pod tym względem, ustawi w kozły broń, tornister pod głowę i już smacznie zasypia; kawalerzysta zaś, nim mu wolno głowę złożyć do spoczynku, musi wpierw konia swego opatrzeć, popręgi popuścić, rozkiełzać, dać mu siana trochę, potem owsa, napoić i znów siana założyć.

Trudno doprawdy mieć wyobrażenie o podobnem znużeniu, kto takowego nie doświadczał nigdy w życiu.

Kawalerzysta śpi zazwyczaj, kiwając się na koniu, który również idąc śpi. Nawet piechota zasypia w marszu, przebierając machinalnie i bezwiednie nogami, a jak legnie do spoczynku, gdy głowa uczuje, iż spoczywa na czemś, nie potrzebując sztywnie trzymać się na karku, wnet oczy bezwiednie się zamykają i w jednej sekundzie przychodzi sen. Wtedy szczególna obojętność ogarnia cały organizm człowieka, staje się nieczułym na wszystko, na życie nawet, za żadne skarby świata nie oddałby tej chwilki snu, gdyby nawet wiedział, że nieprzyjaciel nadejdzie i zamorduje go, on obojętny na to, przekłada sen nad życie. Niczem głód, niczem chłód, niczem wszystko, a może nawet i śmierć sama wobec podobnego znużenia.

Czyż można się dziwić, iż często rozbijano oddziały powstańcze w nocy napadając je we śnie? — Oddziałek taki był ścigany zawsze prawie przez siły przeważne, nietylko w ciągu kilku dni i nocy, lecz przez tygodnie całe, a gdy pozwolono mu spocząć na chwilę, to zasypiał snem najtwardszym i przedstawiał obraz, raczej masy nieczułych trupów, niż istot żyjących.

Pikiety rozstawione dla bezpieczeństwa całego oddziału, pomimo świadomości grożącego z dwóch stron niebezpieczeństwa, stojąc nieruchomie na miejscu, walczyły przez jakiś czas z cisnącym się na powieki snem, lecz musiały mu w końcu uledz i zasypiały. Jak mówię, niebezpieczeństwo z dwóch stron im groziło; naturalne, od nieprzyjaciela, a także i od swoich, gdyż żołnierz postawiony na czatach, złapany na gorącym uczynku snu, w oddziałach, gdzie panował ład i porządek, często skazany bywał na rozstrzelanie.

Nieprzyjaciel więc zszedłszy pikietę, pogrążoną we śnie, zabierał ją bez strzału do niewoli, podkradał się tym sposobem, pod zasłoną nocy, pod sam obóz, napadał śpiących, mordował, zabierał do niewoli i rozpraszał. Żołnierz, podczas takiego napadu nocnego, zbudzony z głębokiego snu strzałami i krzykiem atakującego nieprzyjaciela, widząc go tuż przy sobie, na wpół jeszcze śpiący i nieprzytomny, nie mogąc sobie zdać odrazu sprawy z położenia, w jakiem się raptownie znalazł nie rozumiejąc rozkazów oficerów, nie rozważając nad tem, iż w masie stawiając opór, mógłby się obronić, szedł zwykle w rozsypkę, chcąc się ratować ucieczką, w której najczęściej wymordowano go lub zabrano do niewoli. Lecz wróćmy do naszego opowiadania.

Stojąc w Nieznanowicach, wysłany około południa na zwiady rekonesans, daje znać o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Na tę wiadomość opuściliśmy Nieznanowice i ruszyliśmy ku rozległym lasom Koniecpolskim.

Niebawem w oddali za wsią od strony Lipna ujrzeliśmy kawalerję moskiewską, zbliżającą się ku nam w pełnym galopie, artylerję również w cwale i nareszcie kolumny piechoty, rozwijające

się w łańcuchy tyralierów, które zdążały biegiem za nami.

Maszerowaliśmy polem ogromnemi piaskami, a przeszedłszy następnie nie wielki lasek, wyszliśmy znów na pole pod wsią Czarncą, gdzie Chmieliński kazał jednej kompanji strzelców rozwinąć się w łańcuch tyralierski, reszta zaś oddziału postępowała dalej w kolumnie marszowej.

Niezadługo z lewego naszego flanku ujrzeliśmy wychylający się z poza górki szereg pik kozackich, poczem i samych kozaków całą setnię; za nimi szybko postępowały w czarnej masie dwa szwadrony dragonów na karych koniach; piechota nasza przyjęła ich strzałami, co powstrzymało ich zapędy, kozaki rozbiegły się na flankierkę, to samo i dragony zsiedli z koni i gęstym ogniem poczęli nas prażyć, armaty również zagrały. Piechota moskiewska nie zdążyła jeszcze nadciągnąć.

Pierwszy pluton naszej szczupłutkiej kawalerji tworzył awangardę, kozaki i część dragonów zachodząc nam od czoła razili celnemi strzałami.

Droga, którąśmy postępowali, prowadziła pod samym lasem, dowódca nasz plutonowy uważając widać, że niepotrzebnie wystawieni jesteśmy na celne strzały dragonów, a chcąc nas zaoszczędzić, nakazuje skręcić w las i maszerować obok drogi pod ochroną kozaków. Chmieliński spostrzegłszy to, przysyła zaraz swego adjutanta z poleceniem, abyśmy natychmiast wyszli z lasu napowrót na drogę i sformowani we front oczekiwali dalszych jego rozkazów, co usłyszawszy nosy grubo nam się poprzeciągały w nadziei usłyszenia czegoś niebardzo przyjemnego od pułkownika.

Cały oddział przeciągał wolno przed naszym frontem, nareszcie wraz z arjergardą nadjechał i sam Chmieliński.

Usłyszawszy porządną burę, iż bez jego rozkazu schowaliśmy się w las, za karę posłani zostaliśmy w arrjergardę dla zluzowania kompanji piechoty upadającej już ze zmęczenia.

Cały nasz pluton przetrzebiony dwudniową bitwą liczył zaledwie 22 ludzi; naszem więc teraz zadaniem było wstrzymywać w rejteradzie cały nawał Moskwy, rozsypawszy się zatem w tyralierkę, rozpoczęliśmy ogień cofając się stępo.

Do nas przyłączył się oficer wojsk austrjackich, kapitan tyrolskich strzelców, Niemiec, (nazwiska nie pomnę), który swemi strzałami dobrze dał się Moskalom we znaki; miał on przy sobie dwóch piechurów, którzy ciągle tylko nabijali mu karabiny, a on strzelał; każdy strzał jego był celny; on sam jeden, czego naocznym byłem świadkiem, zsadził z konia ze dwudziestu kozaków i dragonów. Ale bo też sławnym był strzelcem, o każdy jego strzał można było trzymać zakład, będąc pewnym wygranej.

Blizko godzinę może, rejterując w ten sposób, jeden pluton kawalerji i do tego tak nieliczny, wstrzymywał parcie całej kawalerji nieprzyjacielskiej z artylerją. Ta ostatnia w tej potyczce żadnej nam szkody nie wyrządziła, ani jeden strzał nie był celnym, kartacze z szumem podobnym do lotu stada gołębi, przelatywały ponad głowami naszemi, granaty również nie donosiły lub przenosiły; jeden granat padł tuż przed samym naszym łańcuchem, zrekoszetował, przesadził naszą linję padając w tyle daleko za nami, a tam wiercąc się w piasku pękł, nie zraniwszy nawet nikogo.

Piechota polska po trzechdniowej walce i ciągłym marszu, dniem i nocą mając nieprzyjaciela ciągle na karku, tak była zmęczoną, iż przyjęcie bitwy w tym stanie rzeczy narażało

cały oddział na niechybne rozbicie; to też Chmieliński dla ocalenia piechoty, postanowił poświęcić kawalerję wraz z sobą, a przynajmniej wystawić na szalę niepewną, powierzając ocalenie nasze jedynie szybkości nóg końskich.

Cofając się tak ciągle w ogniu, spostrzegamy naraz, iż piechota nasza gdzieś ulotniła się w krzakach; nie wiedzieliśmy, co to ma znaczyć. Chmieliński wyprowadziwszy drugi pluton kawalerji, będący teraz w awangardzie, z pod lasu na gołe pole i sformowawszy go we front, począł zbliżać się ku nam. Niedaleko nas już będąc, nakazał nam „odbój"; galopem sformowaliśmy się frontem do Moskali. Nieprzyjaciel, nie rozumiejąc naszych zamiarów, a ujrzawszy szybko sformowanych i przypuszczając atak z naszej strony, począł się również galopem formować, kozacy zaś, swoim zwyczajem rozrzuceni, zaczęli pojedynczo pod naszą kolumnę podsuwać się na dystans kilkudziesięciu kroków i razić nas swojemi strzałami, poczęły się pojedyncze harce z obydwóch stron i wzajemne gonitwy po polu. Nieprzyjacielska kawalerja liczyła 300 przeszło koni, nas było niespełna 50ciu; gdyby uderzyli na nas, na miazgę zgniecenibyśmy byli; nie uczynili jednak tego; z jakiego powodu? nie wiem. Czy obawiali się jakiegoś podstępu z naszej strony, np. zasadzki piechoty, która się nagle ukryła w krzakach? Czy też nasze zuchwalstwo, widząc nas sforsowanych i gotowych do ataku. Tak zaimponowaliśmy.

Staliśmy tak dość długo naprzeciw siebie w odległości 150 może kroków, patrząc sobie wzajemnie w oczy — naszych garstka w zbitym podwójnym szeregu, Moskali front długi, potrójnym łańcuchem mogący nas otoczyć.

Po podobnem wyczekiwaniu miał Chmieliński prawdopodobnie zamiar dać naszej piechocie

czas do znaczniejszego oddalenia się od pola walki. Wreszcie piechota moskiewska jak mrowie poczęła snuć się z lasu i witać nas kulkami.

Dalsze stanie byłoby już nierozsądkiem, gdyż oprócz niebezpieczeństwa wszechstronnego otoczenia nas kawalerją, moglibyśmy także być jak kaczki wystrzelani przez piechotę.

Poczęliśmy więc cofać się stępo; dopóki trzymaliśmy się brzegu lasów, dotąd i dragoni atakować nas nie śmieli. Postępowali stępo za nami, mając widać zawsze jeszcze obawę zasadzki ze strony naszej piechoty; gdy jednak trzymając się kierunku drogi wyszliśmy na czyste pole, straciwszy czucie z lasem, Moskale widząc nas oddalających się od piechoty, w pełnym galopie przypuścili szarżę, poczem na dobre zaczęliśmy urządzać nogę, powierzając życie szkapie, na której się grzbiecie siedziało.

Pułkownika swego trzymaliśmy przed sobą, popędzając z tyłu jego konia, by dobrze nogi naciągał, każdy miał sobie za punkt honoru nie wyprzedzać w tych śmiertelnych wyścigach swego ukochanego dowódzcy. Chmieliński, jak to już nieraz wspomniałem, był bardzo surowy i ostry, wszyscy jednak widząc jego odwagę i przytomność umysłu w boju i dzielność w dowództwie, szanowali go i kochali bardzo, gdyż w życiu jego widzieli swe ocalenie.

Odległość Czarncy od Secymina, małej mieściny, dokąd zdążaliśmy, wynosi pięć wiorst; na tej to przestrzeni pędziliśmy co koń wyskoczy.

Do Łopuszna (wioski leżącej obok drogi, którą gnaliśmy) ciągnęły się pola, dalej zaś poczynały się rozległe łąki i moczary, do samego Secymina, przez które prowadziła nasza droga, dość szeroka, ogrodzona opłotkami.

Łąki te od powyższych pól oddzielał rów

szeroki, głęboki i bagnisty, przez który był przerzucony dość wązki mostek, tuż zaś zanim wzdłuż rowu kawałek suchej łąki, a nieco dalej poczynały się już moczary i płoty. Nim Moskale zdołali nam wsiąść na kark, zdążyliśmy przebyć mostek, a gdy ostatni nasz żołnierz przejechał go Moskale doń dobiegali.

Tutaj to miała miejsce dość zabawna scena: Chmieliński przeprawiwszy się po za rów, stanął i zwrócił raptem swego konia, wszyscy nasi zrobili to samo, a nie wiedząc, co to ma znaczyć uszykowali się wzdłuż rowu. Cała masa Moskwy nadleciawszy i nie mogąc przeprawić się za rów, przez który jedyną możebną przeprawę stanowił ów mostek, zatrzymała się i również rozciągnęła wzdłuż rowu vis-à-vis nas. Wtem najpierwszy wpada na mostek major dragonów, wysoki mężczyzna o niebieskich okularach, naprzeciw niego, spiąwszy konia ostrogami wyskakuje Chmieliński; byli tak blisko siebie, iż konie ich prawie pyskami dotykały się; wtedy Chmieliński zaczął mu prawić kazanie o wolności, służalcach, despotyzmie i t. p. historjach, których treści dziś już nie przypominam sobie, podczas całej tej perory pałaszem swoim machał mu pod samym prawie nosem.

Major na podobne niespodziewane zjawisko tak zgłupiał, iż ręka z pałaszem zwisła mu na dół, a mina jego stała się tak idiotycznie zadziwioną, iż gdyby nie emocja, którą każdy z nas czuł w sercu na widok nawału Moskwy, stojącej oko w oko naprzeciw nas, nie dalej jak dziesięć kroków za rowem, można było pękać od śmiechu.

Wszyscy dragoni podobnie swemu majorowi pogłupieli; widząc swego dowódcę prowadzącego gawędę, a raczej słuchającego z pokorną miną Chmielińskiego, nie mogli pojąć znaczenia tego,

nie przedsiębrali więc żadnych kroków nieprzyjacielskich; tak staliśmy co najmniej 5 minut, naprzeciw siebie oko w oko z wrogiem, będąc tylko rowem oddzieleni od siebie, a dla obojętnego widza musielibyśmy śmiesznie się wydawać.

Pozycja zaczynała być trochę kompromitująco-nieprzyjemną. Moskale oprzytomniawszy poczęli chwytać za karabinki na plecach pozawieszane, my również poszli za ich przykładem. Wtem ktoś z naszych podjechawyszy ku Chmielińskiemu, łapie konia jego za cugle, inni przylepiają temuż kilka płazów pałaszem i otoczywszy dowódcę, aby go zasłonić od pocisków nieprzyjacielskich, uprowadzamy go pędząc co koń wyskoczy.

Major, a za nim kozacy, najpierwsi przeprawili się przez mostek, a mając konie wypróbowanej szybkości, poczęli nas z tyłu doieżdżać. Nieszczęście mieć chciało, iż na drodze pośród opłotków natrafiamy na stado cieląt z paszy wracających; z początku biedne stworzenia, podniosłszy ogony do góry, zmykały jak mogły, niedługo jednak dopędziwszy roztratowaliśmy je kopytami końskiemi.

Przez te to cielęta trzech naszych szeregowców śmierć poniosło, bo przewróciwszy się z końmi zostali rozćwiartowani szaszkami kozackiemi; między poległymi znajdował się niejaki Saski, 16-letni młodzieniec, syn obywatela ziemskiego z Rudy z Kieleckiego.

Dopadliśmy nareszcie Secymina; tu wjechawszy w ulice wstrzymaliśmy się, dali ognia do nacierających kozaków i znów w nogi.

Przed nami uciekała jakaś fura, skręciła w galopie w podwórze, tuż za nią skręcił raptem i koń Chmielińskiego, a za tym wszyscy poczęli się pakować. Gdyby nie strzały, które na wstępie

do miasteczka przesłaliśmy kozakom, przez co ci zatrzymali się chwilkę, Chmieliński wraz z tymi, co wpakowali się za nim w podwórze, otoczone ze wszech stron płotem, niechybnie śmierć by ponieśli, lub dostali się do niewoli.

Wydostawszy się z podwórza, a następnie i z miasteczka, wybiegliśmy na pole, w końcu którego w niewielkiej odległości czernił się las. Szczęśliwie dobiliśmy do niego; Moskale wybiegłszy z zmiasta i widząc nas blizko już naszej fortecy, wstrzymali pogoń, przesławszy nam tylko ze dwie setki kul[ek na pożegnanie. Znalazłszy się w lesie, odetchnęliśmy swobodniej czując się ocalonymi. Zatrzymaliśmy się trochę na brzegu lasu dla odsapnięcia zgonionym koniom i własnego odpoczynku, baczną jednak zwracając uwagę na Secymin, do którego cofnęli się Moskale.

Każdy z pewnością gorąco dziękował Bogu za ocalenie, w chwili bowiem, gdyśmy stanęli po zniknięciu naszej piechoty na polach Czarneckich, oko w oko z ośmkroć liczniejszym wrogiem (licząc tylko samą kawalerję nieprzyjacielską) mimowoli pomyśleć się musiało, iż ostatnia godzina wybiła już dla nas.

W ucieczce tej straciliśmy kilku ludzi i koni, lecz cel główny osiągniętym został, piechota bowiem nasza, która upadała już z nadmiaru zmęczenia, ocalała.

Po krótkim wypoczynku ruszyliśmy z miejsca, a w dwie godziny stanęliśmy obozem w Rudnikach.

Straty nasze w tej trzechdniowej, jednym prawie ciągiem prowadzonej bitwie były przerażające; z ładnego tego doskonale wyćwiczonego i wymustrowanego oddziału nie zostało jak ze 160 piechoty i czterdzieści kilka koni kawalerji, razem 200 z górą ludzi; ubyła nas zatem blisko połowa.

Autor Pam. powst. z 1863/4 myli się licząc w tej chwili samej naszej piechoty 300 ludzi; przed trzema temi bitwami Ciernem, Warzynem i Czarncą wynosiła ona ledwie 300 ludzi z górą.

Z Rudnik dla zmylenia śladu Moskwie, pomaszerowaliśmy do Kluczeska, a ztamtąd kontramarszem do Rudnik napowrót, gdzie ku wielkiej wspólnej radości, znaleźliśmy się znów razem z piechotą naszą.

Będąc bardzo zmęczony i trochę niezdrów po trzechmiesięcznym ciągłym bez przerwy pobycie w obozie Chmielińskiego, postanowiłem parę dni odpocząć, w którym to celu prosiłem pułkownika o udzielenie mi krótkiego, parodniowego urlopu; uzyskawszy go, konno i zbrojno udałem się do domu.

Stanąwszy u celu mojej podróży w samo południe, zastałem rodzinę siadającą do obiadu; odpasawszy pałasz, zdjąwszy ładownicę i mundur, przyoblekłszy naprędce jakąś cywilną kurtkę, aby nie świecić w oczy służbie mundurem, siadłem z porządnym apetytem do stołu.

Niedługo potem wpada lokaj, stary wiarus z rewolucji listopadowej, blady jak trup, z nieprzyjemną wiadomością, iż dragoni moskiewscy wjeżdżają na podwórze; w tejże prawie chwili widzimy z kilkudziesięciu galopem otaczających cały dwór, za każdem oknem, z twarzą zwróconą do wnętrza stanęło po dwóch dragonów.

W tak krytycznej chwili, zbledłąć musiałem jak chusta, gdyż uczułem dreszcz, który przebiegł po całem ciele. Położenie było fatalne; siedziałem naprost okna, czworo oczu dragońskich wpatrywało się we mnie.

Zdawało mi się, iż czytają z mej twarzy, z drgań moich muskułów, iż jestem powstańcem, siedziałem przykuty do miejsca, bojąc się ruszyć raz dla tego, iż obawiałem się obudzić jakieś po-

dejrzenie, a następnie wstawszy zaraz bym się był zdradził, gdyż mundur tylko zrzuciłem, spodnie zaś granatowe z czerwoną wypustką miałem na sobie i przy butach ostrogi, drętwiałem cały, oczekując, rychło li te argusowe oczy wyśledzą pod stołem części dolne mojego ubrania. Podobnie mnie, wszyscy obecni również byli pomięszani, wreszcie siostra moja, wyniosłszy się nieznacznie z jadalnego pokoju, schowała pałasz mój i ładownicę, które gdzieś na wierzchu zostawiłem, a ojciec, pomięszany, wybiegł na ganek dla przyjęcia tak dalece niepożądanych gości. Ku ojcu podjechał dowódzca oddziału dragonów i grzecznie prosił o danie mu przewodnika na koniu. Ojciec dla formy, a więcej jeszcze dla odwrócenia podejrzenia wszelkiego, poprosił go, a raczej zapytał, czy nie zechce trochę spocząć i posilić się; zaproszenie to prawdopodobnie nie bardzo łatwo mógł ojciec przez gardło wykrztusić.

Dowódca, jakiś widać uczciwy człowiek, odpowiedział ojcu półgłosem tak, aby przez swych podkomendnych nie mógł być słyszanym, iż nie może przyjąć ofiarowanej mu gościnności pomimo, iż jest przy dobrym apetycie, przyczem dał ojcu do zrozumienia, iż z jego twarzy czegoś podejrzanego się domyśla, obawia się przeto, aby jego dragoni w jaką kolizję ojca nie wprowadzili.

Nie potrzebuję wspominać, ile wdzięczności w sercu i szacunku zarazem uczuł ojciec dla tego zacnego człowieka.

Przez dziesięć może minut, jakie stali Moskale przed gankiem dworu, nie zsiadł nawet z konia, aby przykładem swoim nie zachęcić dragonów do naśladowania go. Niebawem zjawił się przewodnik i dragoni pomaszerowali dalej.

Tych dziesięć minut wydało mi się wiekiem! Gdy dziś jeszcze, po tylu latach, przypomnę sobie

oczy te dragońskie, wlepione przez okno we mnie, na samo wspomnienie niedobrze mi się robi; a uważam to za szczególną jakąś łaskę Boga, uproszoną dla mnie modlitwami mojej matki, tego anioła opiekuńczego, któremu w głębi mego przekonania zawdzięczam, iż z ubiegłych trudów i walk wyszedłem cało.

Po tej niespodziewanej wizycie, która tyle najróżnorodniejszych uczuć w tak krótkim czasie, bo zaledwie w kilku minutach, mię kosztowała, uczułem się niebardzo bezpiecznym w domu i czekałem tylko sposobności, aby jak najprędzej udać się z powrotem do oddziału. To jednak nie było łatwem. Doszły mię bowiem wieści, iż Chmieliński w dalsze pomaszerował okolice, puszczać się więc samopas na koniu, w mundurze i zbrojno, było bardzo niebezpiecznem, gdyż Moskale ze wszech stron maszerowali na Chmielińskiego, mogłem więc z łatwością wpaść w ich szpony; postanowiłem nareszcie czekać, aż oddział zbliży się napowrót w te strony.

Podczas tygodniowego mego pobytu na urlopie, miała miejsce w wiosce naszej uroczystość, której głównym byłem bohaterem.

Dotychczas byłem z wody tylko chrzczony, przyszło mi więc do głowy, aby mię w mundurze żołnierza polskiego ochrzczono i z ceremonii. Akt ten odbył się z wielką uroczystością w miejscowym kościele. Na rodziców moich chrzestnych zaprosiłem całą gromadę wioski.

W pierwszej parze trzymał mię lokaj nasz z byłą piastunką moją, obecnie panią sołtysowa; lokaj ten służył w naszej rodzinie już przeszło 40 lat, był to staruszek, numizmat familijny, uważany więcej za członka rodziny, jak za służącego, żołnierz 3go pułku ułanów z r. 1831; służył on jeszcze przed rewolucją u śp. dziadka mego, Su-

chodolskiego, i matkę moją jako dziecko jeszcze na rękach niańczył.

Drugą parą rodziców moich chrzestnych był sołtys gminy, z najpoważniejszą we wsi matroną, i tak dalej według wieku cała gromada; znalazło się przeszło 50 par nowych rodziców, jakiemi zostałem obdarzony. Ojciec mój z ludem podwładnym mu (a były to czasy jeszcze pańszczyźniane) obchodził się zawsze po ludzku, sprawiedliwie, a nawet prawdziwie po ojcowsku; to też potrafili to ocenić i wywzajemniali się prawdziwą przychylnością dla dworu.

Ja chociaż zawsze miałem u nich łaski, od chrztu jednak tego zaszczycali mię szczególnemi względami, nazywając swoim synem, a swojego przywiązania i serca dla mnie dawali liczne dowody przez cały czas powstania.

Po tygodniowym pobycie w domu dowiaduję się, iż Chmieliński stoi obozem w Rogienicach, wiosce półtory mili odległej od miejsca, gdzie obecnie się znajdowałem. Wsiadłem więc na koń, wypocząwszy sobie należycie i podążyłem do Rogienic, gdzie połączyłem się ze swoimi. Z zadziwieniem znalazłem oddział trzy razy większy, jak go opuściłem.

Tutaj dowiedziałem się, iż w czasie mojej niebytności Chmieliński bił się z nieprzyjacielem pod Mełechowem. W bitwie tej brał udział nie tylko sam Chmielińskiego oddział, lecz także i inne dwa, mianowicie: Iskry (który w przeddzień bitwy mełechowskiej za nadużycie, z rozkazu Rządu narodowego, rozstrzelanym został), a nadto mały, świeżo sformowany oddziałek Zaremby, w sile 100 ludzi, w większej połowie z Węgrów złożony.

Podczas bitwy Zaremba (Władyczański) i Otto (Esterhazy), który objął komendę po rozstrzelanym Iskrze, dowodząc jeden prawem, drugi

lewem skrzydłem, polegli; oprócz wielu zabitych i rannych, między innymi ubył także z szeregów, będąc ciężko rannym, podoficer 2go plutonu kawalerji, Chm., zacny i godny młodzieniec, a do tego dzielny żołnierz, którego wszyscy lubili, pękający granat tuż obok jego konia, którego zabił, zgruchotał mu nogę.

W bitwie tej siły nasze wynosiły blisko 800 ludzi, ze strony zaś przeciwnej było 7 rot piechoty i 200 koni kawalerji, razem przeszło 1000 ludzi z 4ma działami, pod wodzą pułkownika Schulmana.

Parugodzinna ta bitwa była zwycięzką dla naszego oręża; Moskale zmuszeni byli do cofnięcia się.

Chmieliński nie mógł wyzyskać chwilowego zwycięztwa, gdyż na wiadomość o nadejściu nowych posiłków nieprzyjacielskich, maszerujących na jego tyły, zmuszony był nakazać odwrót. Zręcznemi obrotami i szybkiemi ruchy potrafił Chmieliński wyprowadzić nasze oddziały z niebezpiecznej sytuacji

W skutek wiadomości o zbliżaniu się Moskwy opuściliśmy Rogienice; pod samą Oksą Chmieliński postanowił zrobić zasadzkę na nieprzyjaciela.

Na polu ustawił kawalerję, której lewe skrzydło opierało się o bagna, prawe zaś o mały, nakształt parku gęsty lasek, w którym umieścił dwie kompanie piechoty. Z tyłu kawalerji ciągnęła się droga, prowadząca z Lipna do Oksy, na całej swej długości wysadzona gęstym szpalerem drzew; na tej to drodze ukrytą została reszta naszej piechoty, stanowiąca większą część oddziału. Od strony nieprzyjaciela daleko naprzód wysunięta stała placówka kawaleryjska.

W pozycji tej staliśmy co najmniej ze dwie godziny nieruchomie.

Czy Chmieliński zmienił dobrowolnie pierwotny swój plan zasadzki, czy też zmuszonym był do tego w skutek zbliżenia się nieprzyjaciela z kilku stron naraz? — tego nie wiem — dość, że niedoczekawszy się Moskali, przed samym wieczorem opuściliśmy nasze stanowisko i pomaszerowali dalej. Późno już w nocy dotarliśmy do Dzierzgowskiego młyna, niedaleko Jędrzejowa.

Tutaj zwołał Chmieliński radę wojenną, na której postanowiono, w obec grożącego niebezpieczeństwa, rozdzielenie oddziału na drobne części i rozstrzelenie go w najrozmaitszych kierunkach po całem województwie krakowskiem.

W całem tem województwie, oprócz Chmielińskiego, nie było żadnego innego oddziału. Moskale uwzięli się zniszczyć nas ostatecznie, w którym to celu z kilku miejscowości, jak z Kielc, Miechowa, Częstochowy i Piotrkowa, wyszły naraz znaczne siły, które zdążały koncentrycznie ku nam. Byliśmy ze wszech stron otoczeni dziewięciokroć liczniejszym nieprzyjacielem, dwie były tylko drogi wyjścia, albo przełamać łańcuch ten okalający nas przebojem, lub też rozsypać się.

Chmieliński wybrał początkowo, zdaje się, pierwszą, tak przynajmniej zrozumiałem zamiar przyjęcia bitwy pod Oksą. Nie pojmuję jednak dotąd dwóch rzeczy, mianowicie: Dlaczego Chmieliński zmienił projekt i niedoczekał pod Oksą nieprzyjaciela, a następnie, dlaczego Moskale idąc w trop za nami, nie przyszli do Oksy, wiedząc prawdopodobnie o nas, a tem samem nie przyjęli bitwy, lecz pozostali w Rogienicach? Czy wątpili o zwycięstwie nas, czy

też może zadaniem ich było, deptać nam po piętach i oczekiwać, aż inne ich kolumny nadejdą z przeciwnych stron?

W nocy, po krótkim wypoczynku w Dzierzgowskim młynie, zbudzeni zostaliśmy rozkazem do wymarszu; piechota plutonami a nawet sekcjami rozstrzeliła się we wszystkich odśrodkowych kierunkach, kawalerja zaś pod dowództwem Neymana, poszła w kierunku wskazanym prawdopodobnie przez samego pułkownika, w Pińczowskie.

Sam Chmieliński pozostał na miejscu, dopóki ostatni jego żołnierz nie znikł w ciemnościach nocy; gdzie się udał, nikt z nas nie wiedział.

Nazajutrz rano wszystkie prawie kolumny moskiewskie zeszły się w Jędrzejowie i zadziwiły nie mało, nie znalazłszy nas nigdzie. Moskale podziwiali zdolność partyzancką Chmielińskiego, iż potrafił się wymknąć z całym, tak licznym, oddziałem, z koła, jakiem go opasali, nie straciwszy ani jednego żołnierza.

Po całodziennym pobycie w Jędrzejowie oddziały moskiewskie rozeszły się znowu, zajmując wszystkie okoliczne miasteczka, Małogoszcz, Włoszczowę, Szczekociny i Jędrzejów, dla obserwowania, ażali Chmieliński ze swym oddziałem nie wyjdzie gdzie z pod ziemi.

W stanowiskach tych obserwując ciągle i wysełając tylko silne rekonesanse na wszystkie strony, przesiedzieli 8 dni; w końcu, nie mając z nikąd wiadomości o pojawieniu się powstańców, utwierdzili się w przekonaniu (co zresztą umyślnie z naszej strony rozgłoszono), iż Chmieliński rozpuścił oddział, sam wyjechawszy za granicę — i powrócili do swoich obozów.

Po tylu i tak częstych potyczkach, w których walcząc zawsze z dwa, nawet trzykroć silniejszym

wrogiem, nie byli nigdy rozbici, Rząd narodowy w uznaniu zasług Chmielińskiego, awansował go na pułkownika.

Po upływie tygodnia dowiedział się Czengiery, iż kawalerja Chmielińskiego egzystując jeszcze, znajduje się w okolicy Stopnicy; wysłał więc szwadron dragonów z pół sotnią kozaków w pogoń za nami. Dosięgli nas w Stawach pod Pinczowem dnia 9. października, gdzie zatrzymaliśmy się dla wypoczynku koni, oraz posilenia własnych żołądków.

Właśnie podczas obiadu padły pierwsze strzały na pikietach; ujrzawszy z dala cwałem pędzących dragonów i wyniósłszy się szybko z podwórza w niezupełnym porządku, zrejterowaliśmy pod las, gdzie rozwinąwszy się w łańcuch flankierski, rozpoczęliśmy ogień.

W rejteradzie tej dowódca nasz, Neyman, dostał postrzał w nogę od kuli nieprzyjacielskiej, a nie w skutek własnego strzału, jak utrzymuje autor Pamiętników powstańca — i w tym stanie więcej jeszcze jak $1^1/_2$ mili musiał biedak jechać konno, w asystencji dwóch żołnierzy (którzy dla jego bezpieczeństwa z nim się udali), zanim mógł przesiąść się na furę.

Moskale również zatrzymawszy się, rozpoczęli flankierski ogień.

Dowództwo nad oddziałem po Neymanie zaraz na placu boju objął Bolesław Łącki, były oficer wojsk rosyjskich, który w samych jeszcze początkach powstania dezerterując z szeregów nieprzyjacielskich z Kielc, w mundurze, z bronią, przybył do oddziału Bończy, następnie służył w oddziale Iskry, po śmierci którego wraz z całym oddziałem jego przeszedł pod rozkazy Chmielińskiego.

W miesiąc po wypadkach, które tu opisuję, dostał się, nie pamiętam już jakim sposobem, do

niewoli, i z Kielc, będąc w więzieniu pod obcem nazwiskiem, został wysłany z partją innych więźniów na Sybir. Zegnając znajomych w Kielcach, cieszył się, iż tylko Sybir, nie kulka, jak dezerterowi, dostanie się w udziale. Nieszczęśliwy nie spodziewał się, iż niezadługo z kulką się spotka. Po przybyciu bowiem do Radomia, gdzie stacjonował obecnie pułk w którym on poprzednio służył, poznany i zdradzony przez dawnych swoich kolegów rosyjskich, zaraz, bez sądu rozstrzelanym został.

Wracając się do potyczki, lewem naszem skrzydłem opieraliśmy się o las. Moskale poprzestając chwilowo na strzelaninie, maskowali manewr, jakim chcieli nas podejść; wyprawili bowiem na około przez las, do którego dotykaliśmy, oddział kozaków, aby obszedłszy nasze lewe skrzydło, rzucił się niespodziewanie na nasze tyły; przypadek jednak zrządził, iż manewr ten im się nie udał.

Po pewnym przeciągu czasu usłyszeliśmy daleko w lesie strzały. Spodziewając się jakiegoś podstępu, poczęliśmy strzelając rejterować i równocześnie oddalać się od lasu. Niebawem w oddaleniu ćwierci mili spostrzegliśmy z dwudziestu jeźdźców wypadających z lasu, a za nimi kilkudziesięciu kozaków.

Dowiedzieliśmy się potem, iż oddział kozaków, mający obejść nas lasem, by prawdopodobnie uderzyć następnie na nasze tyły, natrafił przypadkiem na oddziałek żandarmerji konnej pod dowództwem Junoszy i za takowym popędził.

Cofając się ciągle w zupełnym porządku, przeszliśmy wpław rzekę Nidę pod samym Pińczowem i pomaszerowali dalej. Moskale pozostali za rzeką.

Na noc stanęliśmy obozem w małej wiosce pod samym Sancygniowem, niedaleko miasteczka Działoszyc.

Nazajutrz po całodziennym marszu, przeszedłszy szosę kielecko - krakowską, między Książem a Wodzisławiem, rozbiliśmy obóz w w jakimś folwarku, położonym w pośród rozległych pól na górze.

Tutaj przybył do nas z Krakowa major Markowski z rozkazem Chmielińskiego objęcia komendy nad naszym oddziałem.

Z Markowskim kręciliśmy się dłuższy czas nie spotkawszy się ani razu z Moskalami, którzy siedzieli cicho nie wychylając się po za swoje obozy.

Piechota nasza dotąd ciągle była jeszcze na drobne części podzielona, wszystka ocalała, z wyjątkiem oddziałku, nad którym miał komendę kapitan Anderson, a który przez kolomny moskiewskie do swych leż wracające spotkany, rozbity i prawie całkowicie do niewoli zabranym został wraz ze swym dowódcą.

Anderson, jako były oficer rosyjski, bezzwłocznie na śmierć skazany i w Kielcach powieszony został; — mówiono, że po zdjęciu z szubienicy jeszcze znaki życia dawał, bez względu jednak na to, do dołu wrzuconym i zasypanym został.

Pewnego razu w marszach naszych ciągłych spotkaliśmy się w lasach Kosowskich z piechotą, stanowiącą przedtem osobny oddział Iskry, a obecnie mającą swoim komendantem majora Grylińskiego, który zostawał jednak pod rozkazami pułkownika Chmielińskiego, jako naczelnika wszystkich sił zbrojnych Województwa Krakowskiego.

Dochodząc do obozu tejże piechoty, zdala już słyszymy jakiś gwar i hałas niezwykły, — a

przybliżywszy się, dolatują uszów naszych wykrzyki złowrogie: Idą rozbójniki, Chmielińszczaki, którzy nam naszego dowódcę (Iskrę) rozstrzelali, wykłujmy tych gałganów i wystrzelajmy jak kaczki.

Powodem rozruchów tych i wzburzenia umysłów było, iż Chmieliński w jakimś interesie zawezwał Grylińskiego do siebie z wyraźnem poleceniem, aby przybył bez żadnej eskorty; z tego więc powodu rozniosła się bezpodstawna wieść w oddziale, iż Gryliński został aresztowanym (za co — właściwie, sami nie umieli powiedzieć.)

Na nasze spotkanie wychodzi spiesznie kapitan Denisiewicz, zastępca Grylińskiego i opowiada Markowskiemu, co zaszło w jego oddziałku.

Markowski bojąc się krwi bratniej rozlewu, z powodu wielkiego wzburzenia uznał za stosowne cofnąć się tą samą drogą, którąśmy przyszli;— krzyczano jeszcze za nami z obozu, odgrażając się zastrzeleniem Chmielińskiego przy najpierwszem spotkaniu.

Po godzinie może marszu, szczególnym trafem spotykamy w drodze jadącego na wózku Chmielińskiego, w cywilnem ubraniu, w towarzystwie naszego lekarza oddziałowego.

Chmieliński od niejakiego czasu będąc cierpiącym, ukrywał się po obywatelskich dworach, doktor nie odstępował go.

Gdy nadjechał, opowiada mu Markowski o zajściu w lesie z oddziałem Grylińskiego. Chmieliński zrywa się z siedzenia jak oparzony, i krzyknąwszy: „konia!“ zeskakuje z wózka.

Markowski perswaduje mu, aby nie narażał się bezpotrzebnie na niebezpieczeństwo, iż jaki szaleniec egzaltowany może rzeczywiście dopuścić się zamachu zbrodniczego. Chmieliński ani o tem słyszeć nie chce.

Chciał wreszcie Markowski dla bezpieczeństwa towarzyszyć mu z całym oddziałem kawalerji, ale i temu odmówił rozkazując nam maszerować dalej,—a sam dosiadłszy konia galopem puścił się do lasu; pospieszna jazda zdradzała wewnętrzne jego rozdrażnione usposobienie w tej chwili.

Pułkownik choć w cywilnej odzieży, nosił jednak zawsze przy sobie rewolwer.

O dalszym ciągu tej afery opowiadano nam potem, iż gdy piechota ujrzała zdala i poznała Chmielińskiego, wszczął się rozruch ogromny w obozie, połączony z odgróżkami; gdy jednak Chmieliński, stanąwszy między nimi krzyknął: „Do szeregu!“ oddział cały w jednej chwili sformował się we front mrucząc jednak jeszcze pod nosem.

— „Którzy to z was odgrażali się, iż mnie zaszarpią?!“— Cisza jakby makiem zasiał. Przejeżdżając wzdłuż szeregów, powtórzył zapytanie raz jeden i drugi; nie znalazł się nikt, ktoby się przyznał do winy, znali już bowiem z opinji Chmielińskiego, iż żartować nie lubi, a śmiałek, któryby się odważył przyznać, kulką w łeb dostał by niechybnie.

Wykrzyczawszy wszystkich porządnie, zagroził, zdziesiątkowaniem całego oddziału w razie powtórzenia się scen podobnych; poczem, kazawszy się rozejść z szeregu, wśród największej ciszy opuścił obóz.

Maszerując dalej przybyliśmy do Radkowa, gdzie kilka dni obozowaliśmy. Chmieliński zrestaurowawszy się na zdrowiu, przybył nareszcie tutaj do nas. Przez czas jego nieobecności duch w oddziale osłabł znacznie, nie widząc zachowania się Markowskiego podczas bitwy, nie znając zatem jego wartości jako dowódzcy, nie mieliśmy wielkiego doń zaufania. Po zjawieniu się jednak

pułkownika, ukochanego naszego wodza, wszyscy odżyli, duch wstąpił w nas, a w serca nadzieja i pewność siebie.

W Radkowie otrzymał Chmieliński wiadomość, iż Moskale pod wodzą majora Bentkowskiego, w sile 6 rot piechoty, szwadronu dragonów i kilkudziesięciu kozakami z rakietnikami wyruszyli z Kielc ściągać podatki, których zapłaty obywatele ziemscy z rozkazu rządu narodowego odmawiali.

Maszerowali oni w kierunku Wołoszczowy.

Na wieść o tem Chmieliński począł spiesznie ściągać porozrzucane oddziałki piechoty między Wołoszczową a Szczekocinami, bez skoncentrowania ich jednakże w jedną całość.

Zjawia się nareszcie kurjer z wiadomością, iż Bentkowski przybywszy rano do Rogienic, będzie tam stał cały dzień na egzekucji i dopiero nazajutrz ma dalej pomaszerować.

W nadziei, iż Moskwa nie wie o naszej obecności pod samym jej bokiem, przez co łatwiej można będzie ją podejść, Chmieliński układa zaraz projekt ataku. Wysyła bezzwłocznie kurjerów na wsze strony, z rozkazem natychmiastowego skoncentrowania wszystkich oddziałków piechoty w Dzierzgowie, dokąd i sam z kawalerją wyruszył.

Tutaj przybył dla zlustrowania oddziału nie jenerał Bosak — jak to autor Pamiętników powstańca mylnie sądzi — lecz naczelnik cywilny województwa krakowskiego; tu również do zgromadzonego oddziału w komplecie odczytana była proklamacja Rządu narodowego z pochwałami dla nas, zaczynająca się po napoleońsku: „Żołnierze z pod Cierna, Warzyna, Czarnej i Mełchowa!... — która połechtała porządnie naszą dumę i miłość własną. Proklamacja ta, sądzę, wpłynęła wiele na odwagę i waleczność żołnierza w bitwie pod

Oksą, która miała miejsce nazajutrz dnia 20. października.

Przed samym wieczorem dowiaduje się Chmieliński, iż nieprzyjaciel opuściwszy Rogienice, udał się na nocleg do Oksy.

Wielka różnica zachodziła atakować Rogienice a Oksę — tu wioska, stojąca ze wszech stron otworem, Oksa zaś wprawdzie również wieś, lecz rozległe, posiadająca więcej podobieństwa do miasta, kwalifikująca się zatem lepiej do obrony; dwór sam nadto stanowił rodzaj małej forteczki, w czworobok zbudowanej, ramiona którego formowały dwór sam, oficyny i stajnie, połączone między sobą wysokim murem.

Była to więc zamknięta pozycja, dobrze obronna wobec nieregularnego wojska, do której prowadziły tylko dwa wejścia: dwie bramy, również wysokie jak i mur sam, całkowicie zaszalowane, jedna od drogi, druga od ogrodu.

Cofnąć się od powziętego raz zamiaru było już niepodobnem, oddział cały bowiem wystąpił na widownię skoncentrowawszy się pod samym nosem Moskwie; ta zaś dowiedziawszy się o nim, a będąc w odpowiedniej sile, niezawodnie byłaby na nas uderzyła, i role nasze zmieniłyby się zupełnie, z atakujących bylibyśmy atakowani.

Opuściwszy Dzierzgów, przybyliśmy do małej wioski Chyczy, na południe od Oksy położonej, odległej pół mili od tej ostatniej, która to przestrzeń cała pokryta była lasem.

Siły nasze wraz z kawalerją wynosiły najwięcej do 650 ludzi, nie zaś 1100 ludzi (jak autor Pam. powst. podaje), do takiej wysokości sam oddział Chmielińskiego nigdy nie doszedł.

Po krótkim wypoczynku wyruszyliśmy dwoma oddziałami na Oksę. Nad pierwszym w sile dwóch kompanji piechoty, miał dowództwo major Gryliński, pułkownik zaś wziął z sobą cztery

kompanie piechoty i całą kawalerję. Godzina 2-ga po północy była terminem stawienia się na pozycji.

Położenie Oksy jest następujące: Od południa dotyka do wsi dwór z zabudowaniami, o których wyżej mówiłem, na podwórze dworskie dostać się było można dwiema tylko bramami: Od głównej drogi i od ogrodu, przytykającego do wiejskich domostw. Za murem na zewnątrz znajdował się maleńki sosnowy lasek, za którym ciągnęły się trzęsawiska i bagna aż pod sam duży las, w odległości zaś tysiąca kroków stoi w polu folwark dworski, mający obszerne zabudowania, jakoto: stodoły, stajnie i owczarnie wraz z kilkoma domkami mieszkalnemi; w tym to folwarku głównie roztasowała się moskiewska piechota. Dowódzca jej major Bentkowski (zmoskwicony Polak, z nieludzkiego obchodzenia się z jeńcami wojennymi znany powszechnie), z oficerami i kawalerją zajął dwór. Stanąwszy pod Oksą w oznaczonym czasie, Chmieliński, podzielił znów oddział, z którym przyszedł; dwie kompanie pod wodzą majora Bogdana (byłego oficera wojsk rossyj., podobno Ukraińca), posłał w celu zajęcia drogi od Małogoszcza, na północ wioski położonej, zarośniętej po obydwóch stronach gęsto drzewami. Kawalerję ustawił w dwa szeregi frontem do wsi w odległości kilkuset kroków od folwarku, a pozostałe dwie kompanje piechoty, pod wodzą kapitana Walerego Nowickiego (syna urzędnika z Kielc), rozsypane w tyralierkę, ukrył w krzakach, dotykających prawego skrzydła kawalerii naprost folwarku.

Gryliński, dowodząc również dwiema kompaniami, miał rozpocząć bitwę, strzały jego miały być hasłem do ogólnego ataku; zadaniem jego było, dostawszy się przez bagna, zająć lasek sosnowy koło dworu, a tem samem atakować nieprzyjaciela z tyłu.

Świtać poczęło, a Gryliński nie dawał jeszcze znaku o sobie, pułkownika irytowała mocno ta zwłoka; dłuższe czekanie mogłoby całą sprawę na szwank narazić, miał już dać sygnał do ataku, gdy wtem placówki kozackie spostrzegłszy nas, dają ognia i alarmują swój obóz; niezadługo szwadron dragonów wysuwa się ze wsi, a widząc tylko kawalerję stojącą nieruchomie, naprost nas się formuje i postępując bojaźliwie naprzód (spodziewał się widać zasadzki), poczyna flankierski ogień.

My ciągle w miejscu stoimy, Chmieliński przy nas i strzałami na strzały nie odpowiadamy.

Rzeczywiście nie było powodu strzelania, gdyż byli jeszcze tak daleko, iż kulki ich nas nie dosięgały. Chmieliński chciał ich bliżej zwabić.

Dragoni wciąż zwolna postępują naprzód strzelając, aż gdy nareszcie kule ich poczęły nam koło uszu świstać, pułkownik krzyknął „ognia!“ W tejże chwili do przypierających nas kozaków 200 strzałów zagrało naraz, to piechota Nowickiego salwą rotowego ognia przesłała im „dzień dobry!“ Kilkunastu dragonów runęło o ziemie, zmięszali się i uciekli w największym popłochu, ukrywszy się za budynkami.

Wtedy z folwarku powstał z za domów gwałtowny ogień i równocześnie moskiewska piechota w czarnej masie poczęła wysypywać się na pole, to samo uczynił i Nowicki ze swoimi, odpowiadając równo utrzymywanym ogniem. Na komendę Chmielińskiego: „do ataku!“, piechota nasza biegiem z pochylonym bagnetem puściła się naprzód. Nie upłynął kwadrans, a dzielna nasza wiara była już pod samym folwarkiem. Moskale zepchnięci z pola, poobsadzali budynki, ze

środka których przez okna i różne otwory z dachów i z za ścian podtrzymywali ogień.

Gdy nasi dobiegli już do samego folwarku i bagnetem poczęli wypierać Moskwę z jednego budynku do drugiego, Chmieliński zebrawszy kawalerję, której dalsze stanie w tem miejscu nie miało już celu i okrążywszy wieś, podążył na drogę, na której oczekiwał jego rozkazów major Bogdan ze swojemi dwiema kampaniami piechoty. Była to najstarsza wiara Chmielińskiego i w niej też najwięcej pokładał zaufania.

Po krótkiej i zwięzłej mówce pułkownika, piechota Bogdana z okrzykiem: „Niech żyje Polska! niech żyje Chmieliński!“ — puściła się biegiem ku wsi; z nimi pojechał i pułkownik. Markowskiemu zaś rozkazał strzedz wsi od wschodu, gdzie prowadziła droga do Jędrzejowa, a którą to drogą, w razie zupełnego wyparcia ze wsi, Moskwa musiałaby rejterować.

Przybywszy na wyznaczone stanowisko, przywitani zostaliśmy strzałami dragonów i kozaków, którzy bronili wejścia z tej strony do wsi. Zaczęła się wzajemna pukanina. Bogdan wpadłszy do Oksy, zastał i tę część wsi, bronioną przez nieprzyjaciela; a zdobywając bagnetem jeden dom po drugim, parł Moskali ku dworowi.

Wtem naraz ogromna łuna pożaru zaświeciła, kłęby gęste dymu wzniosły się nad pole walki i odór duszący spalenizny, napełnił powietrze; to Moskale wypar ci przez Nowickiego, w chęci zemsty, zapalili folwark; całoroczny plon zboża unosił się z dymem.

Dla nas, którzyśmy się znajdowali z przeciwnej zupełnie strony wsi, było to najlepszą oznaką, iż Nowicki zwycięzko naprzód postępuje.

Moskwa parła ciągle bagnetem przez Nowickiego, broniła zażarcie każdej piędzi ziemi; wyrzucona z folwarku, połączyła się z częścią piechoty, która w sosnowym lasku, tuż obok dworu, opierała się Grylińskiemu i ztąd przez połączone siły Nowickiego i Grylińskiego wyparowana, rejterowała na podwórze dworskie, gdzie wpadłszy, zatarasowała za sobą bramę. Równocześnie Bogdan, oczyściwszy całą wieś z nieprzyjaciela, wdarł się do ogrodu, przypierającego do dworu i zdążył do ostatniej zapory, do bramy ogrodowej komunikującej z podwórzem, za którą i z tej strony rejterujący Moskale się ukryli.

Przyjemnie było patrzeć, jak dzielny Bogdan sam jeden, wśród swej piechoty wierzchem, na siwym koniu, w pośród gradu kul, prowadził swoją wiarę do ataku. Koń jego siwy, kilka ran otrzymawszy, krwią był obryzgany, Bogdan sam nietknięty, wołał tylko wciąż na swoich: „Wpieriod, wpieriod rebiata! nie bojties! Moskale chudo strelajut, wpieriod! wpieriod rebiata!“ (Będąc oficerem rosyjskim, bardzo źle początkowo mówił po polsku).

Wtem kawalerja, na swojem stanowisku poza wsią stojąc w tej chwili bezczynnie, gdyż dragoni, z którymi ucieraliśmy się uciekli między mury dworskie, mieli bowiem tyły zagrożone od piechoty Bogdana, postępującej zwycięzko naprzód, ujrzała w dali ze czterdziestu Moskali, odciętych prawdopodobnie, zmykających przez bagna w kierunku lasu, z kopyta więc puściliśmy się za nimi, co spostrzegłszy Moskale, zatrzymali się w zamiarze zapewne sformowania carré do odparcia ataku naszego.

Nie wiedzieliśmy, iż tam są bagna, przez które człowiek przejdzie, lecz koń się zapadnie;— ujechawszy więc niedaleko, poczęliśmy grzęznąć

w głębokiem błocie, co dostrzegłszy nieprzyjaciel, przesłał nam na pożegnanie kilkadziesiąt strzałów i przyspieszonym marszem począł dalej drapać do lasu. Z daleka tylko ścigaliśmy ich pożądliwym wzrokiem żałując serdecznie, iż ominie nas tak dobra sposobność zaprawienia się w rąbaniu pałaszem po łbach moskiewskich.

W gorącym boju nasi z obydwóch stron dotarli już do bram podwórzowych, Nowicki z Gryllińskim od drogi, Bogdan od ogrodu.

W tej tak krytycznej dla Moskali chwili, głównodowodzący siłami nieprzyjacielskiemi major Bentkowski, zamknięty we dworze wraz z gospodarzami, dwoma braćmi Wąsowiczami, właścicielami Oksy (dziś już nieboszczykami), latał jak warjat po pokoju, dopijając z rozpaczy trzeciej czy czwartej butelki wódki; nie wychodził nawet wcale już na plac boju, będąc pewnym przegranej i dostania się wraz z całemi swemi siłami do niewoli.

Czując się widać w duchu dobrze winnym wobec Polaków, z obawy przed szubienicą, błagał Wąsowiczów, aby ci wyprosili mu u Chmielińskiego życie.

Moskale zatarasowawszy obiedwie bramy, powyłazili na dachy, drzewa i okalające podwórze mury, broniąc się z rozpaczą do upadłego.

Brama od drogi zaczęła już trzeszczeć pod toporami powstańców, gdy wtem na nieszczęście pada Nowicki dwiema kulami na raz w same piersi ugodzony, i Gryliński dostaje również postrzał, nieśmiertelny jednak; piechota nasza w tej stronie, znalazłszy się naraz obydwóch wodzów pozbawioną, poczyna się chwiać i mięszać, co widząc Moskale, korzystają z chwili zamięszania, a otwarłszy bramę, przypuszczają rozpaczliwy atak na bagnety; gdyby ten był odpartym, nasi wpadliby tuż za moskalami, przez otwartą bramę na

podwórze i zwycięztwo po dziewięciogodzinnej walce zostałoby przy nas, tysiąc Moskali dostałoby nam się w niewolę, gdyż Bentkowski napomykał już Wąsowiczom myśl poddania się. Jednakże śmierć Nowickiego i rana Grylińskiego, wywarły fatalny wpływ na dalszy los walki. Pod gwałtownym atakiem na bagnety nasi poczęli ustępować, a raz wszedłszy w defensywę niepodobnem już było oprzeć się przeważającej sile nieprzyjaciela bijącego się z rozpaczą.

I tak najpiękniej prowadzona przez dziewięć długich godzin bitwa, z takiemi sukcesami, z taką dzielnością i męztwem żołnierza, skończyła się rejteradą; straty w bitwie były znaczne; ubyło nam z szeregów do stu zabitych i rannych.

Jakże nam się serca ścisnęły, gdy będąc już pewni najświetniejszej wygranej, ujrzeliśmy naszą piechotę, ustępującą ze wsi ku nam. Moskale po za wieś już się nie wychylali, lecz ukryci za budynkami, obsypywali nas swemi strzałami, a kawalerję razili racami kongreskiemi. Dragoni tylko wysunęli się na pole i rozwinąwszy front, stali długi czas pod wsią, obserwując ruchy nasze, czy nie mamy zamiaru powtórnego ataku i w którą stronę maszerujemy.

Przed samym już wieczorem dociągnęliśmy do małej wioseczki Kwiliny, o milkę drogi położonej od Orsy, tu zastaliśmy nasze furgony i do stu podwód, na których w dalszym pochodzie miała jechać nasza piechota.

Podwody te stały długim szeregiem w nieszczególnym porządku, wzdłuż szerokiej dość drogi, ogrodzonej płotem.

Wieś licząca do dwudziestu zaledwie chałup, położona była trochę w oddaleniu i tylko kilka chat stało przy drodze, zaraz z samego początku od strony Orsy; tuż obok tej samej drogi, z dru-

giego jej końca stał mały dworek, a z wiorstę dalej poczynał się las.

W dworku tym stanął Chmieliński kwaterą z małym swoim sztabem, piechota zajęła chaty wiejskie, a kawalerja szeregiem na drodze, wewnątrz ogrodzenia, przywiązawszy konie do płotu, połowę zaś szerokości tejże samej drogi zajmowały podwody z furgonami, przyparte do przeciwległego płotu — słowem droga ta porządnie była zapchaną na całej swojej długości.

W Kwilinie zastaliśmy już kotły zastawione na ogniskach, pomimo porządnego jednak głodu, który nam ściskał żołądki, tak byliśmy znużeni naprzód całonocnym marszem, następnie dziewięciogodzinną bitwą, najrozmaitszemi wrażeniami podczas tejże, a w końcu i milowym jeszcze marszem po bitwie, iż każdy rozkwaterowawszy się w przeznaczonem dla siebie miejscu, zapomniał o dokuczającym mu głodzie, a nie chcąc czekać na niegotowe jeszcze jedzenie, starał się ułożyć jak najprędzej na murawie głowę, która mu kamieniem na karku ciężyła.

Mrok zapadł; piechota ustawiwszy w kozły broń, prawdopodobnie smacznie już chrapała, gdy my koło koni naszych jeszcze się krzątali; wreszcie i myśmy już byli gotowi; popręgi od siodeł popuszczone, konie rozkiełznane i torby z owsem do łbów ich poprzyczepiane; ułożyliśmy się nareszcie każdy przy swej szkapie do tyle upragnionego spoczynku; sen twardy szybko skleił powieki.

Wtem niezadługo pada kilka strzałów na pikietach i prawie równocześnie wzdłuż całej drogi zagrał rotowy ogień piechoty moskiewskiej, która korzystając z bardzo ciemnego wieczora, przekradła się cichaczem przez pikiety nasze, podeszła niepostrzeżona na 50 kroków — nie dalej — pod nasz obóz i leciała do ataku z prze-

raźliwym wrzaskiem, piskiem i krzykiem urrał odgłosem trąbek sygnałowych i biciem w bębny.

Chmieliński nie spodziewał się wprawdzie rewizyty nocnej Bentkowskiego, będąc jednak jak zwykle, ostrożnym, wysłał rządzcę miejscowego Pawłowskiego do Oksy, dla zasięgnięcia języka o Moskalach; gdy jednak tego długo widać nie było z powrotem, wysyła w tę samą stronę rekonesans z kilku koni złożony.

Pawłowskiego Moskale spotkawszy w drodze zamordowali, podejrzywając, czy też wymusiwszy na nim przyznanie się do poselstwa Chmielińskiego, rekonesans zaś ujechawszy kawałek drogi za obóz, tuż za naszemi pikietami, spotkał Moskali; strzały najpierwsze usłyszane w obozie były strzałami naszego rekonesansu, za którymi tuż ozwał się ogień rotowy piechoty moskiewskiej, znajdującej się już pod samym obozem.

Moskale doskonale widać objaśnieni byli o naszych stanowiskach, gdyż zupełnie odpowiednio zaatakowali nas tak, jakoby widzieli, w jakim porządku rozłożyliśmy obóz.

Piechota długim frontem, równoległym do drogi, zaatakowała nas od strony, gdzie stały podwody wraz z naszą piechotą, dragoni zaś i kozacy okrążywszy wieś dookoła, pobiegli z drugiej strony pod sam płot, gdzie stały rzędem konie naszej kawalerji. Ktoś dobrze obznajomiony z miejscowością i pozycją musiał ich przeprowadzić polami i lasem w luki między nasze pikiety, skoro te ich nie dostrzegły i pod zasłoną zupełnej ciemności nocy podpełzli cichaczem pod sam obóz.

Przypuszczać należy, iż na nieszczęśliwym Pawłowskim grotbą śmierci lub męczarnie, przed zakłuciem go bagnetami wymódz musieli wyznanie, gdzie i jakeśmy się rozlokowali.

Można sobie wyobrazić, co się u nas działo, gdy nam ta piekielna muzyka zagrała nad uszami.

Byłoto rzeczywiście coś tak nadnaturalnego, to raptowne przerwanie ciszy nocnej tysiącem strzałów, świstem kul, dzikim krzykiem atakującej Moskwy, wykrzyknikami rozpaczy przestraszonych furmanów od podwód, rżeniem koni, turkotem uciekających wozów, jękiem rannych, najrozmaitszą komendą naszych oficerów i to wszystko przy akompaniamencie trąbek i bębnów, iż echo tej muzyki piekielnej do dziś dnia żywo odbija się w uszach moich.

Zbudzeni tak niespodziewanie z twardego snu rzuciliśmy się do koni, które spłoszone wrzaskiem tym i wrzawą, błyskiem ciągłym broni palnej, a nadewszystko długiemi, ognistemi smugami rac kongrewskich, zrywały się z uwięzi i uciekając tratowały swych jeźdźców i wszystko, co na drodze im stało. Szczęśliwy, kto jeszcze na czas mógł ująć za cugle swego konia, dosiąść go i wydostać się z tego zgiełku i steku wozów bez furmanów, które sobą zatarasowały drogę. Ja należałem do tych ostatnich.

Na dziesięć kroków z za płota palili z karabinów do nas dragoni, a ja szamotałem się ze swoją szkapą, chcąc jej wędzidło w gębę założyć. Rwała się, stawała dęba, rzucała mną na wsze strony, ja jednak przypiąwszy się jak pijawka do niej, zdołałem swego dokazać. Wskoczywszy już na siodło, dopiero popręgi pociągnąłem, na czas jeszcze wydostałem się przed dworek, kwaterę Chmielińskiego, gdzie trochę więcej miejsca wolnego było.

Piechota nasza na odgłos strzałów, wybiegłszy na drogę, poczęła się formować, strzelając, lecz rozhukane konie z wozami, rozbiły ją, musiała więc w obawie zupełnego strato-

wania, ustąpić z miejsca. Gdyby nie te sto podwód, bylibyśmy może wstanie odeprzeć napad, lecz te udaremniły najlepsze chęci stawienia oporu.

Wszystko co żyło zaczęło się szybko wydostawać z pośrodka tego strasznego chaosu po za wieś w kierunku pobliskiego lasu

Część piechoty zakwaterowanej po chatach, nie mogąc się z resztą oddziału połączyć przez fury, które w zbitej nieforemnej masie zatkały sobą całą drogę między opłotkami, cofać się musiała w odmiennym kierunku, przebijając się przez dragonów.

Koń pułkownika, podobnież innym, zerwał się z uwięzi i uciekł, co widząc szeregowiec Br., zsiadłszy, oddał mu swojego.

Wydostawszy się z pomiędzy fur za wieś, zdążaliśmy do niedalekiego lasu, maszerując wysoką grobla, zkądto dopiero byliśmy wstanie odstrzeliwać się w rejteradzie, choć ogień z naszej strony nie był bardzo bezpieczny, maszerując bowiem w nieładzie wśród ciemności nocnej, oświecanej tylko ogniem karabinowym i racami kongreskiemi, mogliśmy z łatwością siebie samych postrzelać.

Moskale rozpoczęwali drogę, którąśmy maszerowali po błysku wystrzałów, a gdyśmy byli już w lesie, kilkanaście jeszcze rac za nami posłali, które kreśląc długą smugę ognistą, dziwnie wyglądały, łamiąc się po gałęziach drzew i rozsypując tysiące iskier na wszystkie strony.

Po parogodzinnym marszu dostaliśmy się do Radkowa, dokąd nazajutrz ściągała się partjami odcięta piechota nasza.

Moskale pozostali w Kwilinie.

W skutek napadu tego nocnego, w ludziach mieliśmy niewielkie straty, gdyż wśród ciemno-

ści. strzały wiele szkodzić nie mogły, rannych mieliśmy tylko przezgroztratowanie końmi i furami. Straciliśmy jednak większą część nielicznych furgonów naszych, a z niemi i amunicję, również kilka koni kawaleryjskich.

Szczególne koleje przeszedł tej nocy adjutant Chmielińskiego, Wiśniewski.

Położył on się do snu w jakimś odległym pokoju w dworku, zasnął tak twardo, iż nawet zgiełk w obozie i strzały nie potrafiły go zbudzić; ocknął się za późno wtedy, gdy nas już nie było, a Moskale nadeszli.

Zerwał się, wypada na ganek, gdzie dwa strzały żołdaków carskich walą go o ziemię; dla dobicia, gdyż jeszcze dawał znaki życia, pchnięto go kilka razy bagnetem — jeszcze żyje! — więc do głowy przykładają mu lufy karabinów i palą! — nie ruszył się więcej. Żołnierze odeszli; on po chwili omdlenia ocknął się, a nie widząc nikogo przy sobie, wydobywszy ostatek sił zaczołgał się do pokoju i ukrył pod kanapę.

Niezadługo kroki i głosy ludzkie dają się słyszeć, pokój napełnia się oficerami moskiewskimi; ducha już Bogu polecił, sądząc, iż ostatnia godzina życia dla niego wybiła. Nie wątpił, iż go odkryją, dech zaparł w sobie, a był zupełnie przytomnym. Trzech oficerów usiadło na tej samej kanapie, sytuacja jego trochę się poprawiła, nogami bowiem siedzących trochę był zakryty.

Wiśniewski sam przypuszcza, iż niektórzy z oficerów zacni widać i szlachetni jacyś ludzie, musieli go dostrzedz i dla ukrycia, siedli na kanapie, co go na ten domysł naprowadza, iż przez cały czas pobytu we dworze, nie ruszyli się z raz zajętego miejsca.

Po paru godzinach Moskale opuścili dworek, a następnie i Kwilinę.

Odetchnął wolniej i wydostał się ze swojej kryjówki. Szczególna, człowiek ten tyle ran mając na swojem ciele od bagnetu i kuli, pomimo tak długiego krwi upływu, wyleczył się i odzyskał zupełnie zdrowie!

Bentkowski z siłami jakie miał w Oksy, nie ważyłby się może atakować nas, poznawszy tegoż samego dnia bitność naszego żołnierza, przybyły mu jednak posiłki, a tak wzmocniony świeżemi siłami, urządził nocny napad i rozbił nas.

Kwilina i Oksa, są najlepszym przykładem, co znaczy atakować, a co być atakowanym! Ci, przed którymi w Oksy Moskale uciekali, przez tych samych w Kwilinie — przed kilku zaledwie godzinami uciekających — pobici zostali.

W ostatniem powstaniu naszem, gdyby się więcej zaczepnie jak odpornie trzymano, więcej bitw wygranych byłoby przez nas; zaczepne działanie wlewa odwagę w serce żołnierza, czyni go śmielszym i pewniejszym siebie, moralnie o znaczny procent staje się silniejszym.

P. Sulima w pamiętnikach powst. myli się twierdząc, że oddział Chmielińskiego nigdy już odtąd do dawnej swej liczby i siły nie przyszedł.

Chmieliński nie długo potem nie miał wyłącznego swego oddziału, lecz jako szef sztabu jenerała Bossaka wszystkie oddziały egzystujące w Krakowskiem i Sandomierskiem, miał pod swoimi rozkazami.

W tej chwili powstanie nie upadało jeszcze w naszych stronach, przeciwnie, z dniem każdym wzmagało się, coraz nowe oddziały występowały na linię bojową. Od miesiąca marca, to jest od przejścia Langiewicza do Galicji, powstanie w naszych województwach nigdy nie było tak silne, jak właśnie w tych czasach, a właściwie o miesiąc jeszcze później, to jest w listopadzie i pierwszej połowie grudnia.

II.

Józef Hauke Bosak.

W Radkowie staliśmy dni kilka, piechota nasza rozlokowaną była kompaniami po okolicznych wioskach.

Po tygodniu czy też dziesięciu dniach, nie wiem z jakich powodów, czy to dla tego, iż jenerał Bosak, świeżo mianowany przez rząd narodowy naczelnikiem sił zbrojnych województwa krakowskiego i sandomierskiego, miał wejść z Krakowa, czy też ze względu na nadchodzącą zimę rozległe lasy świętokrzyskie uważając za bezpieczniejsze schronienie, dość, że Chmieliński całą swoją piechotę, partjami wysłał w okolice Łysej Góry i św. Krzyża; sam zaś z kawalerją przez niejaki czas kręcił się jeszcze w kole między Kielcami, Przedborzem, Koniecpolem a Wodzisławiem, mając ciągle Moskali w przeważnej sile na karku, wymykając im się i niedopuszczając do starcia, którego rezultaty bardzo by wątpliwe były ze względu, iż nie mieliśmy przy sobie piechoty, któraby chłodziła zapały dragonów; poczem okrążając kołem Kielce szliśmy w kierunku świętokrzyskich lasów.

W marszu tym, gdyśmy przebywali przez dzień w Turze, wiosce niedaleko Pińczowa, przybyło do Chmielińskiego kilku kawalerzystów świe-

ło sformowanego oddziału Rębajły z wiadomością, iż tenże pod Mierzwinem rozbił całą rotę piechoty nieprzyjacielskiej, która go zaatakowała; rannych Moskali, których zebrał z pola bitwy, złożył razem z naszymi rannymi w szpitalu Pińczowskim.

W Szczecnie na samym początku dużych lasów świętokrzyskich spotkaliśmy Rębajłę, oddziałek jego stokilkadziesiąt ludzi liczący, ładnie wyglądał, doskonale był wymustrowany, i składał się bowiem podobno po większej części z żołnierzy austrjackiego wojska.

W dalszym naszym pochodzie w Cisowie zeszliśmy się z jedną kompanią naszej piechoty, która w tych okolicach oddziałkami rozkwaterowaną była.

Od czasu przejścia szosy kielecko - krakowskiej, Moskale trop w trop ciągle postępowali za nami, w pewnem jednak przyzwoitem oddaleniu, tak, że nie mieliśmy przyjemności widzieć się z sobą. Za Cisowem dopiero przechodząc dość długą polankę u stóp góry, na której wierzchołku bielił się z dala znany z Langiewicza bitew klasztor świętokrzyski, ujrzeliśmy za nami dragonów, którzy wybiegłszy z lasu naszemi ślady, sformowali się we front grożąc nam szarżą; my jednak spokojnie stępo maszerując dalej, weszliśmy znów w lasy, straciwszy z oczu Moskali i cała ta historja skończyła się wyłącznie na wymianie kilkunastu strzałów, którymi nasza arrjergarda z awangardą moskiewską wzajemnie się przywitały i pożegnały zarazem.

Przeszedłszy wzdłuż całe świętokrzyskie lasy, przybyliśmy do miasteczka Słupi, leżącego już po za ich obrębem, gdzie stanęliśmy na popas, poczem maszerując dalej ciemnym już wieczorem stanęliśmy obozem w miasteczku Kunowie w Sandomierskiem. Pierwszy to raz zapuściliśmy się tak daleko za granice województwa krakowskiego.

Na drugi dzień rano od strony św. Krzyża słyszeć się dają armatnie strzały; wybiegamy na górę, zkąd można dokładnie widzieć całe podgórze Łysej Góry i klasztor świętokrzyzki, lecz patrząc gołem okiem, nic dostrzedz nie możemy, Chmieliński przez lunetę jednak rozróżnić był w stanie miejsce, w którem bój się toczył; nakazano pogotowie do wymarszu, „prawdopodobnie zrazu Chmieliński miał zamiar iść w pomoc, z powodu jednak dwumilowej odległości, jaka nas dzieliła od placu boju, przybylibyśmy za późno.

Niezadługo strzały ucichły, było zatem już po wszystkiemu. Nad wieczorem dowiedzieliśmy się o smutnym rezultacie potyczki; to Jenerał Bosak, który przed paru dniami przybył do Królestwa, został rozbity pod Jeziorkiem, nie daleko św. Krzyża.

Autor pam. powstania podaje, że Bosak wszedł na czele oddziału, złożonego z 400 piechoty i 100 koni; rzecz miała się inaczej.

Bosak przybył tylko w 120 koni samej kawalerji dowodzonej przez majora Szameta, ścigany przez nieprzyjaciela, połączył się z oddziałem piechoty Rębajły, który również niepokojony był przez Moskali. Przyszło do bitwy, której rezultat był fatalny. Otoczeni zewsząd dnia 29. października pod Jeziorkiem przez trzykroć liczniejsze siły, zostali zupełnie rozbici, 20 poległo na placu boju, 17 było rannych i przeszło 50 wziętych do niewoli; do pierwszych należał także i major Szamet. Jenerał sam ledwie z trzydziestu kawalerzystami, którzy odznaczyli się tam dzielną szarżą na dragonow, zdołał się przebić.

Późno już wieczorem tego samego dnia przybył Bosak wraz z trzydziestu swymi rozbitkami do naszego obozu. Życiorys Bosaka, napisany

przez p. Wł. Sabowskiego, wydany został w osobnej broszurze.

Tutaj ograniczę się zatem na niektórych tylko wybitniejszych faktach jego życia, wyjętych z owej broszurki. Urodzony w 1834 r. syn Józefa Hauke, pułkownika wojsk polskich adjutanta cesarskiego, po śmierci ojca swego maleńkiem jeszcze dziecięciem, bo zaledwie półtrzecia roku mającem, wyrwany przez cara Mikołaja, od matki swojej, mieszkającej wówczas w Warszawie, oddanym został do korpusu małoletnich w carskiem Siele.

Jako dziesięcioletniego już chłopca, przeniesiono następnie do korpusu paziów. Wszelkie znoszenie się z rodziną było mu najsurowiej zakazane, na osobiste wstawienie się dopiero króla pruskiego. nieszczęśliwa matka uzyskała pozwolenie na chwilowe widzenie się i uściskanie swego dziecięcia.

Wychowany na dworze carskim, gdzie oddalano od niego wszelkie zetknięcie się z rodakami, rósł mały Józef na posłuszne narzędzie despotyzmu, nie mając nawet świadomości swego pochodzenia. W 1858 roku, mając lat 24, już jako podpułkownik, wysłany został przez cara Aleksandra w pewnej misji wojskowej do Paryża. Tutaj to dopiero poraz pierwszy z ust hr. Ledochowskiego dowiedział się, iż jest Polakiem, że z łona matki swojej został gwałtem wydarty przez Moskali, którzy są nieprzyjaciółmi jego ojczyzny, Polski.

Te słów kilka oddziałały na niego cudownie; w jednej chwili uczuł w sercu gorącą miłość do swojej nieznanej mu tak długo ojczyzny, a nienawiść najwyższą i wzgardę do swoich obłudnych protektorów. Przez sześć tygodni, jakie przebył w Paryżu, poduczył się trochę rodzinnego

swego języka i obeznał z dziejami ziemi ojczystej.

Po powrocie do Petersburga nie podając powodów, zażądał zaraz przeniesienia na Kaukaz, co z łatwością uzyskał.

Gdy w roku 1861 wiadomość o mordowaniu przez żołdaków moskiewskich bezbronnego ludu na ulicach Warszawy doszła do niego, będąc już na wskróś Polakiem, podał się do dymisji. Po dwakroć odmawiano mu jej, wystawiając najświetniejszą karjerę, jaka go czeka w przyszłości. Gdy jednak trwał niezłomnie w swojem postanowieniu, otrzymał w końcu uwolnienie i w 27ym roku życia, w stopniu pułkownika opuścił szeregi wrogów.

W rok później pojął za żonę Marję Kaczanowską, siostrę swojego przyjaciela.

Z chwilą wybuchu powstania 1863 roku, wyjechał za granicę w chęci służenia z bronią w ręku ukochanej ojczyznie. Rząd jednak narodowy polski, w braku prawdopodobnie zaufania, zwlekał z odpowiedzią na ofiarowane jego usługi, i dopiero ze zmianą członków rządu mianowano go jenerałem i naczelnikiem sił zbrojnych województwa Krakowskiego i Sandomierskiego *).

Trzeciego dnia po przybyciu jenerała do naszego obozu opuściliśmy Kunów; dowództwo nad nowo przybyłą kawalerją, zwiększoną kilkunastu jeszcze świeżo przybyłymi rozbitkami z pod Jeziorka, oddane zostało rotmistrzowi Belardiemu, jako zawiązek szwadronu nr. 2.

Belardi, według szkoły Chmielińskiego, postępował z młodym swoim żołnierzem bardzo surowo, co paniczom nie przypadło do smaku;

*) W odezwie jenerała z dnia 7. października po raz pierwszy na ziemi polskiej dał się słyszeć tak pamiętny w dziejach naszego powstania przydomek Bema.

powstało ogromne nieukontentowanie w ich szeregach i niechęć przeciwko swemu nowemu dowódzcy szwadronowemu, do czego przybył jeszcze i nowy powód, gdyż jednego z nich za niesubordynację uderzył batem, oburzenie ich zatem doszło do ostateczności. Postanowili wysłać do jenerała deputację z żądaniem zmiany dowódzcy ich szwadronu.

Po parodniowym marszu w pewnej wiosce stanęliśmy obozem; malkontenci wybierają deputację; my, stara wiara Chmielińskiego, dowiedziawszy się o tem, odwodzimy ich od niebezpiecznego zamiaru, tłómacząc im, iż znając już oddawna naszego pułkownika, szanowna deputacja może się na nieprzyjemność, co najmniej na baty narazić.

Usłyszawszy to panowie krakowiacy (jakeśmy ich nazywali), oburzyli się ogromnie na podobne przepowiednie, dając się słyszeć: „Jeżeliby tylko rękę na nas podniósł strzelimy w łeb jak psu! zresztą my nie znamy Chmielińskiego, tylko naszego jenerała, którego jesteśmy gwardją".

Na takie dictum acerbum, zamilkliśmy oczekując z ciekawością, jaki będzie koniec tego wszystkiego. Chmieliński uprzedzonym został przez Belardiego o wszystkiem co zaszło.

Deputacja w liczbie trzech, którzy nie spodziewając się żadnego niebezpieczeństwa, sami na ochotnika podjęli się tej zaszczytnej roli, stanęła na ganku dworku, w którym zakwaterował się sztab.

Żołnierz stojący we drzwiach na warcie, zameldował ich; zamiast jenerała wyszedł pułkownik.

— Czego chcecie? — zapytał.

— Przyszliśmy w deputacji do naszego jenerała — była odpowiedź,

— Jenerał nie wyjdzie; mnie poruczył waszą sprawę załatwić — rzecze Chmieliński.

Wtedy najśmielszy z nich wyszedł naprzód i wyjawia cel przybycia.

Za całą odpowiedź pułkownik dobywa pałasza i ze słowami: „Ja was nauczę subordynacji!“ tnie kilka razy w łeb ostrzem pałasza deputata D., który się przewrócił; zabiera się do dwóch pozostałych, lecz ci nie dotrzymawszy już placu, urządzili nogę.

Rannego przeprowadzono do ambulansu; doktor zeszył mu zaraz trzy dość głębokie rany, które otrzymał w głowę, a na które parę tygodni musiał przeleżeć w łóżku. Widziałem go w sześć tygodni potem, przechodząc przez Słupię nową, zupełnie już zdrowego.

Gdy deputacja nogę urządziła, Chmieliński rozkazał Belardiemu ustawić mały swój szwadron w szereg. Biedacy bladzi i pomięszani, spodziewając się powtórzenia podobnej katástrofy, na rozkaz stanęli w jednej chwili do szeregu.

Chmieliński stanąwszy przed frontem oświadczył zebranym w ostrych wyrazach, iż za najmniejsze nieposłuszeństwo swemu dowódcy, każe winnych natychmiast rozstrzelać! Następnie przebiegł wzdłuż cały front i co drugiego lub trzeciego żołnierza poczęstował nahajką.

W taki to niefortunny sposób zakończyło się zajście między Belardiem a jego szwadronem; zaufana w swój tytuł gwardja przyboczna Bosaka, baty oberwała. (Szwadron ten formując się w Krakowie dla jenerała, taki podobno nosił tytuł i sami oni z początku tem mianem się szczycili).

Na drugi dzień wymaszerowaliśmy i przez Łagów, Drugnię przybyliśmy do Strojnowa, niedaleko miasteczka Chmielnika, gdzie przenocowaliśmy.

Nazajutrz dodnia, a było to dnia 4. listopada, dają znać, iż Moskale w Drugni o małe pół mili od nas.

Cały oddział na rozkaz stanął przy koniach, oczekując pewnych wiadomości, dla zasięgnięcia których pułkownik wysłał był rekonesans z kilka koni złożony, z rozkazem dotarcia do samej Drugni.

Podjazd nasz dostawszy się ostrożnie do wsi ujrzał przed karczmą na 50 kroków przed sobą kilkanaście koni kozackich bez jeźdźców przy płocie; nasi powziąwszy zamiar zabrania takowych, puścili się pędem naprzód, w tej chwili jednak kozacy wyskakują z karczmy, nasi stanęli i dali ognia, jeden z kozaków złapawszy się rękoma za twarz, padł, inni jego towarzysze schwyciwszy za swoje janczarki odpowiedzieli strzałami.

Echo tych strzałów doszło do naszego obozu, dosiadłszy więc w tej chwili koni, wyjechaliśmy kłusem z podwórza na pole i tam się sformowali.

Zdala ujrzeliśmy nasz rekonesans, co koń wyskoczy czmychający ku nam, a za nim ćma kozaków i dragonów.

Przebiegu potyczki pod Strojnowem powtarzać nie będę, gdyż uczynił to już mój kolega, autor „Pam. powst." z wszelką dokładnością, wspomnę tylko moją własną przygodę, jaką w tej potyczce miałem.

Zmykając przed trzykroć liczniejszą kawalerją nieprzyjacielską, zmierzaliśmy ku sąsiedniej Strojnowu wiosce; z wiorstę przed najpierwszemi tejże chatami, drogi rozchodziły się w dwie strony, tworząc z sobą kąt ostry; jedna ogrodzona opłotkami szła prosto do wsi, druga skręcała w lewo do niedalekiego lasu. Przybiegłszy do tych rozstajnych dróg, oddział, nie chcąc podzielił się na dwie części: jedna z nich skręciła na lewo, druga biegła prosto opłotkami ku wsi; koń mój, mimo mej woli, skręcił w lewo za pierwszymi.

Moją zasadą było, w podobnym, jak obecnie, wypadku, trzymać się jak najbliżej Chmielińskiego; jeśli uciekać, to już razem z nim. Począłem szukać go wszędzie wzrokiem, na nieszczęście dostrzegłem, iż znajduje się między drugą partją, zdążającą wprost ku wsi; bez najmniejszego namysłu skręcam konia w prawo i sadzę przez pole na przełaj, chcąc połączyć się z Chmielińskim.

Przestrzeń między obiema drogami, którą przebiegałem, była to niedawno zorana rola, zatem pulchna, a do tego przesiąknięta na wskróś częstemi jesiennemi deszczami; koń mój zapadał po same prawie kolana, a dobrze już poprzednio zgoniony, ledwie sapał; dodawałem mu otuchy, krając dobrze ostrogami.

Przebyłem nareszcie szczęśliwie to morze gęstego błota i już jestem tuż tuż przy swoich, lecz, niestety, przybywa jeszcze jedna przeszkoda, przedziela mnie od nich wysoki płot; koń mój zmachany, cały w pianie, staje jak wryty, odmawiając skoku; jeszcze pół minuty, ćwierć, a jestem zgubiony! Nasi mi przed samym nosem przebiegają, jedni za drugimi, jeszcze tylko kilku broniących się w ucieczce nacierającym na nich kozakom, a ja jeszcze za płotem, jeszcze sekunda! po upływie której, jeśli nawet uda mi się płot przesadzić, to wskoczę w sam środek kozaków. Los mój zdawał zię być rozstrzygniętym; w rozpaczy chwytam z za pasa rewolwer, spinam ponownie konia ostregami, licząc ostatnie sekundy życia: Koń, jakby przeczuł złą dolę, wspiął się, rzucił na płot — przesadził! wpadając właśnie w lukę, dzielącą naszych od kozaków, przed sam nos tym ostatnim.

Wypaliłem jednym tchem z rewolwera raz i drugi, pierwszy spudłowałem, drugi ze skutkiem; najbliższy mnie kozak pochylił się na koniu; lufa rewolwerowa wymierzona ku nim,

z groźbą nowego strzału, wstrzymała ich trochę, a ja jednym prawie susem znalazłem się między swoimi.

Moskale zostawili nas w spokoju, nie ścigając już dalej.

We wsi kobiety wybiegały na spotkanie nasze z konewkami wody, w całej wsi słychać tylko było trzeszczenie żurawi studziennych, a my zgorączkowani potyczką ze smakiem prochu w ustach, nie mogliśmy pragnienia dość nasycić, co do mnie przynajmniej, przebywszy tyle wrażeń, zdawało mi się, iż całą jedną studnię wypiłbym sam na swoją osobę. Oficerowie zapędzali nas, chcąc znowu porządek w szeregach zaprowadzić, tem bardziej, iż Moskale wybiegłszy na pole, grozili obejściem wsi i zastąpieniem nam od czoła.

Sformowani w dwójki, wyjechaliśmy kłusem na pole. Moskale jednak dali nam już spokój, zostali na miejscu i zdala tylko dłuższy jeszcze nas czas obserwowali, dopóki zagłębiwszy się w niedalekim lesie, nie znikliśmy im zupełnie z oczu. W następnej wsi Lipie rozłożyliśmy obóz, obstawiwszy się dokoła wedetami i co chwila wysyłając podjazdy w stronę nieprzyjaciela.

W Lipie część naszej kawalerji, która się odcięła była, znów połączyła się z nami.

Z brzaskiem dnia następnego pomaszerowaliśmy dalej, przechodząc niedaleko Chmielnika, przybyliśmy na popas do Gór, wioski pod Pińczowem. Tutaj to, wskutek bitwy pod Strojnowem, Chmieliński awansował nas trzech, mianowicie: Szeregowca M., podoficera R., również i mnie z podoficera na oficerów.

W potyczce strojnowskiej straciliśmy kilkunastu ludzi w zabitych i rannych.

Wskutek tropienia za nami Moskali, poszliśmy dalej do Lubczy na nocleg; nieprzyjaciel zaś nocował w Górach o małą milkę od nas.

Przybywszy tutaj dowiadujemy się, iż w lesie sąsiednim znajduje się nowo sformowany oddziałek piechoty koło 100 ludzi liczący, pod wodzą kapitana Cywińskiego. Na tę wiadomość Chmieliński zacierając ręce z radości, projektują zaraz wraz z Bosakiem napad na dragonów nocujących w Górach.

Przesławszy odpowiedni rozkaz Cywińskiemu, sam z kawalerją wyrusza około 2-giej godziny w nocy z powrotem do Gór. W drodze spotkaliśmy Cywińskiego z jego oddziałkiem w oznaczonem miejscu. Chmieliński objaśnił go o planie ataku.

Zaczęło trochę szarzeć, jak stanęliśmy pod Górami na polu, gdzie zginął cztery miesiące wcześniej pułkownik Bończa. Przez gęstą mgłę widzieliśmy niewyraźnie palące się ogniska moskiewskie; stanąwszy, sformowaliśmy w największej ciszy kolumnę atakową. Strzały naszej piechoty, która miała napaść na śpiących, miały być hasłem dla nas do ataku. Lecz jakież fatalne czekało nas rozczarowanie! Cywiński podsunąwszy się po cichu do miejsca, gdzie mieli być Moskale, nikogo już nie zastał; palące się tylko ogniska, świadczyły o niedawnej ich tutaj bytności.

Moskale wymaszerowali również w nocy w kierunku Lubczy, inną, jak my tu szli, drogą, widocznie w takim samym zamiarze, w jakim my przybyli do Gór. To nas przynajmniej pocieszało, że i oni doznali podobnego zawodu.

Popasłszy w Górach konie, i przy ogniskach moskiewskich zgotowawszy śniadanie, zbieraliśmy się do marszu, gdy pikieta daje nam znać o uka-

zaniu się na drodze od Lubczy awangardy kozackiej.

To ten sam oddział nieprzyjacielski, nie zastawszy nas w Lubczy, szedł naszym śladem do Gór.

Piechoty naszej nie było już; Chmieliński wysłał ją bowiem naprzód, samej zaś kawelerji przyjmować bitwę z trzykroć większemi siłami nieprzyjaciela, byłoby to narażać się na historję podobną jak w Strojnowie. Wysławszy tylko silny rekonesans w stronę Moskali, sami ruszyliśmy w pochód. Niebawem ozwały się strzały i zdala, z drugiej strony wsi, zoczyliśmy ze 30 kozaków i dragonów, ucierających się z naszym podjazdem.

Do większej utarczki w dniu tym nie przyszło.

Przez trzy dni siedząc nam ciągle na karku, zapędzili nas znowu w województwo sandomierskie. Tutaj Bosak z Chmielińskim opuścili nas, udając się do oddziałów piechoty, rozkwaterowanej w Swiętokrzyzkich i Iłżeckich lasach, nam zaś pod dowództwem rotmistrza Rzepeckiego rozkazano udać się z powrotem w Krakowskie.

Były to czasy, gdzie właśnie powstanie w naszych dwóch województwach: krakowskiem i sandomierskiem najlepiej stało. Piechota podzielona na drobne części, ciągle się organizując i powiększając; liczyła do 2000 ludzi. Nowe oddziałki formując się, wszystkie ściągały na zimowe leże do Swiętokrzyzkich lasów. Kawalerja liczyła już 600 koni, również podzielona na oddziały krążące po różnych stronach tych dwóch województw.

Planem Bosaka i Chmielińskiego było: przez zimę unikać ile możności wszelkich starć niepewnych, organizując się tylko i wzmacniając liczebnie, ćwiczyć żołnierza w robieniu bronią i mustrze, a na wiosnę, mając znaczniejsze już

siły i dobrze wyćwiczonego żołnierza, wystąpić energicznie.

Do tych różowych projektów przyczyniała się prawdopodobnie i nadzieja zbrojnej interwencji z wiosną nie wiem już którego mocarstwa, Francji czy Austrji, którą niestety kraj cały, ale też i Rząd narodowy się łudził. Autor Pam. Powst. przypisuje Chmielińskiemu, iż w tych czasach zwątpił już zupełnie w powodzenie sprawy narodowej i tylko przez uczucie honoru chciał dotrwać do końca, przewidując rychły upadek powstania. Ja przeciwnie sądzę: Chmieliński do ostatniej chwili nie okazał nigdy najmniejszego zwątpienia, owszem był zawsze najlepszych myśli i dla tego to energicznie działał, do czego również przyczynić się musiało wystąpienie jenerała Bosaka na linję bojową. Na całej długości lasów świętokrzyskich i iłżeckich porozrzucane są wioski, które zamieszkiwał lud sprzyjający duszą i ciałem powstaniu. Czując się Polakami, należeli do organizacji narodowej; poczty narodowe funkcjonowały u nich; jak najregularniej. Małe oddziałki naszej piechoty stale prawie pomiędzy nimi się ukrywały; Bosak nawet miał tam główną swoją kwaterę; a nie było wypadku najmniejszej zdrady z ich strony. Lud wiejski w naszych stronach w ogóle był dobrym i dość sprzyjającym powstaniu, więcej nam przynajmniej niż Moskalom; tam gdzie miał więcej styczności ze stojącymi pod względem umysłowym wyżej od siebie, bliżej miast, oraz tam, gdzie pan jego, dziedzic wioski jego rodzinnej lub dzierżawca, obchodził się z nim po ludzku i postępował sprawiedliwie, widząc w nim człowieka nie bydlę, tam, mówię lud, był poczciwy, można mu było śmiało zawierzyć i powierzyć mu się z całą ufnością, której pewno nie zawiódł.

Jestem przekonany, iż gdybyśmy choć cząstkę małą kraju mogli byli oczyścić zupełnie od nieprzyjaciela, masami łączyliby się byli z powstaniem, jak to miało miejsce na Kurpiach na Żmudzi, a nawet w Radomskiem, w kozienickich lasach, gdzie niektóre oddziały wyłącznie z samych włościan były złożone. I w Lubelskiem trafiały się wypadki, że całe wsie wychodziły do powstania, na czas robót, jak żniwa lub zasiewy, puszczano ich na urlop do domów, a obrobiwszy się w polach, znów wracali do szeregów.

Z Rzepeckim pomaszerowaliśmy, w okolice Włoszczowy i Jędrzejowa. Krążyliśmy, unikając starcia z nieprzyjacielem, który ciągle chodził za nami. Moskale tak się zawzięli na nas, że w tych czasach, w przeciągu całych długich dwóch tygodni, nie mieliśmy żadnej ciepłej strawy w ustach suchy chleb i wódka, były wyłącznem naszem pożywieniem, a szkapy nasze, nie mając nigdy czasu dobrze podjeść, w ciągłych marszach, z krótkiemi wypoczynkami, rzadko nawet z popręgami od siodeł popuszczonemi, wyglądały jak charty, ledwie nogi za sobą włócząc.

Po dwóch może tygodniach takiej gonitwy, Rzepecki otrzymuje rozkaz z głównej kwatery, stawienia się na pewien oznaczony dzień w Baltowie (w Opatowskiem). Ruszamy więc przyspieszonym marszem na miejsce wyznaczone, stając po drodze na nocleg w nieszczęśliwym już raz dla nas Strojnowie.

Raniutko przybywa do obozu jakaś kobieta wiejska z Drugni, sąsiedniej wioski, z wiadomością, iż Moskale tamże przybyli w nocy. Rzepecki nie chciał temu dać wiary, od władz bowiem cywilnych narodowych nie otrzymał o tem żadnego

uwiadomienia, nadto ze strony tej nie spodziewał się wcale nieprzyjaciela.

Przyjął to więc jako bajkę, nie wydając nawet rozkazu pogotowia. Ja jednak, mając jakieś przeczucie (dowodziłem wtedy Iszym plutonem) nakazałem swoim ludziom podciągnąć poprągi, okiełznać i nie oddalać się na krok od koni.

W pół godziny może potem padają strzały na pikietach od strony Drugni.

Powstaje ogromne zamieszanie w obozie. Sformowałem swój pluton najpierwej, wyjechałem z podwórza na przyległe pole, co widząc Rzepecki przesyła mi rozkaz rozsypania się w tyralierkę.

Moskale dobiegli do bramy podwórzowej, nim cały oddział zdołał się na pole wydostać. Pluton mój dał ogniał Zatrzymali się, rozpoczynając ogień karabinowy na nas, oraz i na tych na podwórzu, którzy mając już odcięty odwrót przez bramę, boczną furtką przedzierali się ku nam pojedynczo.

Inne nasze plutony zbierały się tym czasem, porządkując się za mego plutonu plecami.

Gdy już całe siły moskiewskie nadbiegły, poczęli się naprost nas formować gotując się do ataku, co widząc Rzepecki wydaje rozkaz cofania się kłusem. Gdy ta nieszczęsna komenda z ust dowódzcy padła, wszystko zaczęło już nie rejterować, lecz uciekać w kierunku ze dwie wiorsty odległego lasu.

Moskale puścili się cwałem za nami; wtedy nie było już czasu, ni możności w wyborze drogi, lecz zmykano na oślep ku lasowi, nie przypuszczając niespodzianki, jaka nas tam czekała. Wpadliśmy w sam środek zrębu; tu drzewa pościnane i poprzewracane, tam kupy gałęzi odciętych, tu stosy znów sągów rąbanych, słowem wpadliśmy jakoby w zasadzkę. Moskale naturalnie dopędzili nas siekąc porządnie pałaszami; widzia-

łem jednego dragona ogromnego chłopa, jak wrąbał się w sam środek nas, a chociaż sam siekany z kilku naraz stron przez powstańców, zbroczony krwią, pochylony na koniu, na którym siedział, przecież machał jeszcze pałaszem bezwiednie prawie na wszystkie strony.

Rozbito nas zupełnie; część oddziału około 20 ludzi licząca, wydostała się przypadkiem na jakąś wązką drożynę leśną, lecz w obawie zawiśnięcia gdzie na drzewie, trzeba było położyć się prawie na koniu, aby nie postradać głowy; w takiej pozycji naturalnie nie można było opędzać się nawet ścigającym nas kozakom i dragonom; to też ci, którzy znaleźli się na końcu tego gąsiora, byli po kolei zsadzani z koni i mordowani. Taką to drogą zmykając blizko pół mili, straciliśmy trzecią część ludzi; w godzinę potem stanęliśmy dla wypoczynku zgonionych koni w pewnej wiosce niedaleko Łagowa; zostało nas tylko jedenastu! Wiedząc, gdzie Chmieliński rozkazał Rzepeckiemu przybyć z oddziałem, zmierzaliśmy w naznaczone miejsce; po drodze dowiedzieliśmy się, iż Bosak i Chmieliński stoją z oddziałem kawalerji w Piorkowie, niedaleko Opatowa; jakoż nad wieczorem połączyliśmy się z nimi.

Nie mało zdziwieni zostaliśmy, znalazłszy Chmielińskiego i Bosaka na czele oddziału samej kawalerji, liczącej z górą 300 koni, z której dwa szwadrony należały do oddziału Rudowskiego, a sto koni dowodzonych przez rotmistrza Prędowskiego stanowiły resztki oddziału Czachowskiego, który zaraz po przejściu granicy z Galicji rozbitym został, i sam poległ w tej nieszczęśliwej potyczce.

Chmieliński dowiedziawszy się o naszem przybyciu, z widoczną radością powitał nas słowami: „Chwała Bogu, żeście już przybyli, gdyż

stęskniłem się za moją starą wiarą!" — nie wiedział jednak, iż jesteśmy zwiastunami bardzo przykrej wiadomości; sądził bowiem zrazu, iż przybyliśmy w awangardzie całego oddziału. Dowiedziawszy się jednak o rozbiciu oddziału i detalach, oraz powodach porażki, wybuchł wściekłym gniewem odgrażając się rozstrzelaniem Rzepeckiego za zmarnowanie jego kawalerji.

Oddział, który tutaj zastaliśmy, wracał właśnie dzisiaj z miasta Opatowa, gdzie zabrał kasę moskiewską znalazłszy w niej 35 000 złp. Rzecz się tak miała: W dniu 25. listopada Bosak dowiedziawszy się, iż wszystkie prawie wojska rosyjskie, stojące w Opatowie, wyszły na niego ku Iłżeckim lasom i cała załoga, pozostała w mieście, składała się tylko z dwóch rot piechoty, z trochę kozaków i żandarmów, powziął zamiar napadu na Opatów, w celu zabrania kasy.

Stojąc obozem o parę mil, forsownym marszem obszedłszy Moskali, idących właśnie na niego, nad ranem stanął pod Opatowem; korzystając z ciemności nocy, podszedłszy, zniesiono pikietę pieszą, złożoną z czterech żołnierzy i konną, z trzech kozaków; poczem Bosak podzieliwszy cały oddział na trzy części, sam ze szwadronem majora Solbacha zaalarmował miasto od strony Sandomierza i Łagowa, Chmieliński zaś ze szwadronem rotmistrza Turskiego, sformowawszy go czwórkami, wpadł cwałem do miasta, a dotarłszy do rynku, wdarł się do budynku, w którym mieściła się kasa powiatowa, a znioćłszy warty nieprzyjacielskie, zabrał takową.

Rotmistrz Prędowski z 3-cim szwadronem, zaatakował i zajął koszary kawaleryjskie, gdzie zastawszy trochę kozaków, zabrał pięciu do niewoli, wraz z dwoma żandarmami, nadto uprowadził kilka koni kozackich.

Piechota moskiewska, przestraszona niespodziewanym napadem, cofnęła się.—a zabarykadowawszy się w ratuszu i sąsiednich domach, oknami i ze strychów sypała ogniem do powstańców, stojących na rynku podczas zabierania kasy.

Po zabraniu pieniędzy, co było głównym celem wyprawy, i uprowadzeniu niewolnika, oddział opuścił miasto.

W całej tej rozprawie zginęło tylko dwóch ludzi i kilku zostało rannych. Polegli porucznik Tyszkiewicz i podoficer Morze.

Opuściwszy Piórków, przybyliśmy na nocleg do Jeleniowa, niedaleko Św. Krzyża, w sąsiedniej zaś wiosce stał Rzepecki ze swoimi rozbitkami, z których w porażce Strojnowskiej zginęło dwudziestu kilku ludzi.

W skutek niefortunnej rozprawy pod Strojnowem, Rzepecki zmuszony był opuścić szeregi nasze, a dowództwo szwadronu Chmielińskiego objął Edelstein.

Rzepecki wkrótce schwytany w okolicach Częstochowy, wysłanym został na Sybir.

Winą Rzepeckiego w rozbiciu oddziału było, iż lekceważył sobie przyniesioną wiadomość o zbliżaniu się Moskali, a właściwie nie dowierzał jej, w skutek czego nie przedsięwziął żadnych środków ostrożności, koniecznych w podobnych razach, jak wysłanie podjazdu w stronę nieprzyjaciela dla zbadania prawdy, drugim błędem było, iż zanadto prędko wydał rozkaz rejterady i do tego kłusem, który to rozkaz spowodował haniebną ucieczkę.

Z afery strojnowskiej szwadron nasz mógł się z honorem w całości wycofać, gdyby dowódzca był więcej zimnej krwi posiadał i nie stracił głowy.

W podobnych razach wszystko od przytomności umysłu samego dowódcy zależy. Można

było jakiś czas się trzymać, następnie rejterować, ale stępo, odstrzeliwając się, a Moskale zaledwie półtora raza będąc silniejsi od nas (mieli bowiem jeden tylko szwadron dragonów i trochę kozaków, razem do 150 koni) powstrzymaliby się może od szarży, widząc nas jednak za pierwszymi prawie strzałami zmykających, naturalnie, iż puścili się w pogoń i rozbić nas musieli.

Po przyłączeniu kawalerji Chmielińskiego liczyliśmy teraz cztery szwadrony; była to cała kawalerja z obydwóch razem województw: Krakowskiego i Sandomierskiego, z wyjątkiem może kilkudziesięciu koni, które zostawione były do obsługi obozowej oraz do utrzymania ciągłego czucia między licznemi po całych świętokrzyskich i iłżeckich lasach porozrzucanymi, rozdrobnionymi oddziałkami piechoty naszej.

Nadto istniał jeszcze jeden mały, ze 30 może najwięcej koni złożony oddziałek żandarmerji pod dowództwem Junoszy, kręcący się między Miechowem a Kielcami*).

Trzeciego dnia po Strojnowie i Opatowie, przybyliśmy do Ocięsek, gdzie rozłożyliśmy się obozem na noc. W lasach Ociesęckich znajdowały się trzy kompanie dawnej piechoty Chmielińskiego, liczące do 400 ludzi w pewnej odległości od siebie rozkwaterowane.

---

*) Począwszy od rozdziału V. Pam. Powst., autorowi tychże pamięć zupełnie nie dopisała; oprócz bitwy pod Ociesękami, która dość dokładnie (z małemi wyjątkami) jest opisaną, reszta nie ma żadnej wartości z tego jedynie powodu, iż mało w niej prawdy. Autor to, co sam widział, pozapominał widać, o tem zaś, czego nie był sam świadkiem, fałszywie poinformowanym został; fakta są poprzekręcane, nie w takim porządku, jak Pamiętniki podają, następowały jedne za drugiemi, na domiar wiele bardzo milczeniem pominięto.

To samo stosuje się również i do księgi III. Pam. Powst. w całej jej osnowie.

Nazajutrz do dnia przybywa do sztabu kurjer z wiadomością, iż jenerał Czengery z 6ma rotami piechoty, pół szwadronem dragonów i dwoma działami maszeruje z Cisowa do Ociesęk.

Chmieliński widząc szanse powodzenia, nadto chcąc jenerałowi Bosakowi zaprezentować swoją piechotę, której jeszcze w ogniu nie widział. Aby wzmocnić niedostateczną siłę piechoty, zsadza przeszło stu kawalerzystów z koni, i uzbrajając ich w karabiny włącza w szeregi piechoty; jeden pluton kawalerji pod dowództwem poruczn. M. ustawił pod lasem w celu zabrania armat, gdyby takowe tą drogą uciekać musiały, resztę zaś kawalerji z luźnemi końmi zostawił we wsi, ze względu iż teren lesisty nie był odpowiedni do użycia tejże.

Kapitanowi Tylmanowi, świeżo awansowanem przez jenerała w sam dzień bitwy na majora, oddaje dowództwo nad piechotą, mającą atakować nieprzyjaciela od strony Ociesęk, do której przydzielono i kawalerję spieszoną; pozostałą częścią piechoty dowodził major Bogdan.

Moskale weszli w zasadzkę; przywitani salwą rotowego ognia naszej piechoty, która od razu biegiem rzuciła się do ataku, nieprzyjaciel zrazu, pomimo, iż znacznie był silniejszym od nas, ratował się bezładną ucieczką, opamiętawszy się nareszcie, począł śmiertelną walkę na bagnety. Powstańcy jednak z taką szybkością i dzielnością uderzyli na nich, iż opór został złamany, i nieprzyjaciel na całej linji począł się cofać, artylerja uciekła z placu boju.

Walka trwała już przeszło godzinę.

Wtem niespodziewanie przybywa pomoc Moskwie w sile dwóch rot piechoty, które będąc niedaleko, a usłyszawszy strzały, na furmankach

zdążyły jeszcze na czas na plac boju, wszedłszy od razu w ogień.

Nadomiar ginie major Tylman; powstańcy widząc swego wodza brodzącego w kałuży krwi, zachwiali się.

Wtem Chmieliński zeskakuje z konia, porywa karabin z ziemi po jakimś poległym i prowadzi naprzód; nasi za Chmielińskim porwali się jeszcze raz do ataku, lecz tym razem już ze złym skutkiem. Moskale wzmocnieni świeżemi posiłkami byli teraz przeszło dwakroć silniejsi, nic więc dziwnego, iż wzięli w końcu górę, nasi poczęli ustępować.

W każdym jednak razie piechota nasza w tej bitwie dowiodła dzielności swej i odwagi.

Plac boju cały zasłany był trupami i rannymi; w bitwie tej Moskale ponieśli dużo większe od nas straty, gdyż jeźli Czengery w swym raporcie urzędowym przyznał się sam do stu zabitych i rannych, to śmiało można podwoić tę liczbę.

Nasze szeregi liczyły 20 zabitych i około 30 rannych, szczególniej jednak dotkliwą była dla nas strata dzielnego Tylmana, ulubieńca Chmielińskiego.

Muszę sprostować tutaj trzy fakta odnoszące się do bitwy Ociesęckiej, mylnie podane w Pamiętnikach powst.:

1. Nikt z naszych nie został wzięty do niewoli.

Następnie: Piechota polska nie została tutaj rozprószoną, lecz w najlepszym porządku cofnęła się do Ociesęk, zkąd udała się do Cisowa, kawalerja zaś tego dnia nocowała w miasteczku Rakowie.

Dwie kompanie piechoty dawnego oddziału Chmielińskiego spotkałem jeszcze w końcu grudnia około Słupi pod św. Krzyżem, ostatecznie wyginę-

ła ona dopiero w czasie ataku na Opatów przy końcu lutego 1864., pod wodzą pułkownika Topera, oraz w kilku innych potyczkach, które miały miejsce bezpośrednio po bitwie opatowskiej, a w których zniesiono do szczętu resztki, pozostałe z całej naszej piechoty obydwu województw.

Trzecim faktem nieprawdziwym, jakoby jenerał Bosak nie był obecnym na placu boju pod Ociesękami, przeciwnie dwa konie tam pod nim nawet zabito.

Z Rakowa nazajutrz Bosak i Chmieliński z kawalerją pomaszerowali w kierunku Pińczowa.

W pewnej wiosce pod Chmielnikiem, zdaje mi się Włoszczonicami, gdzie mieliśmy dniówkę, rotmistrz Wielobycki przyprowadził dwa świeżo sformowane plutony kawalerji, które wcielono do szwadronu Edelsteina (kawalerja Chmielińskiego) jako liczebnie najmniejszego, zredukowanego bowiem prawie do połowy w ostatnich dwóch bitwach; dowództwo jednego z tych plutonów powierzono mnie, drugiego porucznikowi R.

Mocno niezadowolony byłem z tego zaszczytu, jaki mi Chmieliński uczynił oddając dowództwo nad młodym, niewyćwiczonym żołnierzem, który prochu jeszcze nie wąchał; a nuż mi drapną (myślałem sobie) w pierwszem spotkaniu z nieprzyjacielem? Cała wina spadnie na mnie!

Z drugiej znów strony żal mi było rozstawać się ze starą wiarą, z którą łączyły mię siedmiomiesięczne trudy i znoje wspólnie spędzone, oraz wspomnienie kilkunastu razem przebytych bitew.

Tego samego zaraz dnia, z powodu dniówki, Chmieliński wyprowadził całą kawalerję na pole, gdzie ze dwie godziny nas mustrował. Miałem nie mało kłopotu i pracy z młodym moim żołnierzem, aby w rozmaitych ewolucjach, ruchach i manewrach całym pułkiem nie zrobić niepo-

rządku i konfuzji. O małom piersi nie zerwał, zmuszony będąc po dwa lub trzy razy jedną i tą samą powtarzać komendę, przyczem nie żałowałem plazowań pałaszem dla psujących porządek; tę samą biedę miał i mój kolega R. z drugiem plutonem.

Wracając z mustry Chmieliński, podjechał do mnie; — „ochrypłeś widzę porządnie — rzecze — ale nie pomylili! — trzymaj ich tylko w karbach, nie żałuj pałasza i bata, a zrobisz z nich dobrego żołnierza!"

Wszędzie, gdzie tylko dłuższy przystanek lub dniówkę mieliśmy, brałem młodą swoją wiarę na piechotę do pracy, nawet w marszach mustrowałem ich, męczyłem porządnie, lecz też i znać było rezultaty mej pracy. Po jednodniowym wypoczynku ruszyliśmy dalej, a przeszedłszy szosę koło Jędrzejowa, stanęliśmy obozem w Jaronowicach.

Na drugi dzień, koło południa, wskutek odebranej wiadomości, iż jedna rota piechoty moskiewskiej wałęsa się gdzieś w tej okolicy, wysyła Bosak przeciw niej majora Markowskiego z sześcioma plutonami, z całym zaś oddziałem, po wypoczynku jednodniowym, nazajutrz rano dnia 4. grudnia pomaszerowaliśmy szosę w kierunku Szczekocin. Przybywszy do wioski, odległej dwie wiorsty od miasta, zatrzymaliśmy się dla porąbania rogatki, jednej z tych, które pod koniec powstania, Moskale pobudowali przy wszystkich wjazdach do wsi, celem tamowania ruchów powstańców.

Wedety kozackie, otaczające miasto, zoczyły nas niebawem; powstał alarm w załodze moskiewskiej. Z miasta ukazuje się niezadługo sotnia kozaków, która rozwinąwszy się na front, zbliża stępo ku nam. Opuściwszy szosę, skręciliśmy na lewo, drogą prowadzącą do znacznie

odległego lasu. Wyjechawszy za wieś na pole, Chmieliński formuje nas w plutony i komenderuje: „z pochwy broń!“ — Sądziliśmy z tej ostatniej komendy, iż pójdziemy do szarży.

Kozacy z prawego flanku wciąż stępo zbliżają się ku nam; ze spokoju, w jakim maszerowali, domyślaliśmy się czegoś podejrzanego, i w rzeczy samej, zbliżywszy się na 300 kroków rozlatując się raptem w lewo i w prawo zdemaskowali dwie roty piechoty, które, idąc pod zasłoną, długiego i zbitego ich szeregu, niewidzialnemi dla nas dotąd były.

Piechota powitała nas rotowym ogniem.

Chmieliński, za pomocą lunety dostrzegł prawdopodobnie tę zasadzkę, wskutek czego nie poprowadził nas do ataku, pomimo nęcącego widoku jednej tylko sotni kozaków, nigdy jeszcze bowiem z tak małemi siłami nie mieliśmy do czynienia. Konie nasze, na odgłos strzałów i świstu kul, poczęły się niecierpliwić przyspieszając biegu, ku czemu prawdopodobnie i przez jeźdźców musiały być skrycie pobudzane ostrogami.

Chmieliński z Bosakiem i sztabem, jadąc na czele kolumny, wołał tylko ku nam: „Równaj się, szlusuj do prawego! — stępo! stępo! — Rzecz dziwna, iż nie kazano nam wziąć się do karabinków i strzałami na strzały odpowiadać, lecz tylko z dobytą z pochwy bronią, jak na paradzie, dziesięć plutonów, każdy z oficerem swym na froncie, jeden za drugim defilowaliśmy pod strzałami przed frontem wroga!

Oglądałem się bojaźliwie na mój młody pluton, który chrzest gorący otrzymywał, czy mi nie urządzi nogi; dobrze się jednak trzymał, szlusując silnie jeden do drugiego, w porządku maszerował, kłaniając się tylko wciąż przed świstem kulek, które im koło uszów grały; konie

ich również po raz pierwszy będąc w ogniu, niecierpliwiły się mocno. Paradowaliśmy w ten sposób na przestrzeni może wiorsty drogi, pod silnym ogniem karabinowym. Będąc już pod lasem, usłyszeliśmy w dali jakiś krzyk gromady ludzi; nie zwracając jednak wiele na to uwagi, wiechaliśmy dwójkami do lasu. Naraz dają się słyszeć w pośrodku lasu na czele naszej kolumny strzały z okrzykiem urra!! ruszyliśmy kłusem.

To inna znów rota nieprzyjacielskiej piechoty, rozbita i ścigana przez Markowskiego, uciekając do Szczekocin, przypadkiem weszła nam w drogę. Ukrytą będąc w gąszczu na parę kroków przy samej drodze, przywitała nas gradem kul. Byli tak blizko nas, iż lufy ich karabinów ku nam wycelowane zamiast horyzontalnej, kąt ostry tworzyły z powierzchnią ziemi.

Dziwna rzecz. iż ani jeden strzał nie był trafny! przeszło 300tu jeźdźców przeleciało kolejno przed samym ich nosem, i ani jeden z nas nie został draśniętym, strzały zaś nasze w tę gromadę ludzi, z pistoletów i rewolwerów na tak blizki dystans skuteczniejszemi być musiały.

Podobnież i w poprzedniej naszej defiladzie pod silnym ogniem piechoty i kozaków, żadnych prawie strat nie ponieśliśmy: — jeden tylko szeregowiec lekko został rannym, jednemu podoficerowi kula nos urwała, i koń jeden zginął na miejscu dostawszy w łeb kulę; może to być najlepszym dowodem, jak na blizką odległość Moskale źle strzelali.

Wyjechawszy dopiero z lasu na pole, jeden szwadron rozwinięto w łańcuch tyralierski, reszta zaś oddziału dwójkami maszerowała dalej.

Tutaj Markowski ze swemi 6ma plutonami połączył się znów z nami; z rasu nie poznawszy

z daleka swoich wzięliśmy ich za dragonów, tembardziej, że wychyliwszy się z lasu przywitali oni nas strzałami w mniemaniu również, iż mają nieprzyjaciela przed sobą; wysłany dopiero ku nim rekonesans wyjaśnił omyłkę.

Markowski pędził właśnie przed sobą ową rotę piechoty, która w ucieczce ku Szczekocinom skryła się przed nim do lasu i przypadkiem trafiła na nas.

Złączeni już razem, odstrzeliwając się przybyliśmy pod wieś Raszków, gdzie Chmieliński zsadziwszy z koni drugi szwadron, rozwinął z niego łańcuch tyralierski.

Moskale zatrzymali się pod naszym ogniem; z godzinę może trwała w tem miejscu utarczka urozmaicona pojedynczemi harcami po polu powstańców z kozakami, którzy to ostatni nigdy nam miejsca dotrzymać nie mogli, chowając się zwykle za swoją piechotę.

Wtem za wsią z z agóry ukazuje się szereg furmanek z piechotą moskiewską w asystencji kilkudziesięciu kozaków; to pułkownik Własow ze Szczekocin zażądał posiłków z sąsiedniego Zarnowca—i te właśnie przybywały.

Widząc to Chmieliński nakazał odwrót; stępo ustępując na znacznej dość przestrzeni polem, weszliśmy nareszcie do lasu, Moskale pozostali we wsi. Wzmocnione teraz siły nieprzyjacielskie wynosiły 900 piechoty i do 200 kozaków.

Przebyliśmy dosyć długi las, nie będąc niepokojeni przez nieprzyjaciela; za lasem pomiędzy dwiema górami w kotlinie na czystem polu leży wieś Słupia.

Przybywszy tutaj Bosak z Chmielińskim i połową oddziału, zatrzymali się w celu wydania pewnych poleceń miejscowemu obywatelowi, podczas gdy druga połowa oddziału, nie zatrzymując się wcale, wyszła już za wieś na przeciwległą

górę; powstała ztąd luka między obiema połowami.

Kozacy postępując w przyzwoitem oddaleniu naszemi śladv wychylili się z lasu, a dostrzegłszy powstańców już za Słupią sądzili, iż cały już oddział tam się znajduje; wpadają więc galopem do wsi i natrafiają niespodziewanie na pozostałych powstańców.

Dawszy do nich ognia, z kopyta przypuściliśmy atak, a rozbiwszy gnaliśmy ich za dwie wiorsty rąbiąc pozostałych w tyle, którzy mając słabsze konie nie mogli za całą masą nadążyć.

W wielkim zapale zapędziliśmy się za nimi aż do połowy lasu, wtem wpadamy oko w oko na piechotę moskiewską, która postępując z dala za kozakami i widząc tychże zmykających, przyczaiła się w krzakach obok drogi.

Kilkaset strzałów posypało się prosto nam w oczy; na co my nie mogąc się mierzyć z piechotą w lesie, lewo w tył i w nogi.

Znów podobnie, jak w Szczekocińskim lesie, ani jeden z nas nie został draśniętym.

Wybiegliśmy na czyste pole, kozacy pozostali na brzegu lasu, przysyłali tylko za nami strzały ze swoich janczarek. Tu dopiero pada z konia ulubiony od wszystkich dla swego dowcipu i dobrego humoru rotmistrz III-go szwadronu kawalerji Chmielińskiego Edelstein (Warszawiak, były student akademii medycznej, wyznania mojżeszowego). Zginął nie wymówiwszy nawet jednego słowa, trafiony w samą głowę od kuli kozackiej.

Złączyliśmy się z resztą oddziału, który się zatrzymał był oczekując na nas z drugiej strony Słupi.

Chmieliński przedstawił mnie 3-mu szwadronowi, jako nowego ich szefa, poczem zaraz na polu bitwy objąłem komendę po poległym

Edelsteinie. W ciągu dalszego marszu kozactwo dokuczało nam jeszcze, podsuwając się pojedynczo na blizki bardzo dystans pod naszę kolumnę, paląc do nas ze swych janczarek; zwadziliśmy kilku z koni naszemi karabinkami. nie wiele to wszakże pomagało, leźli ciągle nam pod sam bok. Niech kilku jednak z naszych wysunie się ku nim, zmykają co koń wyskoczy całą gromadą; nasi wracają, oni znów są tuż przy nas: znudzeni wkońcu ich natręctwem, większą masą uderzono na nich i wyścigano aż do samej wsi. Zmrok już zapadał, piechota moskiewska przybywszy do Słupi, pozostała tam na noc, my zaś dotarliśmy do sąsiedniej wsi Rakoszyna, gdzie również zanocowaliśmy.

Opisana potyczka trwała cały dzień, od 9-tej może godziny rano. do samego zmroku wieczornego, a jednak straty nasze były bardzo małe, liczyliśmy zaledwie kilkunastu w zabitych i rannych, i to głównie pod Raszkowem, w blizkich zaś starciach, jak pod Szczekocinami i Słupią, dwóch tylko było rannych i jeden zabity, rotmistrz Edelstein. W nocy Moskale otrzymali jeszcze w Słupi posiłki z Wodzisławia w piechocie i dragonach.

Tak wzmocnieni na drugi dzień rano zaatakowali nas w Rakoszynie. Byliśmy już na koniach gotowi do wymarszu, gdy wedety od strony Słupi dały znać o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Tym razem jednak skończyło się tylko na wymianie kilkuset strzałów między artyleryą a kawaleryą moskiewską.

Przerzuciliśmy się na drugę stronę szosy kielecko-krakowskiej. Nieprzyjaciel w pewnej odległości postępował ciągle za nami. Dnia 8. grudnia przybyliśmy na noc do Szczecia, u stóp świętokrzyckich lasów; w sąsiedztwie naszem

w Hucie Szczecińskiej, stał z oddziałem piechoty Rębajło.

Nazajutrz dnia 9. grudnia, został on zaatakowanym przez trzykroć liczniejsze siły moskiewskie, pod wodzą majora Bentkowskiego. W bitwie tej, nieprzyjaciel został haniebnie rozbitym, a Bentkowski, straciwszy konia, uciekając piechotą, o mało nie dostał się sam do niewoli, jedynie zmrok zapadły ocalił go, oraz cały jego oddział.

Powstańcy zabrali 46 karabinów oraz 22 rannych do niewoli, pomiędzy nimi 4 oficerów, jeńców tych jednak nazajutrz Bosak odesłał na wozach Czengeremu do Kielc.

Kawaleria nasza ze względu, iż bitwa toczyła się w lesie, nie brała w niej udziału, Bosak tylko i Chmieliński z eskortą, udali się na plac boju.

Moskale postępujący od czterech dni za nami, wskutek wiadomości prawdopodobnie o rozbiciu Bentkowskiego, pozostawili nas w spokoju, wróciwszy do Kielc.

W dwa dni po bitwie pod Hutą Szczecińską, stanęliśmy obozem w Pokrzywnicy w Sandomierskiem, gdzie obozowaliśmy trzy doby.

Nie wiem dla czego tak długo biwakowaliśmy w jednem i tem samem miejscu, skoro co chwila dochodziły zatrważające wieści, iż Moskale w ogromnych siłach ciągną ze wszech stron na nas.

Chmieliński obawiał się najwięcej ataku od strony Kielc, gdyż cały jeden szwadron Turskiego postawił na placówce w wiosce o milę odległej od obozu pod Bodzentynem.

Czwartego dnia wreszcie opuściliśmy Pokrzywnice udając się do Maichowa.

Po spokojnie spędzonej tu nocy, dnia 16. grudnia z brzaskiem dnia, obóz nasz zaalarmo-

wanym został dwoma strzałami na czatach. wysłano więc natychmiast na zwiady silny podjazd, który niebawem powrócił, prowadząc z sobą dwóch kozaków, tworzących szpicę awangardy oddziału kawalerji, który zaalarmował nasz obóz.

Tym razem alarm poruszył szwadron powstańców pod dowództwem rotmistrza Antoniego Wielobyckiego, który uchodząc przed ścigającym go nieprzyjacielem szedł, aby z nami się połączyć.

Na spotkanie oddziału Wielobyckiego wyjechał Bosak i Chmieliński z całym sztabem. Na ich widok Wielobycki sformował swój szwadron plutonami, jeden za drugim, które prezentując broń przedefilowały przed jenerałem.

Nowo przybyły szwadron dobrze bardzo wyglądał, porządnie umundurowany, dobrze uzbrojony i wyćwiczony. na dobrych koniach, liczył około stu ludzi; znać, iż świeżo był sformowany, prochu jeszcze nie wąchał, i że Moskale nie brali go jeszcze pod swoją opiekę, gdyż ludzie czerstwo wyglądali, konie były wypasione i tak koń jak i żołnierz w nowiutką odzież ubrany.

Oddział Wielobyckiego wcielony został do naszego pułku jako szwadron Nr. 5.

Stanowił on uderzający kontrast z nami; żołnierz Wielobyckiego jakoby z parady wrócił, my w mundurach wytartych, a często i podartych, krakuskach wypłowiałych, a konie marszami okropnie zbiedzone.

Żołnierz w ciągłych niewygodach, po kilka tygodni często nie przebierał się, o chłodzie i głodzie, znużony bezsennością, ustawicznymi marszami i walkami. smutny przedstawiał widok, pomimo to jednak czy deszcz lub śnieg, czy chłód czy głód, humor w oddziale zawsze był wyborny, myśl swobodna i dowcip nie rzadki.

Niestety! nie przewidywaliśmy straty, która nastąpiła przy końcu tego samego jeszcze dnia, którego początek w tej chwili opisuję. Dzień ten zaznaczył się na zawsze w naszej pamięci stratą Chmielińskiego.... Padł dzielny wódz nasz i od razu wszystko się zmieniło.

Myśl swobodna i dobry humor ustąpiły miejsca smutkom, zwątpieniu, które w serce każdego się wkradły. Lecz nie uprzedzajmy wypadków. Co chwila przybywali gońce i obywatele okoliczni do obozu z wiadomościami o nadciągającym ze wszech stron nieprzyjacielu.

Niezadługo pikieta od Śgo Krzyża daje znać, iż widać z daleka długie szeregi kawalerji moskiewskiej. Chmieliński dał rozkaz do pochodu.

Okolica była bezleśna, górzysta, poprzerzynana licznemi wąwozami; przed nami czerniały w dali lasy Iłżeckie, dokąd zmierzaliśmy dla połączenia się z naszą piechotą, która w tych lasach mniejszemi oddziałami rozkwaterowaną była.

Do celu naszej podróży mieliśmy jeszcze blizko 3 mile.

Przez cały czas powstania w tych województwach nie było nigdy jeszcze tyle kawalerji zgromadzonej razem, liczyliśmy pięć szwadronów, każdy przecięciowo po 90 koni, było nas zatem około 450 koni razem.

I-szym szwadronem dowodził Prędowski, II-gim Turski, III-cim ja, IV-tym Wysocki, V-tym Wielobycki.

Maszerując dwójkami, w znacznych odstępach jeden szwadron od drugiego, tworzyliśmy długą bardzo linję, zajmującą blisko dwie wiorsty przestrzeni.

Bosak i Chmieliński z adjutantami swymi, oraz i całym sztabem, pozostali w tyle oddziału, i za pomocą lunety śledzili z pagórka ruchy Mo-

skali; pozostali tam aż do nadejścia ariergardy naszej.

Dnia tego szwadron mój przeznaczony był w awangardę; maszerowałem przeto na samym przodzie całego oddziału.

Zbliżaliśmy się do Żuchowa, wioski leżącej w kotlinie między dwiema górami; przeszedłem już ze swoim szwadronem Żuchów, następnie mały lasek na stoku góry, przytykający do wsi i dostałem się na przeciwległą górę. Tu przybył do mnie adjutant Chmielińskiego z rozkazem zatrzymania się. Znajdowałem się, mówię, na samym wierzchołku góry, widziałem więc dokładnie wszystko, co się naokoło mnie działo.

Środek oddziału stał w samej wsi, koniec zaś długiej naszej linji za wsią, na przeciwległej górze, w poziomie której ciągnęły się rozległe pola, poprzecinane tu i ówdzie padołami.

Obserwując oddział spostrzegłem Bosaka i Chmielińskiego z ariergardą naszą, pędzących co koń wyskoczy ku wsi. Dopadłszy do oddziału, zatrzymali się. Bosak i Chmieliński wydają jakieś rozkazy, poczem szwadron, będący na samym końcu, formuje się, zmienia front, zachodząc prawem skrzydłem; pół szwadronu pozostaje w zbitym szeregu na miejscu, drugie pół szwadronu rozsypuje się galopem we flankiery. Stają... Chmieliński pędzi cwałem do Zuchowa, Bosak zostaje na miejscu.

W dali, od strony zkąd przyszliśmy, wznoszą się tumany kurzu, z którego kłębów widać wychylającą się kawalerję na karych koniach — to dragoni moskiewscy. Dopadają na strzał karabinowy, rozwijają się i rozpoczyna się obustronny ogień

Będąc w awangardzie o tyle byłem oddalony od nieprzyjaciela, iż kule wcale nie dochodziły do mnie, więc z całym spokojem śledząc przebieg

boju, ujrzałem długą czarną linję, wijącą się po stokach gór ruchami węża, którego paprzerywane cząstki to nikły w zagłębieniach terenu, to znów ukazywały się na pagórkach; kilkaset furmanek stanowiły ten ruchomy łańcuch, wioząc piechotę moskiewską, zdążającą z pospiechem na plac boju. Obok wozów z jednej i drugiej strony pędził konwój, z kilku setni kozaków się składający.

W miarę przybywania na wysokość wyciągniętej linii dragońskiej, piechota nieprzyjacielska szła w ogień, rozsypując się w długie łańcuchy tyralierskie.

Po półgodzinnem staniu na miejscu ruszyliśmy wolno, ustępując przed nacierającym nieprzyjacielem. Plac boju przedstawiał nader niedogodny dla kawalerji teren. Więcej jak pół szwadronu naraz nie można było wprowadzić w ogień, nie było bowiem gdzie się rozwinąć. Gdybyśmy mieli z samą choć o wiele liczniejszą kawalerją do czynienia, równe byłyby szanse, lecz piechota nie potrzebując trzymać się krętej drogi mogła postępować prosto przez doły i pagórki.

Nieprzyjacielska piechota po niejakim czasie zaczęła nas okrążać półkolem, rażąc ogniem naszą kolumnę marszową na całej jej długości. Dwie blizko mile rejterowaliśmy w ten sposób, zbliżając się ciągle ku rozległym Iłżeckim lasom; coraz to nowe pół szwadrony szły w ogień luzując dawne, dobrze już przetrzebione. Jenerał z pułkownikiem byli ciągle przy arrierguardzie w ogniu. Ustępując wciąż zbliżyliśmy się do wsi Bodzechowa. Droga przed wsią skręcała na lewo i wpadała w opłotki. w połowie długości wsi taż droga raz jeszcze skręcała w lewo, na małą łączkę, przez którą płynęła nie bardzo szeroka rzeczka, błotnista jednak i o wysokich dość brzegach. Wpław przebyć jej nie można,

przez rzekę prowadził most, wysoko zbudowany po nad powierzchnię wody, za rzeką rozległe błonie, a za niem w odległości może 400 kroków zaczynały się już iłżeckie lasy.

Dość daleko jeszcze przed Bodzechowem przyjeżdża do awangardy Chmieliński, wyjechał na pagórek, z którego przez lunetę studjował pozycję pod lasem, poczem zwrócił konia, wyskoczył na drogę przed czoło mego szwadronu i zrównał się ze mną. Jadąc obok mnie zwierzał się ze swym planem, jaki sobie ułożył w celu przebycia wsi, następnie mostu i dostania się do lasów.

Był smutny, w złym humorze, do tego nie zupełnie zdrów.

Plan jego był następujący: Przebiedz wieś kłusem, dostać się za most, dwa pierwsze szwadrony sformować pod lasem wzdłuż rzeki, jeden na prawo, drugi na lewo od mostu, aby pod zasłoną dwóch tych szwadronów, reszta oddziału mogła bezpiecznie dostać się na drugi brzeg rzeki. W razie zaś, gdyby Moskale okazali chęć przeprawy przez most, pewną część ich przepuścić i na znajdujących się już po tej stronie wody, nie dając im czasu do sformowania się przypuścić szarżę. Chmieliński miał nadto nadzieję, iż jeden oddział piechoty naszej, któremu przed kilku godzinami przesłał był rozkaz przybycia pospiesznym marszem pod Bodziechów, znajdziemy na wskazanem miejscu; oddział ten jednak w marszu swym zaskoczony został przez inną znów partję Moskali i wypełnić rozkazu nie mógł.

Bosak zawiadomiony o planie pułkownika, sprzeciwił się przebyciu wsi kłusem ze względu, iż nasz pół szwadron będący w ogniu, zwijając się w galopie dla wejścia w opłotki, zrobi zamię-

szanie, co z pewnością wywoła szarżę dragonów.

Tymczasem piechota moskiewska zachodząc z lewego flanku, zagraża nam już na prawdę, starając się ubiedz nas i odciąć od lasów, nie można zatem było dłużej zwlekać.

Chmieliński przesyłając odpowiedź jenerałowi, iż lepiej pół szwadronu stracić, jak cały oddział na niechybną zgubę narazić, zakomenderował „kłusem.“ Ruszyliśmy żwawo z miejsca. Pierwsze dwa szwadrony kłusowały w porządku, następne zaś poczęły już zwolna galopować, podczas gdy flankiery, chcąc nam nadążyć, co koń wyskoczy musieli się do opłotków dostawać.

Dragoni widząc nas z takim pospiechem rejterujących, a uważając z zamięszania, jakie w ariergardzie przy odboju powstało, chwilę za dogodną, z okrzykiem: urra! przypuścili atak; wpadli w opłotki, dopędzili i poczęła się wzajemna siekanina pałaszami.

W ariergardzie powstał popłoch, który stopniowo udzielał się i następnym szwadronom.

Gdy się to dzieje w opłotkach i we wsi, Chmieliński i ja z całym swym szwadronem byliśmy już za rzeką; drugi szwadron również w porządku kłusem przeprawił się przez most, wtedy Chmieliński dawszy mi rozkaz formowania galopem frontu pod lasem, opuścił mię i wrócił do mostu. Od tej chwili straciłem go z oczu i już więcej nie ujrzałem.

Następne szwadrony w największym nieładzie wypadły ze wsi, tworząc bezładną masę na przeciwległym brzegu rzeki. Wszyscy razem cisną się do mostu, chcąc jak najprędzej dostać się na drugą stronę; szerokość mostu była niewystarczającą dla pomieszczenia tych wszystkich, którzy naraz chcieli go przebyć; spychano się więc z mostu i

jeźdźcy wraz z końmi ze znacznej wysokości spadali do wody.

A Moskale całą już masą wylewają się ze wsi, prą naszych do rzeki, siekąc pałaszami. Przerażający widok przedstawiał się oczom moim; strzelać nie mogliśmy, strzały bowiem nasze, skierowane do Moskali, zmiatałyby naszych, musiałem więc stać bezczynnie i przypatrywać się okropnej katastrofie; rozpacz ogarniała na ten straszny widok, a pióro nadaremnie siliłoby się dziś oddać ten obraz przerażający.

Ci, co wyszli cało z tej strasznej katastrofy za rzeką i na moście, wpadli masą na nasze dwa sformowane szwadrony, a łamiąc szyki, wparli nas do lasu. Wtedy żadna siła ludzka nie byłaby już w stanie przywrócić ładu jakiegokolwiek w szeregach. Poczęła się ogólna, bezładna ucieczka; pędziliśmy szerokim gościńcem wśród lasów, opędzając się pałaszami i strzałami pistoletowemi odnacierających na nas z tyłu dragonów.

Po bokach drogi były jakieś doły, czy też poprzeczne rowy, niewidzialne dla oka, gdyż były pokryte grubą warstwą świeżo co spadłego śniegu; przez owe to doły wielu bardzo z naszych poginęło, przewracając się bowiem z końmi, prawie wszyscy stali się łupem nieprzyjaciela. Mnie również podobny wypadek spotkał; koń mój upadł, przytłukłszy mi swym ciężarem nogę; zerwał się jednak na czas jeszcze, nim dobiegli dragoni; zdołałem się utrzymać w siodle i to mnie wybawiło.

Po półmilowych śmiertelnych wyścigach, zwolniliśmy nareszcie w biegu i odtąd już walka toczyła się tylko na pistolety i rewolwery w odległości 20 do 30 kroków. Tutaj zginął tuż przy mnie rotmistrz Antoni Wielobycki, znany ze swej odwagi; rozmawiając ze mną, trafiony został kulką w samą skroń, skonał, nie wymówiwszy jednego słówka, pochylił się na kark mo-

go konia, a po chwili stoczył się na ziemię. Cześć jego pamięci!

Nie widząc Chmielińskiego wśród nas, niepokoiliśmy się o los jego, zapytywali jedni drugich, lecz nikt nie wiedział, co się z nim stało. Ten widział go już w lesie, inny znów twierdził, iż Chmieliński odciął się z małym oddziałem, wpadłszy na boczną drożynę; wtem spostrzegamy jego konia pędzącego ku nam — bez jeźdźca! — Boleśne przeczucie wstrząsnęło sercami naszemi!...

Przez dłuższy czas tajno przed nami los Chmielińskiego, aby nie osłabić ducha w oddziałach. ukrywano przed nami, iż w porażce tej straciliśmy na zawsze ukochanego wodza naszego, który był duszą powstania w dwóch naszych województwach.

Jak mi później opowiadano, Chmieliński przy samym wjeździe do lasu, będąc już rannym w rękę, przewrócił się z koniem przez rów; pomimo rany, starał się jeszcze dosiąść konia, lecz w tejże chwili dostał cięcie pałaszem w głowę i upadł krwią zbroczony. W jego obronie padło kilkunastu naszych, częścią zabitych, częścią rannych, pomiędzy ostatnimi znajdował się major Markowski i rotmistrz Prędowski.

Jenerał Bosak otrzymał również cięcie pałaszem w ramię, które odznaczało się czerwoną pręgą na białym jego kapturze, nie był jednak rannym, widocznie pałasz poprzednio już skrwawiony, ześlizgnął się po ubraniu lub też w cięciu sparowanym został tak, że tylko płazem uderzył.

Oprócz powyżej wymienionych strat, zginęli, o ile sobie dziś jeszcze przypomnieć mogę, Michałczewski Stefan, syn obywatela z Mierzwina, oraz Michałowski Julian, adjutant pułkownika Ganier (Francuza), 16-letni młodzieniec, urodzo-

ny i wychowany we Francji na emigracji, nadto w liczbie ciężko rannych, znajdowali się Visier de Latour i Montega W bitwie tej ponieśliśmy zbrojne straty zabitych. rannych i wziętych do niewoli, ubyło nam przeszło 500 ludzi; sam 3-ci szwadron którym dowodziłem, liczący 92 koni, a który dnia tego najmniej wystawiony był na ogień nieprzyjacielski, stracił 13 ludzi.

Przybyliśmy nareszcie do pewnej wioski niedaleko Iłży; tutaj wypocząwszy ze dwie godziny, pomaszerowaliśmy do sąsiedniej wsi na nocleg gdzie obozował major Sementkowski z oddziałem piechoty, który dnia tego stoczył zwycięską bitwę otrzymawszy plac boju.

W nocy Bosak zwołał radę wojenną, na której postanowiono rozdzielić całą pozostałą kawalerję na trzy części, i każdy z nich w inny powiat wysłać; resztki pozostałe z 1-go szwadronu rannego Prędowskiego i 5-go poległego Wielebyckiego, wcielono po trochę do pozostałych trzech szwaleronów. Turski przeznaczony został do powiatu Opoczyńskiego, Wysocki do Sandomierskiego, a ja do Kieleckiego. O świcie dnia następnego rozeszliśmy się we wskazanych kierunkach, Bosak zaś udał się w okolice Ujeowa, gdzie stały oddziały piechoty naszej.

---

*) Z życiorysu Józefa Hauke Bosaka przez p. Wład. Sabowskiego.

III.

Czteromiesięczny pobyt w Kieleckiem.

Pożegnawszy jenerała i kolegów, puściłem się w drogę ze swoim szczupłym kufcem po raz pierwszy sam o własnych siłach, bez dowództwa nad sobą.

Szwadron mój przetrzebiony i zredukowany prawie do połowy bitwą Bodzechowską, po przyłączeniu doń kilkunastu ludzi Prędowskiego, liczył obecnie zaledwie 58 koni.

W samo południe dnia tego przybyłem do Nowej Słupi, gdzie spotkałem się z kapitanem S. N., od którego powziąłem wiadomość, iż dwie kompanie piechoty mianowicie jego i kapitana Chrzanowskiego, z byłego oddziału Chmielińskiego, obozują o milę drogi od Nowej Słupi w świętokrzyzkich lasach.

Przed wieczorem pikiety dają mi znać o nadciągającym nieprzyjacielu od strony Kunowa, jakoż wysłany rekonesans przekonał się, iż rzeczywiście szwadron dragonów z pewną ilością kozaków zdąża mojemi śladami do Nowej Słupi.

Opuściłem więc wioskę i udałem się w lasy Świetokrzyzkie, aby pod osłoną piechoty naszej spokojnie i bezpiecznie noc przepędzić.

Dotąd łudziłem się jeszcze nadzieją, podtrzymywaną tendencyjnie rozpuszczanemi wieściami, iż Chmieliński nie zginął, lecz że znajduje się przy jednym z oddziałków piechoty, dokąd miał przybyć z częścią kawalerji, będąc odciętym podczas porażki Bodzichowskiej; tutaj dopiero dowiedzieliśmy się na pewno o smutnej rzeczywistości.

Chmieliński ciężko ranny, wzięty do niewoli przez dragonów rotmistrza Asjewa, z Radomia, został przywieziony do Bodzechowa, gdzie również wszystkie oddziały moskiewskie rozłożyły się obozem na noc. Chmieliński ulokowany został pod silną eskortą we dworze.

Znaleźli się zacni z poświęceniem ludzie, którzy z narażeniem własnego życia proponowali mu ułatwić ucieczkę podczas nocy. Chmieliński jednak odmówił, będąc mocno rannym, nie czując prawdopodobnie dość sił do tak ryzykownego przedsięwzięcia, a nadto nie chcąc narażać tych szlachetnych ludzi, którzy w razie nieudania się sprawy, niechybnie byliby padli ofiarą.

Nazajutrz przewieźli go Moskale do Radomia, w tydzień potem padł śmiercią męczeńską pod kulami wrogów.

Wiadomość, tym razem już pewna, o wzięciu Chmielińskiego do niewoli, oddziałała fatalnie na nieliczne moje szeregi; wszyscy upadli na duchu, byli bowiem najmocniej przekonani, że ze śmiercią ukochanego wodza naszego wszystko się już skończyło. Mną również zwątpienie owładnęło, straciłem wiarę w możność utrzymania dłużej powstania, gdy głównej jego podpory zabrakło.

Za rozkazem jenerała zostałem wysłany w strony, gdzie żadnego innego oddziałku nie było, z poleceniem trzymania się tam przez całą zimę. Wymawiałem się zrazu od samodzielnego dowódz-

twa prosząc jenerała, by na czele szwadronu mego postawił kogoś starszego, mnie zaś mniej ważną rolę wyznaczył, tem bardziej, że znajdowali się przy sztabie nietylko wiekiem, lecz nawet i rangą starsi odemnie oficerowie bez żadnej komendy. Jenerał odmówił memu żądaniu twierdząc, iż skoro Chmieliński sam powierzył mi dowództwo swej kawalerji i on przeto ma nadzieję, iż godnie odpowiem zaufaniu, jakie we mnie pokłada. Nie było zatem co robić, musiałem być posłuszny rozkazom.

Nazajutrz rano opuściłem oddział piechoty i przez Cisów, przeszedłszy następnie trakt główny krakowsko-warszawski, pomiędzy Jędrzejowem a Chęcinami, stanąłem w Węgleszynie pod Włoszczową.

W parę dni potem dowiedziałem się, iż szwadron dragonów, który mojemi ślady wyszedł za mną ze Słupi, wpadł w zasadzkę urządzoną przez piechotę Chrzanowskiego i powrócił do Kielc porządnie przetrzepany.

Równocześnie jednak i drugą, niepomyślną, otrzymałem wiadomość, iż Turski wraz z Wysockim zostali rozbici, napadnięci znienacka przez nieprzyjaciela w Sandomierskiem.

W kilka dni później w sam Nowy Rok 1864, stanąłem obozem w Kozłowie, rodzinnej mej wiosce; lud miejscowy zeszedł się do obozu powitać chrzestnego swego syna, gdyż jak to już poprzednio wspomniałem, cała gromada trzymała mię do chrztu, i uważała mię jako swego powinowatego. Kobiety wiejskie znosiły dla oddziału chleb, kury, jaja, co która miała i na co kogo stać było; mężczyźni zaś prosili mię, abym bezpieczeństwo swoje i całego oddziału im powierzył, by tym sposobem żołnierze mogli sobie wypocząć.

Chcąc im dać dowód ufności zgodziłem się w części na ich propozycję; obstawili więc całą

wieś na wszystkich drogach swoimi parobkami konno o milę blisko drogi do koła, zadowoleni, że im tak ważną misję poruczyłem; w zupełności jednak spuścić się na ich patrole byłoby to lekkomyślnością z mej strony, nie mogłem narażać istnienia oddziału, a nadto i życie kilkudziesięciu powierzonych mi ludzi; oprócz przeto ich pikiet, porozstawiałem i swoje, bliżej jednak już obozu.

Trzeciego dnia, gdy żołnierze wypoczęli sobie należycie, a do tego, gdy odebrałem depeszę od naczelnika miasta Kielc, iż nieprzyjaciel wyszedł w kierunku Kozłowa, wymaszerowałem w stronę Szczekocin.

Dwóch młodych chłopców, synów włościańskich z tej wsi, wstąpiło w moje szeregi.

W tych czasach jenerał Bossak, znajdujący się w Stokrzyskich lasach, mianowany przez Rząd narodowy naczelnikiem korpusu II. sił zbrojnych województwa krakowskiego, sandomierskiego i kaliskiego, z całą energią zajął się formacją oddziałów podług nowej organizacji.

Korpus II. składać się miał z trzech dywizyj piechoty, w każdem województwie po jednej, oraz po jednym pułku kawalerji; każdy powiat formował jeden pułk piechoty i szwadron kawalerji; pułk składał się z trzech batalionów linjowych i jednego rezerwowego.

Dowódzcami dywizji byli: Kurowski, Topór (Zwiazdowski) i Kopernicki; pułków: Bohdan, Rosenbach, Rębajło, Rudowski, Michalski, Zajkowski, Denisiewicz, Eminowicz, Solter, Jagielski, Bandrowski itd.

Kawalerją krakowską dowodził Markowski, sandomierską Solbach; szefami szwadronów byli: Uragan, Turski, Wysocki, Popow, Szandor Szreder, Daniszewski, Zarzycki, Szarża i Krzywda. Zandarmerją konną krakowską dowodził Junosza, powiatową kielecką Belardi; innych nie pamiętam.

Oddział mój został szwadronem I. pułku krakowskiego, a na pamiątkę nieodżałowanego Chmielińskiego otrzymał tytuł: Szwadron I. Chmielińskiego — kielecki. Z głównej kwatery korpusu często odbierałem pocztą narodową korespondencje i rozkazy, świadczące o gorliwem krzątaniu się jenerała i zmierzające do zaprowadzenia i ustalenia ładu w organizacji wojskowej. Przez organa narodowe cywilne dochodziły mię pomyślne wieści o szybkim postępie formacji batalionów i szwadronów w lasach Stokrzyskich i Iłżeckich duch zatem w oddziałku moim znacznie się poprawił, a szeregi poczęły wzrastać w liczbę przybywającymi ochotnikami.

Między innemi otrzymałem od jenerała rozkaz unikania wszelkich starć z nieprzyjacielem, ćwiczyć tylko szwadron w mustrze i kompletować go, aby, o ile możności, przetrwać tylko zimę, rokując z wiosną zaczepne działanie, a z niemi i najpiękniejsze nadzieje.

Przez pięć blisko tygodni kręciłem się ciągle na kilkumilowej przestrzeni, nie mając żadnego starcia z nieprzyjacielem, wywijając się szczęśliwie z ich matni, jaką nieraz chcieli mię opasać.

W pierwszej połowie stycznia 1864 r., z nadzieją bliskiej wiosny, poczęło być ruchliwiej i w moich stronach, tj. w powiecie kieleckim.

Najpierw zjawił się mały oddziałek kawalerji, z dwudziestu kilku koni złożony, pod dowództwem Belardiego (dawnego oficera z oddziału Chmielińskiego), stanowiący żandarmerją powiatu kieleckiego, który jednak niezadługo, wskutek nieostrożności dowódcy, przez kozaków z niena ką napadnięty i rozbity został. Ci, co na miejscu nie polegli, dostali się do niewoli, a między nimi i sam Belardi, wraz z swym oficerem Lotkinem. Pierwszego powieszono w Kielcach, Lotkin zaś, były podoficer wojsk rosyjskich (dezerter z sze-

regów wroga jeszcze w kwietniu r. 1863., przeszedł do oddziału Bończy), z ojca i nazwiska Moskal, po matce duszą Polak, nie chciał się przyznać do pochodzenia moskiewskiego, pomimo, iż bardzo źle po polsku mówił, otrzymawszy 200 pałek, uciekł nocą z więzienia, uprowadzając ze sobą dwóch żołnierzy, którzy stanowili jego straż więzienną, i przybył wprost do mego oddziału. Będąc w ciągłych marszach, spotykałem od czasu do czasu jakieś oddziałki powstańcze, słabe znaki życia zamierającej sprawy. Z żandarmerją wojewódzką Junoszy, liczącą do 40 koni, często dosyć się spotykałem. W połowie stycznia przechodził przez powiat kielecki major Denisiewicz z oddziałem piechoty przeszło 200 ludzi liczącym, udając się w Kaliskie, wyparty jednak z tamtego województwa przez nieprzyjaciela, stoczywszy w tym kilkunastumilowym marszu cztery potyczki, musiał przejść napowrót Pilicę w Stokrzyskie lasy.

Niezadługo znów spotkałem się w Złotnikach koło Jędrzejowa z majorem Wagnerem, który świeżo przekroczywszy granicę austrjacką w sile 70 kowalerji, maszerował także w Kaliskie. Oddział ten nowo umundurowany, na dobrych koniach, z kompletnem kawaleryjskiem uzbrojeniem, przedstawiał widok regularnej kawalerji, składał się też w znacznej części z dezerterów austrjackiego wojska, w pewnej nawet liczbie z Węgrów, niedługo jednak zdołał się utrzymać; stoczywszy jedną potyczkę dość szczęśliwie między Kozłowem a Gruszczynem w okolicach Małogoszcza, przedarł się nareszcie w Kaliskie, gdzie przy przejściu kolei żelaznej koło Radomska został zupełnie rozprószony. Kilkunastu zaledwie szeregowców z jednym oficerem, Słowakiem węgierskim z tegoż oddziału połączyło się ze mną.

W tym czasie szwadron mój, po wcieleniu rozbitków z oddziałków Belardego i Wagnera li-

czył do 100 ludzi, podzielonych na trzy plutony krakusów i czwarty kozaków.

Umundurowanie było jednolite, choć ciągłą poniewierką porządnie nadterane; krakusy mieli kościuszkowskie mundury, białe z czerwonemi kołnierzami i takiemiż epoletami, jasno granatowe szarawary i czerwone konfederatki; z białemi piórami, zamiast płaszcza krakowska szara kurtka z pelerynką, spięta długim łańcuszkiem pod szyją i zwisła wolno nalewe ramię nakształt huzarki, lub też w razie potrzeby obleczona na rękawy.

Przyszła mi myśl, iż kozackie ubranie może mi oddać dla uspienia czujności wroga wielkie usługi; i, więc pluton, począwszy od dowodzącego nim oficera przebrałem po kozacku. Dowództwo nad tym plutonem oddałem wyżej już wspomnianemu Lotkinowi, który pomimo dziewięciomiesięcznej służby w powstańczych szeregach, nie mógł się nauczyć dobrze polskiej mowy. Na szeregowców przeznaczyłem po większej części dezerterów z rosyjskiego wojska tak, że ten pluton wyglądał zupełnie po kozacku, gdyż nawet żołnierze między sobą, służąc poprzednio w szeregach nieprzyjacielskich, oduczeni pałkami języka ojczystego, chętnie pomiędzy sobą mówili po moskiewsku.

Pluton ten rzeczywiście oddał mi wyśmienite usługi, szczególniej na rekonesansach, przy których prawie wyłącznie nim się wyręczałem; czasem gdy tego zachodziła potrzeba, wjeżdżał w sam środek obozu moskiewskiego, i niepoznany przez nieprzyjaciela najspokojniej wracał do swego obozu.

W końcu stycznia 1864 r. otrzymuję rozkaz od Bosaka, abym dla uświęcenia rocznicy powstania, dn. 22. stycznia, jak również i dla zwrócenia na siebie uwagi Moskali, którzy ze wszech stron

gromadzili swe siły na Cisów, główną siedzibę naszej piechoty, na ich tyłach zaalarmował Kielce.

Nie chcąc poprzestać na samych Kielcach, podzieliłem cały szwadron na cztery części, i jednej i tej samej nocy zaalarmowałem równocześnie cztery miasta: Kielce Jędrzejów, Włoszczawę i Szczekociny, naznaczywszy na dzień 24. stycznia punkt zbórny w Rudzie, pod Chęcinami. W tym czasie wszystkie miasteczka w moim powiecie, wyjąwszy Małogoszcza, miały załogi moskiewskie, a w skutek alarmu, nastąpił wymarsz na mnie Moskali ze wszystkich tych czterech miejscowości.

Do Rudy na dzień wyznaczony przybyły trzy plutony, brakowało mi jeszcze jednego, dowodzonego przez porucznika Orzechowskiego, który alarmował Jędrzejów.

Nie mogąc dłużej oczekiwać w miejscowości, półtorej mili odległej od Chęcin, a dwie od Kielc, głównego obozu nieprzyjacielskiego, opuściłem przed samym wieczorem Rudę i posunąłem się o małą milkę dalę do Czartoszów.

Późno w nocy przybywa jeden z moich kurjerów z wiadomością, iż Moskale znajdują się w Rudzie. Wysyłam więc Lotkina z czterema kozakami na podjazd z rozkazem dotarcia do samego nieprzyjaciela, w celu zbadania jego siły. Lotkin przybywszy pod samą Rudę, spotkał na moście pikietę nieprzyjacielską, złożoną z dwóch piechurów; na zapytanie: „Kto idiot?“ odpowiedział: „Kazaki iz Wołoszczowy.“ Przepuścili go spokojnie i wjechał na podwórze w sam środek ich obozu. Zdala przy kilku ogniskach, na których ustawione były kotły z żywnością, uwijało się kilkunastu z piechoty i kilku kozaków, reszta rozlokowaną była po budynkach dworskich. Zajechawszy przed ganek dworu, ujrzał w oświetlonej sieni naszego kurjera K. pod strażą jako jeńca, biedak

przy odblasku światła poznawszy Lotkina, cofnął się przestraszony w tył, nie pojmując raptownego zjawienia się tegoż w samym środku obozu nieprzyjacielskiego. K. wysłany przezemnie do pewnego folwarku pod samemi Kielcami, dla zabrania kilkunastu sztuk przechowanej tamże broni; nie zachował dostatecznej ostrożności i wjechawszy na Moskali, został przez nich złapany; zaraz na wstępie poczęstowano go stu knutami, dla wydobycia jakich zeznań.

Lotkin obawiając się, aby raptownym ruchem, jakim K. zdradził swoje zadziwienie i przestrach, nie został poznanym przez Moskali, w pośrodku których się znajdował, korzystając z ciemności nocy, wyniósł się z podwórza, a zbliżywszy się do pikiety na moście, wystrzałami z pistoletów zniósł takową, i nie czekając rezultatu swej wizyty, puścił się galopem z powrotem do obozu.

Nim Lotkin powrócił z raportem około godziny 5-tej rano, kazałem koniom nasypać owsa i kotły stały już na ogniskach. Niechcąc jednak z głodnym żołnierzem puszczać się w kilkogodzinny pochód, wysłałem natychmiast pół plutona krakusów z rozkazem powstrzymania o ile możności jak najdłużej zbliżającego się nieprzyjaciela, co pod zasłoną nocy i to w lesie było możebnem tembardziej, iż spodziewałem się spotkania z samymi tylko kozakami w nadziei, iż piechota nie mogąc nadążyć kawalerji w znacznem za nimi oddaleniu postępować musi. Zresztą przygotowałem się do pochodu.

Na pierwszy odgłos strzałów, wysłałem jeden cały pluton krakusów za wieś dla zabezpieczenia odwrotu garstki moich pozrzednio wysłanych, poczem sam z resztą szwadronu wyruszyłem również na pole walki. Zaczęło się rozwidniać. Niebawem ukazał się z lasu cofający się pół pluton, a tuż za nimi kilkudziesięciu kozaków; przywitałem

ich plutonowym ogniem, poczem zaraz rozsypali się pod lasem. Naprzeciw nich rozwinąłem dwa plutony w łańcuch tyralierski, trzeci zaś pluton zostawiłem sformowany w rezerwie na wypadek ataku. Po półgodzinnej pukaninie, dała się słyszeć trąbka sygnałowa moskiewska i z lasu poczęła wysuwać się piechota, rozwijając się biegiem w długi łańcuch tyralierów.

Mając trzy razy większe siły naprzeciw siebie, a nie widząc celu w bezużytecznej stracie ludzi, dałem sygnał do odwrotu. Z pół mili rejterowałem stepo, odstrzeliwując się; przybywszy pod las, z drugiej strony wsi zwinąłem szwadron w kolumnę marszową, pozostawiwszy silną arriergardę, która czas jakiś jeszcze ucierała się w lesie z napierającymi na nią kozakami.

Niebawem strzały ucichły; Moskale cofnęli się do Czartoszów. Zmuszony byłem iść w kierunku Jędrzejowa, dla ułatwienia połączenia się czwartemu memu plutonowi, którego tak długa nieobecność poczęła mię niepokoić. Około godziny 10-tej rano stanąłem dla wypoczynku ludzi i koni w Zarzycach pod Małogoszczem, oraz dla złożenia w szpitalu dwóch moich żołnierzy, których miałem rannych z potyczki pod Czartoszowami.

W Zarzycach mieliśmy swój szpital narodowy; Moskale oszczędzali go, często jednak zaszczycali go swojemi wizytami, w celu prowadzenia kontroli nad leżącymi tam rannymi; rekonwalescentów zabierali z początku, oddając ich pod sąd wojenny, co jednak nie udawało się później, gdyż przychodzących do zdrowia wykradano zazwyczaj, wysyłano po dworach obywatelskich, gdzie przy troskliwej opiece domowników przyszedłszy do sił, powracali następnie do szeregów narodowych.

Szpital ten pod wyłączną był opieką pań okolicznych, żon i córek obywatelskich, które z ca-

łem patrjotycznem poświęceniem się, kolejno, po całych dniach i nocach przesiadywały przy łożach tych biedaków, i jak prawdziwe siostry miłosierdzia, opatrywały rany, opiekowały się i obsługiwały rannych, niosąc pociechę w zwątpieniu, krzepiły upadłych na duchu i swoją obecnością uprzyjemniały długie i ciężkie chwile w cierpieniu tym nieszczęśliwym.

Po dwugodzinnym wypoczynku w Zarzycach i nadejściu brakującego mi plutonu porucznika Orzechowskiego, pomaszerowałem dalej przez Wygnanów i w samo południe dotarłem do wsi Złotnik, leżącej o milę od Jędrzejowa.

Konie ulokowałem wzdłuż płotu na obszernym dziedzińcu dworskim, sam zaś stanąłem kwaterą we dworze. Bliskość załogi moskiewskiej w Jędrzejowie, zkąd w razie denuncjacji w godzinę mogłem mieć nieprzyjaciela na karku, nakazywała mi wszelką ostrożność.

Obstawiwszy wieś dokoła gęstemi pikietami, nakazałem paść konie i ustawić kotły na ogniskach. Nie zmrużywszy oka całą noc, zmęczony kilkogodzinnym marszem, a do tego cierpiąc na szalony ból zębów, położyłem się trochę i zasnąłem.

Nie wiem jak długo spałem, gdy wtem budzi mię oficer dyżurny z wiadomością o napadzie Moskali dodając, iż cały szwadron stoi już sformowany na dziedzińcu oczekując moich rozkazów.

Wieś Złotniki zbudowaną jest w kształcie długiej ulicy w łuku, w pośrodku wsi stał dwór, przytykający do obszernego dziedzińca odgraniczonego płotem od pola, brama stanowiła jedyną komunikację z ulicą; zresztą podwórze ze wszech stron było zamknięte. W dalszym ciągu ulicy przy końcu wsi, zaczynały się opłotki, ciągnące się przeszło wiorstę. Droga ta prowadziła do Ję-

drzejowa. Z drugiej strony wsi od Małogoszcza stał na pikiecie 15toletni chłopiec, znany w oddziele pod imieniem Władka, dzielny i odważny żołnierz. Obaczywszy z dala awangardę kozacką z kilkunastu koni złożoną, maszerującą drogą, którąśmy dopiero przyszli w Wygnanowa, nie zaalarmował zaraz oddziału, lecz mając ochotę ubicia z jednego kozaka, a będąc pewnym swego konia, przypuścił ich na bliski dystans zaledwie kilkudziesięciu kroków i przesławszy im kulkę, począł dopiero zmykać co koń wyskoczy; kozacy puścili się w pogoń za nim, i wpadłszy razem do wsi, dotarli aż do samej bramy podwórzowej; główny oddział kozaków maszerujący wraz z piechotą jadącą na furach, po strzale puścił się cwałem do wsi. Część ich zaatakowała obóz od pola, druga zaś część zajęła bramę, jedyne wyjście z podwórza.

Wybiegłem ze dworu na ganek w chwili właśnie, gdy kozacy dopadłszy do samego płotu, na odległość niespełna 200 kroków, zaczęli strzelać, równocześnie i z drugiej strony od bramy świsnęły kulki; zakomenderowałem: „ognia!“ i sto strzałów padło z karabinków moich krakusów, kozacy z za płotu drapnęli i rozsypali się na polu w tyralierkę. Druga jednak partja przy bramie nie ustąpiła, lecz pochowawszy się za domy, prażyła nas ciągle gęstym ogniem. Dla otwarcia sobie drogi, posłałem natychmiast Lotkina z jego plutonem kozaków i ci dopiero przypuściwszy atak z pałaszem w ręku, oczyścili ulicę, pędząc przed sobą Moskali aż za wieś, gdzie natknęli na piechotę.

Sformowawszy równocześnie szwadron w dwójki, mając wolną już drogę, wyjechałem z podwórza, i kłusem przebiegłszy długie opłotki drogą ku Jędrzejowu, wydostałem się na pole,

podczas gdy piechota nieprzyjacielska obszedłszy wieś, rozsypywała się już w długi łańcuch tyralierów.

Wysokość sił nieprzyjacielskich kazała mi się domniemywać, iż to nie jest ten sam oddział z którym miałem tegoż dnia rano potyczkę pod Czartoszowami, pomimo, iż z tejże samej strony przybywał; i w istocie był to inny oddział z Jędrzejowa, który w skutek alarmu miasta, w sile 2ch rot piechoty i sotni kozaków razem do 400 ludzi, pod wodzą samego naczelnika wojennego okręgu Jędrzejowskiego, majora Paszczenko, idąc śladami plutonu Orzechowskiego, dotarł do Zarczyc, a ztamtąd zwrócił się za mną do Złotnik.

Będąc już na polu pod ogniem nieprzyjacielskim, począłem się formować; Iszy i IIgi pluton rozwinąłem w łańcuch tyralierski naprzeciw piechoty moskiewskiej, IIIci pluton sformowany we front zostawiłem w rezerwie dla zabezpieczenia sobie tyłów od Jędrzejowa posławszy go pod las, z dala od pocisków nieprzyjacielskich; IVty zaś pluton Lotkina ucierał się jeszcze we wsi z kozakami.

Tyralierów zsadziłem z koni, rozpoczął się ogień. Niebawem nad wsią wzniosły się gęste kłęby czarnego dymu, to Moskale podpalili stodoły pełne zboża i inne zabudowania dworskie, prócz samego dworu.

Po dwugodzinnej może strzelaninie piechota moskiewska poczęła mię obchodzić z lewego skrzydła z zamiarem przecięcia mi drogi i pchnięcia ku Jędrzejowu. Obawiałem się nadto, aby z Jędrzejowa, którego byłem tak blizko, nie nadbiegł jaki nowy oddział nieprzyjacielski, który mógłby zaatakować mię z tyłu, przeto dałem sygnał odwrotu, a sformowawszy kolumnę marszową, stępo opuściłem pole walki, zagłębiwszy się

w las; w lesie z pół godziny może niepokoili mię jeszcze kozacy, z którymi moja arriergarda musiała się ciągle ucierać.

W dwugodzinnej tej potyczce miałem dwa konie i kilku ludzi rannych.

Przez Zakrzów i Lipno przybyłem późnym już wieczorem na folwark Bugaj, między Lipnem a Kozłowem, gdzie przenocowaliśmy. Moskale idąc ciągle za mną stanęli obozem na noc w Zakrzowie, trzy ćwierci mili od Bugaja; obawiając się nocnego napadu, obstawiłem folwark gęstemi pikietami.

Nad ranem opuściwszy Bugaj przerzuciłem się znów pod Kielce, około godziny czwartej kontramarszem w tej nadziei, iż jenerał Czengery w Kielcach, będąc prawdopodobnie uwiadomionym już o potyczce pod Czartoszowami, a następnie w Złotnikach pod samym Jędrzejowem, 5 mil od Kielc odległym, nie będzie przypuszczał, abym podobnie jak zając do swej kotliny powrócił tak prędko w to samo miejsce, gdzie dzień przedtem potykałem się z jego wojskami i do tego w takiem pobliżu głównego obozu nieprzyjacielskiego się ulokował. Stanąłem w Łośniu, między Chęcinami a Kielcami, gdzie miałem daniówkę.

Ztąd posunąłem się dalej na północ ku Radoszycom. Obywatele okoliczni przywożą mi nareszcie niemiłą wiadomość o zarządzonej na mnie obławie w tym kącie, w którym to celu z Przedborza i Włoszczowy wyruszyła piechota z kozakami, nadto i od naczelnika miasta Kielc otrzymałem za pośrednictwem dwóch pań tamtejszych depeszę, które mi ją osobiście do oddziału przywiozły, donosząca, iż również i stamtąd wyruszył na mnie szwadron dragonów z pewną ilością kozaków; otoczyli mię więc z trzech stron.

Nad ranem wyruszyłem z całym oddziałem, wysyłając gońców naprzód dla dostania języka o

nieprzyjacielu. Unikałem pilnie odkrytych pozycyj, trzymając się wyłącznie dróg leśnych. W południe stanąłem na dłuższy przystanek pod wsią Cieślami, w okolicy Małogoszcza, maszerując prawie bez przerwy ze 4 mile. Na obóz obrałem miejsce na samym brzegu lasu tak, iż z dwóch stron miałem widok otwarty na pola i na wieś, na przestrzeń dwóch do trzech wiorst, z tyłu zaś w lesie zaasekurowałem się gęstemi pikietami.

W Cieślach wiedziano od mego kwatermistrza o przybyciu oddziału i żywność dla ludzi, oraz furaż dla koni naprzód już zastałem przygotowane. Przed samym wieczorem przybywa do mnie chłopak wiejski z wiadomością, że do Ciesiel przybyła przed godziną sama kawalerja moskiewska, w sile do 50-ciu kozaków. Podobna gratka nie zdarzyła się nam dotąd, aby spotkać samych kozaków, i do tego w tak małej liczbie, ci bowiem nigdy bez asekuracji piechoty nie wychodzili na mnie; postanowiłem zatem skorzystać z tak dobrej sposobności i uderzyć na nich.

Wysłałem jeden pluton w celu obejścia ich naokoło lasem i zrobienia zasadzki w krzakach nad drogą, którędy, spodziewałem się, iż Moskale będą uciekali, sam zaś, z trzema plutonami sformowanemi w czwórki, drogą od Skórkowa wpadłem do wsi. Jakiegoż jednak doznaliśmy rozczarowania, gdy zamiast nieprzyjaciela, znaleźliśmy tylko jego ślady: dogorywające ognisko na podwórzu dworskiem; kozacy zniknęli.

Wydostałem się szczęśliwie z koła obławy, jaką na mnie urządzili Moskale; dla lepszego jednak zatarcia mych śladów pomaszerowałem nocą do Kanie, a ztamtąd dalej do Krzepina i Chlewskiej Woli, gdzie następnej nocy stanęliśmy.

W Chlewskiej Woli nie byliśmy od czterech miesięcy, to jest od czasu, jak jeszcze pod osobistem dowództwem Chmielińskiego staliśmy obo-

zem parę tygodni z rzędu, organizując się i ćwicząc w mustrze i strzelaniu. Lud miejscowy, pomiędzy którym tyle czasu przepędziliśmy, patrzył na nas przychylnem okiem, nie doznawszy nigdy od powstańców żadnej krzywdy; to też gdy zjawiliśmy się obecnie po tak długiej nieobecności, z prawdziwą radością nas powitał. Pomimo to jednak znalazł się jeden wyrzutek między nimi, urlopnik z wojska rosyjskiego, który, przebywszy długie lata w wojsku wroga, zdemoralizowany i wynarodowiony przez tegoż, uważał Moskali za swoich i czuł się ich bratem, nie z przekonania może, lecz więcej z przyzwyczajenia i przymusu. On to, prześliznąwszy się cichaczem pomiędzy pikiety powstańców, pobiegł do Szczekocin, miasteczka milę drogi oddalonego od Chlewskiej Woli, dla zawiadomienia Moskali o naszej tutaj bytności. O postępku tym ohydnym uwiadomili mię miejscowi włościanie.

Załoga nieprzyjacielska w Szczekocinach składała się z dwóch rot piechoty i sotni kozaków.

Byłem przekonany, iż dowódca moskiewski żechce w tym wypadku szczęścia spróbować i raptownym napadem, a w następstwie i rozbiciem mnie, za zniszczenie bandy buntowników w swoim wojennym okręgu, zasłużyć sobie na awans, krzyż, lub co najmniej, pochwałę od naczalstwa, tembardziej spodziewał się zastać mnie nieprzygotowanym, a więc był pewnym rozbicia mego szwadronu, jak się to z małymi kawaleryjskimi oddziałami zazwyczaj trafiało w skutek niedbałych wiadomości lub nieostrożności samego dowódcy.

Spodziewając się ataku samej tylko konnicy powziąłem zamiar zrobienia na nich zasadzki.

Tuż za wsią poczynał się las niskopienny, bardzo gęsty, pół mili się ciągnący, przez który prowadziła droga do Szczekocin, dalej były ob-

szerre pola, w pośrodku których leżało miasteczko Szczekocin.

W tym to lesie chciałem się spotkać z nieprzyjacielem.

Dawszy rozkaz „na koń“ wymaszerowałem niebawem ku Szczekocinom, na brzegu lasu od miasta postawiłem placówkę, dla obserwowania ruchów nieprzyjaciela, dwa plutony zsadziłem z koni i na piechotę ustawiłem łańcuchem w krzakach nad drogą w niejakiem oddaleniu, drugie dwa plutony konno sformowane do ataku; szczęście jednak już po raz wtóry, podobnie jak w Cieślach, nie sprzyjało mi, gdyż przez cztery blizko godziny staliśmy na stanowisku napróżno oczekując Moskali.

Wiedzieli w skutek donosu o mojej bytności w Chlewskiej Woli, byłem tak blizko nich, iż w pół godziny mogli być w moim obozie, byli naturalnie również dokładnie powiadomieni o siłach mego oddziału, dla czego zatem nie starali się zaatakować mnie? tego pojąć nie mogłem.

Przez sześć blisko tygodni krążąc tam i napowrót w jednej i tej samej okolicy, między rzeką Pilicą a traktem kielecko-krakowskim, tak zawziąłem na siebie Moskali, iż chwili spokoju nie dawali mi; postanowiłem więc opuścić na jakiś czas te okolice, zaniknąć im z oczu, i w tym celu przerzuciłem się na drugą stronę szosy przeszedłszy takową między Jędrzejowem a Wodzisławiem i udałem się w okolice Pińczowa i Chmielnika. Nie długo jednak i tutaj zabawić mogłem, gdyż załogi innych znów miast wyruszyły na mnie. Po upływie tygodnia zmuszony zatem byłem, znów zwrócić się na Zachód. Tamte zresztą okolice dokładnie znałem, wszystkie kryjówki i ścieżki niedostępne były mi bez przewodnika nawet wiadome, czułem się tam bezpieczniejszym i łatwiej

mogłem się wymykać nieprzyjacielowi tropiącemu za mną z zaciętością i wściekłością.

Przeszedłem znowu więc z powrotem szosą w Mniehowie i zatrzymałem się w Rembieszycach. Tutaj przybył do mnie obywatel G. więziony jakiś czas przez Moskali obecnie wypuszczony na wolność przez głównodowodzącego siłami nieprzyjacielskiemi w Jędrzejowie majora Paszczenko z warunkiem, iż zaraz odszuka mój oddział i w jego imieniu oświadczy mi pochwałę dla mego szwadronu za potyczkę atoczoną przed kilkunastu dniami pod Złotnikami, w której osobiście przeciwko mnie dowodził; gdyż pomimo niespodziewanego napadu przez nich i otoczenia, wyssaliśmy z tej kabały z honorem, odpędziwszy kozaków, tamujących nam odwrót, a nadto przyjęliśmy potyczkę i rozwijaliśmy się do bitwy, jak regularny żołnierz; pod gęstym ogniem nieprzyjacielskim. Prócz tego zapraszał on mię do siebie do Jędrzejowa oświadczając chęć poznania mnie i ręcząc za całkowite bezpieczeństwo mej osoby i wolność powrotu do oddziału. (Gdy był niedługo potem z oddziałem w majątku mego ojca, zabrał moją fotografię wiszącą na ścianie). Propozycję mego szanownego kolegi-nieprzyjaciela, wziąłem naturalnie za farsę i odpowiedziałem mu na nią pisemnie, pół serjo, pół żartem, iż z chęcią złożyłbym mu wizytę, polegając na jego oficerskiem słowie, nie mogąc jednak bez pozwolenia jenerała Bosaka oddalić się od mego szwadronu, zapraszam go do siebie z eskortą 20 kozaków, ręcząc słowem honoru oficera polskiego za całkowite bezpieczeństwo jego osoby.

Na tem zakończyły się nasze wzajemne umizgi. Pobyt w Remboszycach wyrył mi się głęboko w pamięci faktem, który sprawił mi wielką radość i napoił szczęściem.

Po nocach zwykle nie sypiałem czuwając nad bezpieczeństwem setki ludzi, powierzonych memu dowództwu, za których życie czułem się odpowiedzialnym. Wynagradzałem sobie to jednak we dnie wtedy, gdy wszyscy inni byli na nogach.

Nocy tej również oka nie zmrużyłem, siedziałem właśnie za stołem układając sobie na mapie plany dalszych marszów, gdy około 2-giej godziny w nocy pikieta od strony Chęcin daje znać, iż prawdopodobnie konnica jakaś się zbliża, zdala już bowiem słyszeć się dają jakiś brzęk podobny do szczęku pałaszy; poleciłem oficerowi dyżurnemu zbudzić cały oddział nie pozwalając nikomu na krok oddalać się od swego konia z rozkazem, w razie pierwszego odgłosu strzałów wsiadać na koń i formować się, równocześnie wysłałem podjazd kozacki w stronę zagrożoną i oczekiwałem rezultatu.

Pomyłka wkrótce wyszła na jaw, albowiem niespełna w półgodziny powrócił rekonesans przyprowadzając mi wziętych do niewoli nieprzyjaciół: dwóch jeńców w postaci dwóch kobiet. Jedna w latach znacznie już posunięta naprzód, druga zaledwie pączek rozkwitający. Zadziwienie obustronne, następnie radość były wielkie.

W starszej poznałem panią P., w młodszej moją narzeczoną, w siedm lat później moją żonę, dziś, gdy piszę te wyrazy, zgasłą już dla mnie na wieki.... Misją tych dam przysłanych przez naczelnika miasta Kielc, było zbieranie pewnych wyjaśnień i dowodów niezbędnych do uwolnienia jednego z naszych oficerów, znajdującego się w więzieniu kieleckim a mającego być skazanym na śmierć.

Kobiety w ostatniem naszem powstaniu dawały dowody najwyższego patrjotyzmu, do takich należała i moja narzeczona: gdzie tylko mogła być pomocną, w czemkolwiek i komukolwiek,

swoim, czy obcym, nie wahając się jednej chwili, idąca za porywem szlachetnego serca, była zawsze gotową do wszelkiej ofiary; czy to w celi więziennej, czy przy łożu rannych, czy w ofiarnej łzy nieszczęśliwym, z zaparciem się samej siebie, z narażeniem własnej wolności, własnego zdrowia, z prawdziwem poświęceniem, pierwszą była zawsze na usługi.

Nietylko jednak w czasach powstania, w tych czasach rozgorączkowania prawie ogólnego, lecz zawsze i wszędzie, dawała dowody najwyższej miłości bliźniego; tkliwa i czuła na cierpienia i nieszczęścia drugich, zawsze, gdy tego była potrzeba, biegła im z pomocą, często bezsenne noce trawiła przy łóżku chorych, obcych prawie nie raz dla niej; każdy kto tylko znał ją bliżej, musiał ją szanować i kochać; to też zdrowie swoje straciwszy na usługach dla innych, padła ofiarą dobrego i szlachetnego swego serca.

Duszą Polka, wierna przyjaciółka, najlepsza żona, najtkliwsza matka, była dla mnie prawdziwą i jedyną pociechą i osłodą długich i ciężkich nieraz dni tułaczego mego życia po za granicami kraju rodzinnego.

. . . . . .

Resztę nocy nie zmrużyłem już oka, spędziwszy kilka godzin na miłej pogadance z gośćmi moimi.

O wschodzie słońca pożegnaliśmy się rozchodząc w dwie różne strony; panie pojechały jeszcze dalej w tymże samym interesie, ja zaś wymaszerowałem w kierunku Kielc.

Muszę tu wspomnieć o pewnem przykrem bardzo dla mnie zdarzeniu, mającem jednak swoją komiczną stronę.

Obywatele powiatu kieleckiego w ogóle odznaczali się w tych czasach najwyższem poczu-

ciem patryotyzmu i poświęcenia dla sprawy narodowej, za co dotąd pokutować muszą; Moskale bowiem nałożyli na nich wyjątkowo, jak również i na obywateli powiatu opatowskiego, oddzielny podatek, który nie dotyczy bynajmniej innych powiatów Królestwa: Kontrybucję wojenną, którą po dziś dzień, to jest przez 17 już lat opłacać muszą.

Wyjątek jedyny stanowił tutaj niejaki pan Z., zamożny dość obywatel, stary kawaler, czy też wdowiec bezdzietny, mający przy sobie swoją kuzynkę, pannę M., znany z sympatji swych dla wroga, a niechęci dla nas; dwa lub trzy razy byłem u niego z oddziałem i zawsze doznawaliśmy niechętnego przyjęcia. To owsa dla koni odmawiał, tłómacząc się, iż nie ma go wcale, co jednak nieprawdą było, to znów złą żywność z umysłu dawał dla żołnierza, to fałszywych wiadomości udzielał mi o ruchach nieprzyjaciela itp. słowem, stawiał nam trudności na każdym kroku.

Panna M. przeciwnie, duszą sercem, jak wszystkie nasze kobiety, była patrjotką i dlatego niecierpiała swego wuja.

Stanąłem właśnie obozem w jego majątku. Ludzi konie pomieściłem na obszernym dziedzińcu koło dworu, sam zaś z oficerami zakwaterowałem się we dworze.

Siedzieliśmy w pokoju gospodarza, bawiąc się wesołą pogawędką i opowiadaniem rozmaitych wspólnych przygód z dwunastomiesięcznego życia obozowego. Sam gospodarz pan Z. i jego kuzynka byli również z nami, należąc do wspólnej rozmowy. W niejaki czas opuszcza nas pan Z., tłómacząc się jakiemiś zajęciami gospodarskiemi.

Po kwadransie powraca nareszcie gospodarz do nas, kręci się jakąś chwilę po pokoju, podcho-

dzi do mnie z lisią układną miną i cedząc słowa przez zęby, rzecze:

— Pan rotmistrz mi wybaczy, ale któryś z panów oficerów, zapewne przez swawolę, schował mi zegarek, który tu w tym pokoju wisiał nad łóżkiem mojem, gdy przed chwilą wychodziłem, był jeszcze na swojem miejscu, obecnie go nie ma!

Zmięszałem się ogromnie podobną interpelacją, nie będąc nigdy przygotowanym na coś podobnego, spojrzałem na kolegów, zadziwienie połączone z oburzeniem malowało się na ich twarzach.

— Niewczesny pański koncept — odrzekłem — uważam wcale nie na miejscu, i prosiłbym go o łaskawe uwolnienie nas od podobnie niestosownych żartów, ubliżających nam.

Pan Z. oświadczył mi jednak kategorycznie, iż mówił serjo, nie żartem. Krew uderzyła mi do głowy.

Koledzy moi, a było ich ośmiu, obstąpili kołem oskarżyciela. Byli to wszyscy, z wyjątkiem jednego Lotkina, synowie obywatelscy z różnych stron kraju (jeden z nich z Galicji); od samego początku zawiązku oddziału Chmielińskiego służyliśmy razem w szeregu, jako prości żołnierze, znałem więc ich wszystkich dokładnie, jako ludzi honoru i byłbym ręczył swoją własną głową, że żaden z nich nie byłby się dopuścił tak hańbiącego, tak podłego czynu. Uspokoiłem ich, prosząc, aby mnie samemu zostawili rozstrzygnięcie tej sprawy, obawiałem się bowiem, aby w zaburzeniu i zapale słusznego gniewu sami sobie krwawej satysfakcji nie zrobili.

Oświadczyłem więc panu Z., iż pomimo nie kczemności zarzutu jego, poddajemy się rewizji, którą on sam przedsięwziąć zechce; jeśli znajdzie się u którego z oficerów jego zegarek, winowajca

za splamienie honoru oficera polskiego będzie natychmiast pod sąd wojenny oddany i rozstrzelany niezwłocznie. W przeciwnym jednak razie pan Z. jako potwarca otrzyma sto batów.

Pan Z. usłyszawszy mój stanowczy wyrok, zbladł, począł się trząść jak w febrze ze strachu, tłumacząc się, iż on nie posądza żadnego z nas, lecz mógł to uczynić który z naszych prostych żołnierzy.

To ostatnie było jednak niemożebnem, gdyprzy drzwiach pokoju w sieniach stała umyślnie w tym celu postawiona straż, aby żaden z szeregowców nie wchodził do dworu.

Pan Z. wzbraniał się odbywać rewizii, pod grozą jednak dodania mu do pomocy jednego. własnych jego domowników, musiał każdego z nas po kolei wszystkie rzeczy jak najdokładniej przepatrywać i przetrząsać.

Naturalnie, zegarka nie znalazł, czego byłem pewny.

Teraz miał nastąpić czwarty i ostatni akt tej smutnej sceny, zadość uczynienie dla nas tak srodze i boleśnie na honorze dotniętych, kara zasłużona dla nikczemnego oskarzyciela.

Dwóch kozaków pod osobistem dowództwem Lotkina zbierało się do tej nieprzyjemnej operacji, gdy wpada panna M., która z drugiego pokoju słyszała, na czem cała rzecz stanęła i p czyna prosić mnie o względy dla swojego wuja. Nie wiem, czy tkliwość zwyczajna sercu kobiety, czy też trochę złośliwości i sarkazmu były pobudką do tego jej kroku.

Prosiła mnie o darowanie mu winy, gdy jednak prośbie jej odmówiłem, zwróciła słusznie moją uwagę, iż pan Z. jest szlachcicem; dobrze więc, rzekłem, każ pani podać kobierzec. W tej chwili znikła i osobiście przyniosła jakąś starą, podartą kołdrę, ale atłasową, na której

panu Z. odliczono tylko dziesięć odlewanych batów kozackich.

Tego samego jeszcze dnia napisałem o całem tem zajściu detalicznie raport jenerałowi Bosakowi.

Szczęście dla mnie, iż to uczyniłem, gdyż zaraz na drugi dzień pan Z. wyjechał z domu, odszukał jenerała, który wówczas znajdował się przy oddziałach piechoty w Opatowskiem i osobiście zaniósł skargę na mnie maluiąc mnie w najczarniejszych kolorach i przedstawiając sprawę w świetle korzystnem naturalnie dla siebie samego.

Jenerał rozgniewany oddaje mnie pod sąd wojenny i wysyła w tym celu osobną komisję, dla zbadania sprawy i innych jeszcze urojonych nadużyć, o które obwiniał mię pan Z.

Raport mój o ostatniem zajściu, idący pocztą narodową, odbiera jenerał niedługo po wizycie pana Z. u niego, przyznaje mi słuszność, wysyła zatem gońca z rozkazem wstrzymania sądu wojennego żądając tylko zasięgnięcia od naczelnika cywilnego powiatu kieleckiego opinji o mnie i w ogóle o mojem postępowaniu w czasie dwumiesięcznego mego samoistnego dowództwa szwadronem.

Odpowiedź naczelnika wypadła dla mnie pomyślnie, a nawet bardzo pochlebnie.

Wyjaśnić muszę, iż za następnej mej bytności z oddziałem w majątku pana Z., (który odtąd stale zamieszkał był w Kielcach), dowiedziałem się, iż zegarek się znalazł, a nawet któryś z jego własnych domowników miał widzieć, jakoby pan Z. sam, z rozmysłu go schował. Podejrzywam p. Z., że uczynił to w chęci rzucenia plamy na honor nasz, powstańców, aby potom bezkarnie rozsiewać mógł haniebiące nas wieści i zasłużyć na łaski

moskiewskie. Czy owe dziesięć bizunów zmieniły sposób myślenia pana Z., tego nie wiem.

Tego samego dnia wymaszerowałem w kierunku Przedborza, z zamiarem dotarcia do Kluczeska, położonego niedaleko rzeki Pilicy, pluton zaś kozacki, pod dowództwem Lotkina, wysłałem oddzielnie inną równoległą drogą, w celu zabezpieczenia sobie lewego flanku podczas marszu; otrzymałem bowiem wiadomość, iż Moskale z Włoszczowy wyruszyli w moim kierunku.

Lotkin stanął na wypoczynek we wsi Krasocinie. Nie zachowując jednak niezbędnej ostrożności i zaledwie wjechał na podwórze folwarku, gdy naraz zjawia się kilkudziesięciu kozaków, zdążając również do dworu.

Moskale zrazu nie poznali powstańców i sądzili, iż mają przed sobą swoich kozaków, gdy jednak nasi poczęli się formować do ataku, kozacy spostrzegli się z kim mają do czynienia i pędem rzucili się do bramy. Lotkin, sformowawszy swój szczupły zastęp w dwójki, rzucił się z pałaszem w ręku co koń wyskoczy w sam środek dwa razy silniejszego nieprzyjaciela i szczęśliwie przebił się, nie straciwszy ani jednego żołnierza; gonili go dość daleko, dobiwszy jednak do lasu, zdołał zmylić im ślady.

Autor „Pamiętników powstania z r. 1863/4“ pomylił się tutaj widocznie, opisując spotkanie we wsi Krasocinie, chyba że podobne spotkanie w tej samej wiosce miało miejsce drugi raz po moim już wyjeździe z oddziału, to jest w kwietniu. Tym razem jednak nie było tam całego oddziału, tylko jeden pluton kozacki, a o ile z opowiadania domyślić się mogę osobistości autora, nie służył on przy tym plutonie, lecz był oficerem przy krakusach. Zresztą z pod Krasocina nie mogli się tak raptownie znaleźć pod Mieronicami, blisko 4 mile ztamtąd odległemi, tembardziej, że

maszerowaliśmy, a zatem i Lotkin zdążał w tym samym kierunku, wprost przeciwną stroną pod Przedbórz.

Spotkanie z jakąś pikietą dragońską i z tego powodu ucieczka w nieoznaczonem przez autora miejscu, i drugie wyimaginowane spotkanie również z oddziałem dragonów w Oksy, nie miały wcale miejsca za czasów mego dowództwa szwadronem Chmielińskiego — kieleckim. Tembardziej twierdzenia mego jestem pewny, iż autor „Pam.“ łączy dwa fakta z sobą, mianowicie: rozbicie oddziału w Oksy z pobytem jego samego w tejże miejscowości po powrocie z misji, w jakiej go posłałem do jenerała w Opatowskie. Pamiętam doskonale, że porucznik M., którego wysyłałem w połowie marca do jenerała, w celu uzyskania urlopu dla siebie, powróciwszy, złączył się z oddziałem nie w Oksy pod Jędrzejowem, lecz w Korczynie pod Kielcami.

W pierwszej połowie lutego powstanie w naszych dwóch województwach wzrosło znacznie w siły. Z głównej kwatery dochodziły nas same pocieszające wiadomości: kilka bitew stoczonych w okolicach Iłży, Opatowa i Ciszowa, wypadły bardzo pomyślnie dla naszego oręża, a w lasach Sto-Krzyskich i Iłżeckich stało pod bronią przeszło 4000 piechoty, umundurowanej, dobrze uzbrojonej i doskonale wyćwiczonej, oraz do 500 koni kawalerji, prócz rozmaitych drobnych oddziałków, wysłanych podobnie jak mój przez Bosaka, w odleglejsze powiaty z rozkazem działania na własną rękę, z ciągłem jednak znoszeniem się z główną kwaterą.

W Galicji (jak wieści przynajmniej niosły), miał stać na kwaterach wzdłuż granicy jakiś korpus obserwacyjny, do 5 tysięcy ludzi liczący, którego przeznaczeniem być miało z wiosną wkroczyć do Królestwa. Rząd narodowy łudził nas

interwencją Francji, zapowiadając ogólne powstanie, które wkrótce bardzo miało wybuchnąć w całym kraju. Wszystko zbawiennie bardzo oddziaływało na nasze umysły i rokowaliśmy sobie jak najlepsze nadzieje.

W zapale i bujnej fantazji naszej widzieliśmy się już zdobywcami Kielc, najsilniejszej i najgłówniejszej pozycji moskiewskiej w naszych województwach, już nie setkami, nie tysiącami, lecz korpusami całemi maszerowaliśmy w rozbujałej imaginacji młodzieńczej na oblężenie i zdobycie Warszawy, tego serca Polski. Łudząc się tak, zapominaliśmy o głodzie, niewygodach, dwudziestokilko stopniowych mrozach, o strasznych nieraz prawie nie do zniesienia trudach, nieodstępnych od podobnie prowadzonej wojny. A musieliśmy ciągle jak banda złoczyńców przenosić się z miejsca na miejsce i ukrywać starannie przed oczyma ludzkiemi.

W Kluczesku otrzymałem wiadomość od okręgowego cywilnego o wyjściu Moskali z Piotrkowa i Radomska w kierunku Kielc, ustąpiłem im więc z drogi i przybyłem do Rudnik po nad Pilicą maszerując. Tutaj zastałem już podobnież nieprzyjemne wieści o wymarszu nieprzyjaciela z Częstochowy i innych mniejszych miast za Pilicą położonych. Zwróciłem się więc na wschód do Krzepina i Olsy, ciągle po drodze odbierając podobnie fatalne wieści; załogi Olkusza, Miechowa, Kielc, wszystko to się ruszyło maszerując koncentrycznie ku Świętemu Krzyżowi i Cisowu, głównej siedzibie oddziałów naszych w województwie krakowskiem. Zanosiło się na ogromną burzę; smutne przeczucia owładnęły nami.

Nieprzyjaciel szedł obławą, nietylko z kaliskiego województwa większe oddziały, lecz i z mniejszych miast z tej strony Pilicy położonych,

pozostawiając tylko małe załogi. Drobniejsze ich oddziały utrzymywały łączność pomiędzy głównemi siłami tak, że utworzyli tym sposobem prawie nieprzerwany łańcuch, którym mię opasali.

Ustępując ciągle zostałem wyparty na szosę krakowsko-kielecką w Pińczowskie.

Głównym celem tej jeneralnej wyprawy nie był naturalnie mój szwadron, lecz Bosak z głównemi swemi siłami w Święto Krzyzkich lasach.

Trzeba było ustąpić im z drogi, postanowiłem więc coute que coute prześlizgnąć się przez żywy łańcuch napierający mię z tyłu. Mając najdokładniejsze wiadomości o ruchach wroga, zrobiłem ruch wsteczny w kierunku nieprzyjaciela pod zasłoną nocy. wydostałem się na szosę, którą z półtory mili kłusem jechałem ku Kielcom. Moi kozacy, których niepodobna rozróżnić było od moskiewskich, we wsiach, przez które niezbędnie przejeżdżać musiałem, wpadali do domów z hałasem i budząc mieszkańców wypytywali się o buntowszczyków, aby zmylić tropy; w lasach niedaleko Chęcin skręciłem na lewo opuściwszy szosę, a idąc manowcami i leśnemi drożynami przedarłem się przez łańcuch nieprzyjacielski.

Wschodzące słońce dnia następnego powitało nas w okolicach Małogoszcza, już na tyłach Moskali. Przeszło tydzień odpoczywaliśmy po niezmiernych trudach dni poprzednich; Moskale, z pośrodku których tak szczęśliwie zdołałem się wydostać, pomaszerowali dalej, drobne zaś komendy, pozostawione po miasteczkach, były za słabe. abym mógł się ich obawiać.

Stojąc w Nieznanowicach, pod samą Włoszczową, otrzymuję dnia 25. lutego pocztą narodową rozkaz od naczelnika sztabu korpusu II., puł-

kownika Kurowskiego, abym na dzień 21. lutego rano w Kobylankach pod Opatowem stawił się ze swym szwadronem.

Termin wyznaczony mi od czterech już dni upłynął, widocznie zatem komunikacia z powiatem opatowskim, w skutek napływu Moskwy znacznie utrudnioną była, skoro tak ważna depesza nie doszła rąk moich w czasie właściwym.

Widocznie wzywany byłem do wzmocnienia oddziałów, mających brać udział w ataku na Opatów, jak wieści jednak niosły, już było po bitwie, byłem zatem w ogromnym kłopocie, co wypada mi robić. Nie iść — byłoby to wystawić się na zarzuty nieposłuszeństwa przełożonej władzy, złej woli, niechęci, lub czegoś podobnego, a co gorzej — może nawet i tchórzostwa; wypełnić zaś spóźniony rozkaz, może nie było już celu, tem bardziej, że musiałbym się powtórnie przedzierać przez łańcuch Moskwy, którym mię odgraniczyła od głównych sił naszych, co było również ogromne ryzyko.

Wzgląd jednak, że Bosak w innych może, nieznanych mi, a ważnych jakich widokach, ściągnąć mnie pragnie do siebie, rozstrzygnął mą niedecyzję za wypełnieniem rozkazu.

Zaalarmowałem nadedniem załogę nieprzyjacielską w Włoszczowy i posunąłem się naprzód ku Jędrzejowu, gdzie stanąłem na wypoczynek w Lipnicy, oczekując zmroku. Ze zmierzchem dosiadłszy koni, obchodząc przez Maiehów, Sobków i Morawicę forsownym marszem, z jednym tylko popasem, przebywszy 7 mil drogi, stanęliśmy rano w lasach Świętokrzyzkich, po za Hutą Szczecińską. Wszedłem w sam środek Moskwy.

Niedaleko odemnie w lesie, w niedostępnym gąszczu, ukrywał się mały oddziałek piechoty, rozbitki z pod Witosławskiej Góry, pod dowództwem niejakiego Szałasa; od niego to dowiedzia-

łem się szczegółów z bitwy pod Opatowem, stoczonej dnia 21. lutego. *)

Na oddziały nasze, stanowiące kadry dywizji krakowskiej, a znajdujące się w Świętokrzyskich lasach, mianowicie w Cisowie i jego okolicy, Moskwa zrobiła jeneralną wyprawę, w celu ostatecznego ich rozbicia, prócz oddziałów, maszerujących od Częstochowy, Olkusza, Miechowa, t. j. od południa i zachodu, również z północy i wschodu, wyruszyły załogi z Kielc, Radomia, Sandomierza, Zawichosta i Staszowa, a nawet z Warszawy 18 rot gwardji, z pułkiem ułanów i pułkiem grodzieńskich huzarów, które również znajdowały się już w tych okolicach. W ogóle siły moskiewskie w tej wyprawie wynosiły do 8000 piechoty i 2000 kawalerji.

Oddziały nasze zostały ze wszech stron otoczone pięćkroć przewyższającemi siłami.

Wobec tego niebezpieczeństwa pułkownik Kurowski naradziwszy się z naczelnikiem dywizji krakowskiej pułkownikiem Toporem, postanowili uderzyć w najsłabszy punkt łańcucha, którym wróg ich opasał; (to jest na załogę w Opatowie), a przełamawszy go, przebić się następnie w lasy Iłżeckie dla połączenia się z organizującą się tamże dywizją Sandomierską, przy której osobiście miał się znajdować Bosak.

Plan ułożony w części wykonany został. Dnia 21. lutego w sile 2000 powstańców uderzono na Opatów, zdobyto część miasta, bagnetem wyparłszy nieprzyjaciela z obronnych punktów, jak szpital i magazyny, w których zabrali nasi kilkadziesiąt karabinów, znaczną ilość amunicji, bielizny i obuwia.

Po zdobyciu warownych punktów, Moskwa rozsypała się po mieście, broniąc się uporczywie

*) Szczegóły te wyjęte z raportu pułkownika Kurowskiego do jenerała Bosaka o bitwie Opatowskiej.

po domach zabarykadowanych, które jeden po drugim trzeba było osobno zdobywać.

Po sześciogodzinnej zajadłej walce, uważając cel za osiągnięty, mianowicie: zaimponowanie nieprzyjacielowi śmiałym atakiem i uniezdolnienie go do działania zaczepnego, o godzinie w pół do dwunastej w nocy nakazano odwrót, który się odbył w najlepszym porządku. Straty w tej bitwie w zabitych i rannych wynosiły do 150 ludzi; były jednak dotkliwe w oficerach, gdyż między rannymi znajdowali się sam pułkownik Topór, podpułkownik Eminowicz, major Jagielski, kapitan Bezdziedа i Wiśniewski; kapitanowie Dunajczyk, Burzyński z Rejmund i porucznicy Alfons, Bella, Batory i Starzyński zabici. Poległ i proboszcz z Modliborzyc, ks. Przybyłowski, który przyłączył się do oddziału w celu niesienia pomocy duchownej umierającym na placu boju.

Na drugi dzień razem skoncentrowane oddziały pod dowództwem Bandrowskiego otoczone zostały ze wszech stron przez parękroć silniejszego nieprzyjaciela i pod Witosławską Górą zupełnie rozbite.

Tak więc główne siły województwa krakowskiego zostały zniesione, a Topór (Zwierzdowski) dowódzca tychże, będąc ranny w bitwie Opatowskiej, w parę dni później został ujęty przez Moskali i powieszony na miejscu pojmania.

Gdzie pułk. Kurowski znajdował się z resztkami rozbitków, nie mogłem się dowiedzieć, do jenerała Bosaka, przebywającego w Iłżeckich lasach, dostać się było niepodobna, gdyż całe Opatowskie, przez które trzeba było przechodzić, zalane było Moskwą, nie pozostawało mi zatem nic innego, jak powrócić znów w dawne strony, w okolice Włoszczowy, lecz z jakiemiś trudnościami i niebezpieczeństwem powrót był połączony.

Marsz ten można było wykonać tylko nocą, przeczały dzień zatemmusiałem stać w lesie, że jednak żywność dla ludzi i koni zarekwirowałem z sąsiedniej wioski, miejsce więc mojego obozu nie mogło być zupełną tajemnicą, i w istocie około południa przybył kurjer z wiadomością, iż dwa szwadrony dragonów z pewną ilością kozaków znajdują się na naszych tyłach o godzinę drogi.

Odcięli nam odwrót! W krytycznem położeniu zmuszony byłem opuścić to miejsce i posunąłem się na zachód pomiędzy Daleszyce a Kielce, o milę drogi od tych ostatnich.

Jeden z moich oficerów pochodząc z tej okolicy znał jak najdokładniej wszystkie przesmyki i służył nam za przewodnika.

Dragoni szli ciągle za nami.

Z zapadnięciem zmroku zwróciłem się napowrót w kierunku nieprzyjaciela, a nakazawszy podpasać krótko pałasze, pod najsurowszą karą zachować największą ostrożność i ciszę, zabraniając jednego słowa wymówić, idąc polami w odległości zaledwie dwóch wiorst, obeszliśmy szczęśliwie obozowisko Moskali. Następnego dnia rano po całonocnym marszu przez 16 blisko godzin z rzędu z krótkiemi przestankami, zrobiwszy ogromne dziewięciomilowe półkole przez Chałupki, Sobków, przebywszy w Brzegach szosę i rzekę Nidę, znaleźliśmy się w Rembieszycach, w okolicach Małogoszcza.

Nocy tej mróz był nadzwyczaj silny, z pewnością wyżej 20 stopni, że, jak to mówią, słowa zamarzały w powietrzu; stępo już niepodobna było maszerować. Z pół mili jechaliśmy kłusem, to znów z wiorstę lub dwie pieszo szli przy koniach, i tak na przemiany, inaczej bylibyśmy z pewnością pozamarzali. Najnieszczęśliwsi byli brodaci, wąsy bowiem tak im się pozlepiały z brodą,

iż całość stanowiła jedną bryłę lodu, nie pozwalającą na najmniejsze ust poruszenie. Gdy koło godziny 10. rano zsiedliśmy w Rembieszycach z koni, słowa jednego wymówić nie byliśmy w stanie, byliśmy prawie bezwładni, twarze nam się jakoś poskurczały, muskuły pościągały, a wargi zdrętwiałe odmawiały zupełnie posłuszeństwa.

Noc ta okropnie dała nam się we znaki, tembardziej, że to już drugą z rzędu na koniu przepędziliśmy, a ujechawszy z 16 mil, konie już ustawały.

Żołnierz był ogromnie znużony, toteż truchlałem na sama myśl o nadejściu Moskwy; porozsyłałem na wszystkie strony kurjerów; jedno mię tylko pocieszało, iż Moskale w Jędrzejowie (najbliższa załoga nieprzyjacielska), wiedząc prawdopodobnie o wymarszu moim ku Św. Krzyżowi, nie są przygotowani na tak raptowny powrót nasz w te strony.

Z innem uczuciem przed dwoma dniami jeszcze opuszczaliśmy te okolice. Nadzieje najpiękniejsze ustąpiły miejsca rozczarowaniu i zwątpieniu, przeczuwaliśmy, iż upadek powstania bardzo niedaleki i zbliża się godzina ostatnia naszej egzystencji. Moskwa zniósłszy główne nasze skoncentrowane siły, zwróci się teraz na drobne oddziałki, które otoczywszy dziesięćkroć większemi siłami, porozbijać i w następstwie wszystkich pojedynczo wyłapać musi. Pewna więc zguba nasza, w najlepszym razie czeka nas kulka na polu walki, w najgorszym: niewola, Sybir, kajdany a niektórych nawet, do których ja musiałbym się policzyć jako dowódzca oddziałku, szubienica.

Przed samym wieczorem posunąłem się dalej na zachód, a przechodząc przez Wygnanów, spotkałem się z żandarmerią powiatu Kieleckiego Junoszy, liczącą do 40 koni; na nocleg stanąłem w Lasochowie. Wieczorem dnia następnego dochodzi

mię wiadomość, iż dwa szwadrony dragonów z kozakami (ci sami, których miałem na piętach w w okolicach Daleszyc), idąc trop w trop za mną, przeszli już szosę w Brzegach i przybyli na noc do Rembieszyc.

Opuściłem więc zaraz Lasochów i zwróciwszy się na wschód, zanocowałem pół mili dalej w Ludwinowie pod Małogoszczem.

Nad ranem wymaszerowaliśmy z powrotem ku Lasochowu i stanęli w gęstych krzakach z wiorstę od drogi, którą przypuszczałem, iż będą dragoni przechodzić; gęste pikiety piesze postawiłem niedaleko samej drogi, aby wiedzieć dokładnie czas ich przemarszu; żołnierzom rozkazałem stać przy koniach w szeregu i na pierwszy sygnał: „na koń“ być gotowymi w jednej chwili. Po niejakim czasie czaty dały mi znać o zbliżaniu się wroga i wkrótce echo po lesie donosiło do naszych uszów gwar ich rozmowy; po kwadransie nastąpiła cisza. Przeszli maszerując prosto do Kozłowa. W pół godziny potem wyszliśmy na drogę, którą przechodzili Moskale i udali się w wprost przeciwnym kierunku; a obchodząc bokiem Zarzycze i Małogoszcz dotarliśmy do Leśnicy, gdzie i przenocowaliśmy.

Tutaj oczekiwałem wiadomości o ruchach nieprzyjaciela, który z Kozłowa pomaszerował ku Włoszczowy, starając się odszukać stracone moje ślady. Z Włoszczowy zwrócili się przez Kozłów i Małogoszcz z zamiarem widocznie powrotu do Kielc, w Małogoszczu jednak powzięli wiadomość o mej bytności w Leśnicy i poszli w tym kierunku.

Na czas jednak doniesiono mi o niebezpieczeństwie. Opuściłem Leśnicę i udałem się ku Bohminowi. Droga, którą maszerowałem, przerzynała Nidę; przybywszy nad rzekę, która nie była bardzo głęboką, nie przeprawiłem się na

drugą stronę, lecz w celu zupełnego zatarcia śladów kopyt końskich, wiorstę szedłem rzeką z biegiem wody, poczem stanąłem na samym kraju lasu, znajdującego się tuż nad brzegiem Nidy, aby obserwować ruchy Moskali i zobaczyć, jaki skutek odniesie mój manewr wodnego marszu.

W godzinę potem Moskwa była już nad rzeką; kilkunastu kozaków przeprawiło się w bród na drugą stronę w celu odszukania moich tropów, a nie dostrzegłszy ich nigdzie, powrócili poczem cały oddział cofnął się napowrót do Małogoszcza drogą, którą przyszedł, a ztamtąd prosto już do Kielc. Tak więc fortel udał mi się w zupełności; Moskwa wypuściła mię nareszcie z serdecznej swej opieki.

W tych to właśnie czasach ojciec mój został przez Moskali aresztowanym i uwięzionym. Matka starając się o uwolnienie go, potrafiła wyjednać sobie audjencję u Czengerego, który zaraz na powitanie przyjął ją wyrazami: „To pani jesteś matką tego łajdaka Krzywdy? zebrał sobie bandę takich łotrów, jak sam i ciągle tylko alarmuje, niepokoi mi i męczy moje załogi pięknie pani wychowałaś swego kochanego synalka!"

— Panie jenerale! wychowałam go, jak każda Polka swoje dzieci wychowywać powinna, a nie godzi się nazywać łajdakiem tego, co życie swoje niesie w ofierze ojczyźnie!"

— To prawdziwie ludzka krzywda, ciągle mi się wymyka, dziś tu, jutro go już nie ma, pojutrze znów gdzieindziej wypływa, no, no! ale ja go w końcu złapię i powieszę! Pocieszy się pani, będzie wisiał pan rotmistrz.

Jenerał Czengery, byłto człowiek dziwnego charakteru: fantastyk, prędki, gbur — to znów słodki i łagodny; jednych przyjmował grzecznie,

drugich wyrzucał za drzwi, stosownie do fantazji i humoru; łajał, krzyczał, wymyślał, groził pięściami, straszył batami lub szubienicą, to znów najsłodziej się uśmiechał i przymilał. Był to w ogóle człowiek zdaje się w gruncie niezły i więcej krzyczał i mówił, jak robił złego; miał jednak rys jeden charakteru, odznaczający go: lubił jak kto stawił mu się dzielnie i odważnie, lub okazał przytomność.

Pewna pani przybyła do niego z prośbą, aby jej pozwolił zobaczyć się z synem, który siedział w więzieniu w Kielcach, będąc wzięty z pola walki do niewoli. Czengery zgodził się na widzenie w jego obecności. Był to młody chłopaczek, uczeń gimnazjum, zaledwie 16letni; gdy nadszedł przywołany, jenerał wsiadł zaraz z góry na niego, krzyczał, wrzeszczał, groził setkami batów. Gdy się już wykrzyczał, matka zwróciła się z prośbą, aby miał wzgląd na jego młody wiek i raczył go uwolnić; a przybliżywszy się do syna, namawiała go, aby i on sam prosił za sobą.

— Choćby mię — rzecze na cały głos — zabito pod batami — litości żebrać nie będę u wroga!

Czengery zmierzył go ostro wzrokiem; nieszczęśliwa matka padła do nóg jenerałowi. W tejże chwili syn jednym susem przyskakuje do matki, a porywając ją za rękę, w największem uniesieniu zawołał:

— Niech się mama nie podli, Moskalowi nie pada się do nóg!

Czengery uśmiechnąwszy się, poklepał go po ramieniu i oświadczył, że jest zupełnie wolnym, a w drodze dodał, zwracając się do matki:

— Trzymaj go pani dobrze, aby znowu do lasu nie uciekł, bo jak się drugi raz w moje ręce dostanie, to będzie wisiał!

Miał słuszność Czesgery, dając tę radę matce, gdyż w istocie, jakby przeczuwał, zaledwie parę mil za Kielce ujechali, na pierwszej stacji wymknął się niepostrzeżenie i uciekł do oddziału.

Szczęście mi sprzyjało; szwadron mój wzrastał liczebnie, gdy inne oddziały zmniejszały się, lub zostały rozbite. W pierwszych dniach marca liczył on z górą 120 koni. Z rozbitków przybywających utworzyłem 5ty pluton; wielu jednak odprawiałem z niczem, nie mając dla nich uzbrojenia.

Moskwa, która z tych stron i z za Pilicy z Kaliskiego poszła była przed paru tygodniami na oddziały nasze piechoty, organizujące się w Cisowie i w ogóle w świętokrzyzkich lasach, po zupełnem prawie rozbiciu tychże pod Witosławską górą, szła teraz z powrotem. Wiele jednak z oddziałów tych zostało na stałe w tych okolicach, obsadzając miejscowości wolne dotąd od nieprzyjaciela.

Od tego czasu nie było ani jednego miasteczka, któreby nie miało moskiewskiej załogi, a nawet i większe wioski nie były wolne od tego tak dalece, że co dwie mile znajdował się obóz nieprzyjacielski. Rozkwaterowali się oni w tych okolicach w celu ostatecznego rozbicia mnie i Junoszy, który również szczęśliwie wymykał im się dotąd.

Na dobre więc rozpoczęła się obława na mnie. Dotąd przeważnie prawie obozowałem po wsiach, teraz musiałem więcej się już mieć na baczności, gdyż załogi moskiewskie ciągle będące w ruchu, bezustannie mię niepokoiły. Nie było prawie dnia, abyśmy choć z daleka nie widzieli Moskali, a nieraz spotykaliśmy i po dwa coraz to inne oddziały nieprzyjacielskie w jednym i tym samym dniu.

Wybierałem więc na obozowiska miejsca więcej na ustroniu, jak chatki gajowych, zaszyte w puszczę leśną, brzegi lasu, kępę krzaków wśród pola, a gdy byliśmy już tak zmęczeni, iż nie można było w zupełności zaufać własnym wedetom, które pomimo najszczerszej chęci i woli, nie były w stanie stojąc na czatach, powstrzymać się od snu z nadmiaru znużenia, wtedy dla uwolnienia żołnierza od służby i dania mu wypoczynku, wybierałem jaki mały folwarczek wśród pól obszernych, a jeden lub dwóch żołnierzy, usadzonych we dnie na dachu domostwa na czatach, mając widok odkryty na wszystkie strony, wystarczało dla bezpieczeństwa całego oddziału. W nocy jednak rozstawiałem do około obozu gęste pikiety i wysyłałem na wszystkie strony ciągłe patrole i podjazdy.

Tej tylko nadzwyczajnej ostrożności, oraz dokładnym wiadomościom o ruchach nieprzyjaciela, zwożonych mi przez obywateli, a często bardzo i przez włościan, zawdzięczam, iż Moskale nigdy mnie czy to w dzień czy w nocy niespodzianie nie mogli podejść, i tym tylko sposobem mogłem się utrzymać wśród tak ciężkich i trudnych okoliczności i uchronić oddział do samego prawie końca powstania od rozbicia, jakiem bezustannie groziła mi zawziętość Moskali.

Po wsiach pobudowali Moskale rogatki na wszystkich drogach dla tamowania ruchów oddziału; przy każdej takiej rogatce, a było ich po kilka w każdej wsi, gmina obowiązaną była utrzymywać stale posłańców konnych, którzy w razie ukazania się powstańców mieli natychmiast dawać znać do najbliższej komendy moskiewskiej. Posłańcy ci jednak służyli nam więcej jak im, gdyż zamiast nieprzyjacielowi o nas, zwykle mnie zawiadamiali o zbliżaniu się Moskwy.

Będąc wysłany przez Bosaka w powiat kielecki z przeznaczeniem samoistnego tamże działania, przyjąłem pseudonim, obawiając się prześladowania od rządu mojej rodziny. Nie wiele to jednak pomogło. W stronach tych się urodziłem, tu wychowałem, wszyscy więc doskonale mię znali; to też pod przybranem nazwiskiem nie długo się ukrywać mogłem; Moskale niezadługo dowiedzieli się, kim właściwie jestem, a że dowództwo oddziału za wielką zbrodnię uważali, mścili się przeto w rozmaity sposób na moim ojcu: Prócz paru tysięcy rubli, jakie za mnie zapłacić musiał tytułem kontrybucji, ciągle mu dokuczali nieustannemi rewizjami, szukając niby mnie w domu.

W czasie świąt Wielkanocnych przez całe dziesięć dni z rzędu dom ojca nawidzali w sile jednej lub dwóch rot piechoty, sotni kozaków, to znów szwadronu dragonów, luzując naprzemian jedni drugich. Gości tych nieproszonych trzeba było ciągle żywić i o ile można dogadzać im pomimo to jednak silili się na rozmaite sposoby by tylko dokuczyć i niszczyć majątek: pod konie na przykład zamiast słomę, siali pszenicę w snopach itp.

W celu położenia kresu ciągłemu temu dokuczaniu i systematycznemu rujnowaniu majątku rodziny, postanowiłem, zniknąć Moskwie na jakiś czas z oczu, i prosić jenerała o urlop w którym to celu wysłałem w Sandomierskie, gdzie Bosak miał przebywać, porucznika M., który na ochotnika podjął się tej misji. Przez cały prawie czas powstania byłem na linii bojowej, chciałem więc także i wypocząć i zrestaurować nadwątlone ciągłemi trudami zdrowie.

Z głównej kwatery nie otrzymywałem teraz już żadnych rozkazów i korespondencyj. Byłem zupełnie odcięty od Bosaka. Całe Opatowskie i

okolica Świętego Krzyża zalane były masą Moskwy.

Głuche wieści dochodziły mię tylko ztamtąd o ciągłych bitwach, staczanych z rozpaczą przez resztki pieszych naszych oddziałów, które jeden po drugim miały być rozbijane.

Na domiar niepomyślnych nowin naczelnik miasta Kielc uwiadomił mię, iż z Warszawy w wyłącznym celu zgniecenia mego szwadronu, maszeruje oddział Czerkiesów pod wodzą Zankiewa i już niedaleko Kielc się znajduje.

Wiadomość ta niemile nas dotknęła, gdyż Czerkiesi swoją bitnością taką opinię wyrobili sobie w czasie ostatniego naszego powstania, że żaden oddział kawaleryjski nie był wstanie im się oprzeć.

W trzy jednak dni później dowiedziałem się iż Rudowski z oddziałem piechoty napadł w nocy na nich w Blizinie, 4 mile za Kielcami i wybił co do nogi, zabrawszy im masę zrabowanych przedmiotów, oraz wszystkie konie i broń; nie potrzebuję nadmieniać, jak byliśmy wdzięczni Rudowskiemu za uwolnienie nas od Czerkiesów, których mówiąc w nawiasie, nie byliśmy bardzo ciekawi oglądać.

Goniono nas ciągle zajadle z miejsca na miejsce, zmęczenie nasze w bezustannych marszach i kontrmarszach, bez chwili prawie wypoczynku, było nie do opisania; żołnierz ledwie żywy i zasypiający podczas marszu na koniu; konie zaś ledwie nogi za sobą wlec mogły. Miarę naszego zmęczenia można powziąć z tej naprzykład okoliczności, że zasnąłem pewnego razu w trakcie rozmowy nie wiedząc nawet o tem: Z. Kielc przywiozły mi dwie panie ostrogi i bieliznę dla szwadronu, siedząc razem żartowaliśmy wzajemnie ze strachu i emocji, jakich doznały dnia tego, spotkawszy się w drodze z kozakami, któ-

rzy z wszelką dokładnością odbyli rewizię wózka, na którym jechały; nic jednak nie znaleźli, panie bowiem wyżwspomniane artykuły bardzo starannie przy sobie pochowały, mianowicie poprzyszywane były do stalek krynolin, które w owych jeszcze czasach noszono stosując się do mody.

W czasie tej to gawędki, której przedmiot bardzo był zajmujący i wesoły, usnąłem; gdy otworzyłem oczy, znalazłem głowę swoją bardzo wygodnie spoczywającą na kolanach obok mnie siedzącej panny J.; nie mogłem pojąć, co to ma znaczyć, prosiłem o wyjaśnienie mi tego przyjemnego, choć zarazem i dziwnego zjawiska i fałszywego położenia, w jakiem. sam nie wiedząc zkąd, raptem się znalazłem. Dowiedziałem się w rezultacie z ust samych pań, iż rozmawiając i śmiejąc się w najlepsze, nagle osunąłem się, padłszy w jednej sekundzie, jak martwa bryła głową na kolana panny J., spałem jak zabity. Poczciwa kobieta litując się nad znużeniem, widocznie przechodzącem moje siły, a nie chcąc mię zbudzić, przez całe dwie godziny pełniła rolę mej poduszki.

Jeden to także z dowodów egzaltacji patrjotycznej u naszych pań, iż tak wielkie wykroczenie, sięgające występku, przeciwko formom towarzyskim, przez kobiety z najlepszem i najstaranniejszem wychowaniem, było nie tylko cierpiane lecz nawet pobłażliwie i łaskawie przyjmowane i znoszone.

Gdy staliśmy obozem pewnego dnia na górze, pokrytej lasem, między Lasocinem i Krasocinem, i siedząc gromadkami koło ognisk, zajęci przyrządzaliśmy sobie śniadanie, składające się ze słoniny z chlebem, którą obsmażaliśmy nad płomieniem, daje znać pikieta, iż z dala środkiem pola od Radoszyc maszeruje rota piechoty moskiewskiej, z eskortą pół sotni kozaków. Nieprzy-

jaciel nie wiedział o nas, zdążał bowiem prosto w kierunku, nie zwracając żadnej uwagi na górę, na której obozowaliśmy.

Żołnierze dowiedziawszy się o blizkości nieprzyjaciela i małej liczbie kawalerji, a do tego samych kozaków, prosili mię aby ich zaatakować.

Wyjechałem na brzeg lasu dla obejrzenia pozycji, nieprzyjaciel w odległości dwóch wiorst maszerował sobie najspokojniej drogą wśród obszernych pól. Chcąc zadośćuczynić życzeniom szwadronu, ułożyłem na prędce plan potyczki: dwoma tylko plutonami zaatakować nieprzyjaciela, poczem niezadługo reiterować, a gdy kozacy okażą chęć szarży, uciekać galopem, by przez to ośmielić ich i wyciągnąć za sobą z dala od piechoty. Wtedy dopiero z trzema pozostałemi plutonami uderzyć z boku na nich. Kapitan Anderlini, któremu oddałem komendę kolumny atakującej, sformowawszy front ruszył kłusem, poczem marsz-marsz w kierunku Moskali, którzy ujrzawszy powstańców w pełnym galopie ku sobie, przyjęli ich rotowym ogniem, poczem szybko poczęli formować carré. Kozaki schowali się za piechotę.

Anderlini podsunąwszy się blizko, rozwinął łańcuch flankierów; Moskwa widząc, iż atak był tylko udanym, również poczęła rozsypywać się w tyraljerkę. Kozacy wysunęli się na prawe skrzydło i rozpoczął się obustronny ogień. Gdy Anderlini nakazał odwrót stępo, kozacy ośmieleni tym ruchem, krzycząc: urra!! podsuwali się bliżej ku naszym, zostawiając piechotę w tyle za sobą, co widząc, wyjechałem z lasu na pole a zakryty pagórkiem, poczęłem formować pozostałe trzy plutony. Kozactwo jednak na nieszczęście niezadługo mię dostrzegło, gdyż pomimo małego zagłębienia terenu, na jakim się obecnie znajdowałem, byłem jednak na czystem polu, i zatrzy-

małem się, oczekując zbliżającej się łańcuchem tyralierskim swojej piechoty.

Nie było zatem co robić, zwabienie kozaków nie udało mi się; gdy flankiery Anderliniego po godzinnej blisko strzelaninie, zrównali się cofając z moją kolumną, zwinąłem się i stępo pomaszerowałem dalej w kierunku Włoszerowy.

Moskwa opuściła również plac boju udając się do Krasocina.

W parę dni po tej potyczce stałem obozem na folwarku w pośrodku rozległych pól między Złotnikami a Mieronicami. Pikieta siedząca na dachu daje znać o ukazaniu się nieprzyjaciela. Dawszy rozkaz „na koń", wyszedłem na dach i ujrzałem długi front kawalerji, pędzący pełnym galopem wzdłuż brzegu lasu od sąsiedniego Wygnanowa ku folwarkowi.

Sformowałem szybko front ku nieprzyjacielowi, a gdy tenże zbliżył się na strzał karabinowy, zakomenderowałem: plutonami ognia! Był to szwadron dragonów z Kielc. Sądzili widać, iż niespodziewanym i raptownym atakiem zmięszają nas i zmuszą do bezładnej ucieczki, widząc jednak postawę naszą odporną nie zdradzają bojaźni, po strzałach naszych zatrzymali się i poczęli rozsypywać w flankiery, co również i ja uczyniłem, połowę jednak szwadronu zostawiłem w sformowanym froncie dla odparcia możliwej szarży.

Otrzymawszy poprzednio wiadomość, iż rota piechoty z pewną ilością kozaków wyruszyła z Włoszczowy w tę stronę, a obawiając się, aby odgłos strzałów toczącej się potyczki nie sprowadził ich na moje tyły, nakazałem odwrót stępo, odstrzeliwując się; w tym porządku cofałem się pół mili drogi aż do samego Małogoszcza.

Małogoszcz wyjątkowo był jedynem miasteczkiem, które nie miało dotąd załogi nieprzyjacielskiej, w parę dni jednak po tem i do Ma-

łogoszcza przybyły z Kielc 2 roty piechoty z pół setnią kozaków i już do końca powstania tam pozostały.

Przez parę dni z rzędu nie mogłem pozbyć się Moskali, którzy ciągle siedzieli mi na karku, postępując mojemi ślady. Mając na uwadze taktykę Chmielińskiego, który w razie otoczenia lub nadzwyczajnego znużenia żołnierza (co właśnie teraz miało miejsce) dzielił oddział na małe cząstki i tym sposobem ocalił go; postanowiłem i ja tym razem to samo uczynić. Rozdzieliłem szwadron na pięć części, wysyłając każdy z pięciu plutonów w inną stronę, dla schowania się w znane nam kryjówki, o których dotąd Moskale nie wiedzieli. Trzy plutony znikły zupełnie z horyzontu, włościanie bowiem w kilku wioskach w okolicach Włoszczowy, będąc bardzo nam przychylni, przechowali broń i konie, żołnierzy zaś i oficerów przebrawszy w swoje siermięgi porozbierali pomiędzy siebie. Zacni ci obywatele żywili ich i ukrywali pięć dni w swoich chatach, i choć to było zaledwie pół mili od obozu nieprzyjacielskiego, nie znalazł się nikt we wsi, coby ich zdradził, pomimo, iż za zdradę byliby z pewnością od Moskwy pieniężnie wynagrodzeni.

W tydzień po tem wszystkie pięć plutonów równocześnie prawie stawiły się w oznaczonym terminie i miejscu — w Leśnicy. Konie i ludzie odżywili się i wypoczęli sobie nieco. Jeden z tych oddziałków pod komendą porucznika R. maszerując na punkt zborny, zaatakowany był przez Moskali, wyszedł jednak cało z tej rozprawy nie straciwszy ani jednego żołnierza.

Tego samego dnia otrzymałem bardzo przykrą wiadomość o wzięciu do niewoli jednego z najlepszych i najdzielniejszych moich oficerów, którego wysłałem był w pewnej sprawie w okolice Żarnowca. Moskale złapali go w drodze, gdy

już powracał, bez broni po cywilnemu; byliby go puścili wolno, gdyż miał zupełnie legalny paszport rosyjski, gdyby nie zdrada jednego z moich żołnierzy, który zdezerterując z szeregów moskiewskich do powstania, nie wiadomo z jakiej przyczyny przed paru dniami przeszedł napowrót do nieprzyjaciela. Szpieg ten ujrzawszy go i nazwawszy po rzeczywistem (nie zgodnem z paszportem) imieniu, wyjawił przed dowódzcą moskiewskim, iż jest oficerem z mego szwadronu, w którym dowodził plutonem, w skutek czego został aresztowany. Łączyła mię z nim serdeczna i prawdziwa przyjaźń, kochałem go jak brata; był on moim towarzyszem broni od początku powstania. Razem jako prości żołnierze służyliśmy w jednym plutonie; równocześnie na oficerów awansowanie; trudy obozowego życia, niebezpieczeństwa walki, dobrą czy złą dolę zawsze dzieliliśmy razem wszędzie i zawsze prawie byliśmy nieodstępnymi siebie; to też złapanie go dotknęło mię boleśnie i trapiła srodze niepewność o los jego. Nikczemny zdrajca otrzymał przynajmniej zasłużoną karę, albowiem gdy Moskalom nie był już potrzebnym, wskazawszy im wszystkie ustronia nieznane im dotąd, gdzie zwykle, spragnieni odpoczynku, jeden lub dwa dni mogliśmy się bezpiecznie ukrywać, o czem wiedzieć chcieli, jako dezerter z szeregów został rozstrzelanym. Z Leśnicy pomaszerowaliśmy do Korczyna, gdzie złączył się z nami kurjer mój, wysłany przed kilkunastu dniami do jenerała w Sandomierskie. Dzielny ten towarzysz ledwie zdołał odszukać Bosaka w okolicach Sandomierza. Cudem prawie wyszedł cało z tej niebezpiecznej wyprawy; będąc kilka razy w rękach nieprzyjaciela, wrodzonym tylko dowcipem i przytomnością umysłu zdołał się szczęśliwie wyratować.

Wiadomości, jakie nam przywiózł z głównej

kwatery, były przerażające: główne siły naszej piechoty zostały zupełnie już rozbite i resztki oddziałów, tułając się po lasach, tropione wciąż przez nieprzyjaciela, lada dzień ulegną rozprószeniu ostatecznemu i wyłapaniu.

Jenerała naszego znalazł wielce przygnębionego nadchodzącemi ze wszech stron coraz najniepomyślniejszemi wiadomościami.

Autor Pam. Pows. twierdzi, jakoby mi przywiózł polecenie jenerała na piśmie, upoważniające mnie do rozpuszczenia oddziału. Zaprzeczać temu nie mogę, gdyż dziś wyszło mi to już z pamięci, zdaje mi się jednak, iż myli się pod tym względem, co opieram na fakcie tym, iż uzyskałem urlop, o który prosiłem, a nadto Bosak mianował moim zastępcą w dowództwie szwadronu przedstawionego przeze mnie kapitana Anderliniego, byłego oficera wojsk francuskich z legii zagranicznej w Algierze, emigranta z 1848 roku, który znajdował się przy moim oddziale. Gdyby zatem wydał rozkaz złożenia broni, nie potrzebowałby naznaczać nowego komendanta szwadronu, który miał być zaraz rozpuszczonym. Z urlopu uzyskanego nie zaraz skorzystałem, żal mi bowiem było rozstawać się z żołnierzami i kolegami, z którymi tak długi czas tyle trudów i niebezpieczeństw dzieliłem.

Po złączeniu się całego oddziału Moskwa znów poczęła nas ścigać z całą wściekłością i ze wszech stron otaczać.

Znowu wymknęliśmy się szczęśliwie z kieleckiego, w którem w tej chwili znajdowaliśmy się i przerzuciliśmy, obchodząc Włoszczowę i Kurzelów, między Szczekocinami a Jędrzejów.

W pierwszych dniach kwietnia lub ostatnich marca, wyszedłszy z Węgleszyna, gdzie popasaliśmy, w kierunku Zakrzowa, ujrzeliśmy wychylających się z lasu po lewej naszej stronie ze 20

kozaków, którzy rozsypawszy się, poczęli nas ostrzeliwać. Przeciw nim rozwinąłem jeden pluton flankierów, widząc jednak, iż bardzo nie śmiało nas atakują, rozkazałem plutonowi postępować naprzód i ostrożnie posuwać ku lasowi, obawiając się, czy cofanie się kozaków nie ma na celu wprowadzenie nas w jaką zasadzkę, zastawioną przez piechotę nieprzyjacielską w lesie. Zresztą szwadronu pozostałem na miejscu.

Gdy moi flankierzy posunęli się znacznie już naprzód za rejterującymi stępo kozakami, nagle ruszywszy z kopyta z okrzykiem: hurra! zagłębili się w dość rzadkim lesie; strzały ucichły zupełnie.

Pomaszerowałem dalej w tym samym kierunku, do najbliższej wioski Zakrzowa, gdzie oczekiwałem na powrót wysłanego za kozakami plutonu. W dwie może dopiero godziny, już o zmroku, powrócili z tej wyprawy.

Oficer dowodzący tym plutonem opowiadał, iż gdy podsunął się pod las, widząc, iż z samymi tylko kozakami ma do czynienia, przypuścił na nich szarżę i gnał ich aż pod same prawie Nagłowice (obóz moskiewski); kozacy jednak tak dziarsko uciekali, iż nie mieli przyjemności ani jednego z nich z konia zsadzić.

W krótko trwałej potyczce pod Węglewynem ostatni to raz słyszałem świst kul moskiewskich.

Po tygodniu przeszło, (bawiąc się tak długo siedzieć w jednem i tem samem miejscu, odwieziony zostałem przez p. Łosiowę do pewnego dworu obywatelskiego pod Końskiemi. W podróży tej doznałem nie mało emocji.

Trzeba koniecznie przejeżdżać było przez miasto Opoczno, którego komendantem był świeżo przeniesiony z Jędrzejowa major Paszczenko, ten sam, z którym miałem potyczkę pod Złotnikami, a który tak bardzo pragnął mię poznać osobiście.

W owych czasach każdy przyjezdny do miasta musiał meldować się komendantowi załogi dla otrzymania pozwolenia wyjazdu w formie przepustki przez rogatki. O przepustkę p. Łosiowa naprzód się już postarała.

Wjeżdżając do miasta zostaliśmy na rogatce zatrzymani przez posterunek piechoty, okazawszy na żądanie nasze paszporta (naczelnik narodowy miasta Kielc dostarczył mi paszportu legalnego z podpisem Czengerego), podoficer zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy nie wieziemy jakiej broni.

Oburzyłem się na podobne zapytanie żądając odbycia rewizji wózka.

Pierwszy to raz znalazłem się bez broni, jako spokojny obywatel kraju, oko w oko z nieprzyjacielem, każdy młody człowiek wówczas wzbudzał podejrzenie, to też Moskale obstąpiwszy dokoła wózek, badawczo przyglądali mi się.

Głupcy! gdyby który z nich przyłożył był rękę do mych piersi, to po biciu serca mego mógłby się był dowiedzieć prawdy; tłukło się ono gwałtownie w piersiach, zdawało się bowiem, iż czytają w moich oczach, iż jestem powstańcem i do tego kandydatem na szubienicę, którą mi już zawczasu jenerał Czengery obiecał. Można

sobie wyobrazić, jakie uczucia mną wtedy miotały; a nuż im się we mnie co nie spodoba? może zobaczą co podejrzanego i zechcą zaprowadzić do komendanta, majora Paszczenki, mojego przyjaciela, który jak to już powyżej wspomniałem, posiadał moją fotografię? Wtedy byłbym zgubiony.

Nieszczęsna rewizja wózka trwała dla mnie wieki całe; dzięki Bogu skończyła się nareszcie, pozwolono jechać nam dalej; w myśli serdecznie pomodliłem się do najwyższego, iż z gorących tych opałów wyszedłem bez szwanku. Nie dojeżdżając do rynku skręciliśmy w boczną uliczkę, którą wydostaliśmy się na drugą rogatkę, tutaj nie zaczepiano nas więcej, oddałem przepustkę żołnierzowi i szczęśliwie wyjechaliśmy za miasto; długi jeszcze czas oglądałem się, czy nie gonią nas kozaki.

Dobiliśmy szczęśliwie do kresu naszej podróży.

Nie długo jednak mogłem tutaj popasać; na trzeci dzień bowiem po moim przyjeździe przybył pewien obywatel dla doniesienia mi, iż Moskale w Włoszczowy dowiedzieli się, iż ukrywam się w Opoczyńskiem.

Musiałem bez straty chwili opuszczać te strony.

Obywatel ów przywiózł mi również bardzo smutne wieści o moim szwadronie. Na trzeci dzień po opuszczeniu przezemnie oddziału, Anderlini, który przyjął pseudonim „Marok" spotkał się między Rudnikami a Oksą ze szwadronem dragonów, wzmocnionym kilkudziesięciu kozakami i został rozbitym. Straciwszy w zabitych, rannych i rozproszonych do 30 ludzi. Dzielny podporucznik Kowalski, będąc ze wszech stron otoczony przez kozaków, wystrzałem z pistoletu chciał sobie życie odebrać, palnął sobie w usta, rana nie była jednak śmiertelna, bezprzy-

tamay zabranym został przez Moskali, po długiej bardzo kuracji zdołano go do wątłego zdrowia przyprowadzić.

W dwa dni po tej katastrofie resztki ocalałe szwadronu, stojąc we wsi Ludyni, zostały zaatakowane przez kilkudziesięciu kozaków. Powstańcy dosiadłszy koni śmiałą szarżą zmusili do ucieczki Moskali; nierozsądkiem było jednak ścigać przeszło milę drogi, aż do samej Włoszczowy, na odgłos bowiem strzałów wypadły z miasta nowe posiłki w liczbie kilkudziesięciu kozaków, którzy zmusili naszych do odwrotu.

W potyczce tej Morok stracił znów kilku ludzi; między innymi: podporucznika Wicki, z byłego szwadronu Szamota, który eskortował jenerała Besaka przy pierwszem jego wejściu do Królestwa, wziętym został do niewoli. Był to siedmnastoletni młodzieniec z Galicji rodem, znany w szwadronie ze swej szalonej odwagi. Pod wachmistrzem szwadronowym Kamińskim (z profesji kowal) zabito konia, bronił się rejterując piechotą do stojącego w pobliżu młyna; wpadł nareszcie do budynku zatarasował drzwi za sobą; gdy te jednak podważono, wydostawszy się jakimś bocznym otworem na zewnątrz, wyskoczył na koło młyńskie. Miał jeszcze trzy naboje w rewolwerze: dwoma strzałami położył dwóch Moskali, a trzecim i ostatnim odebrał sobie sam życie.

Moskale zabrali jego zwłoki do miasta i sprawili mu przyzwoity pogrzeb.

Drugi oddziałek konny, żandarmerja powiatu kieleckiego pod wodzą Junoszy, został również do szczętu rozbity w okolicach Jędrzejowa.

Opuściłem Opoczyńskie, a jadąc rozmaitym dyszlem od jednego obywatela do drugiego, przybyłem nareszcie nad samą granicę austrjacką do Ojcowa. Całą prawie tę 30 milową drogę prze-

łem pod opieką pań, które bezpieczeństwem mej osoby gorliwie się zająwszy, odwoziły mię osobiście jedna do drugiej. Tytuł mój codziennie a nawet parę razy na dzień się zmieniał; byłem wszystkiem bratem, narzeczonym, mężem lub synem, stosownie do wieku i woli mych zacnych towarzyszek podróży. Ostatnią stację przejechałem pod opieką gorliwej patrjotki zacnej panny A. M. dzisiejszej pani Z., mieszkającej obecnie w Stanisławowie.

Podczas tej mojej tygodniowej przeszło podróży raz tylko jeden spotkałem się w drodze z Moskalami, którzy zrewidowawszy nas i wózek z wszelką dokładnością i przejrzawszy nasze paszporta, puścili wolno; w pewnej jednak miejscowości, gdzie wypadało mi cały dzień zabawić, byłem w porządnym strachu i rzeczywistem niebezpieczeństwie.

Daje znać, iż od wsi pędzi galopem oddział kozaków zmierzając prosto do dworu. Gospodarz domu, nie tracąc przytomności i fantazji, wybiega na ich spotkanie na ganek polecając żonie i córce ukryć mię czemprędzej w wiadomem pudełku. Panie szybko pociągnęły mię za sobą. Pomimo bliskiego niebezpieczeństwa owładnęła mną ciekawość, co to może być za pudełko, w którem mam być schowanym? Weszliśmy do spiżarni: odsunięto szybko jakąś beczkę z mąką, wyjęto kawałek deski z podłogi, i w otwór powstały ztąd kazano mi się wpakować! Otwór zapowrót zamknięto, beczka stanęła na swem dawnem miejscu i byłem już w pudełku. Począłem rękami macać naokoło siebie w celu obznajomienia się ze swem nowem mieszkaniem; był to niewielki dół wykopany pod podłogą, ściany którego zaszalowane były deskami. Objętość pudełka była tak mała, iż trzy osoby z trudnością mogłyby się obok siebie pomieścić i to siedząc na przygotowanej w

tym celu ławeczce. Schowek ten widocznie umyślnie był zrobiony na przechowywanie zakazanych rzeczy i ukrywanie w danym razie powstańców. a prawdopodobnie nie ja pierwszy tutaj się znalazłem.

Siedząc prawdziwie jak mysz pod podłogą, usłyszałem hałas i gwar w dworze; stukanie, odgłos kroków ludzkich i brzęk szabel dochodziły do mnie: Odbywano rewizję.

Przyzwyczajony byłem do niebezpieczeństw, jednak radbym był z tej drażliwej sytuacji jak najprędzej się wydostać. Nieprzyjemnie robiło mi się na sercu na samą myśl odkrycia, a wspomnienie obietnicy strzyczka jakieś drażliwe łaskotanie w okolicach gardła wywoływało. Wyobrażałem sobie nadto arcyniemiłą moją pozycję, i głupią minę, z jaką będę musiał wyłazić z dziury, gdy mię wynajdą! Robiłem sobie w duszy wyrzuty, iż opuściłem oddział; czyż nie lepiej byłoby mi z bronią w ręku zginąć na placu walki, niż teraz dać się wziąć żywcem, aby mię jak barana związanego i okutego wieźli do Kielc, pastwiąc się nademną i urągając mojej bezsilności? A w rezultacie cóż mię czeka, jeśli nie zawsze ta sama śmierć!? z tą tylko różnicą, że tam kulka wroga, a tu szubienica!! Gwar coraz więcej zbliżał się do mnie, otwarły się nareszcie drzwi od spiżarni z łoskotem! Zaparłem oddech w sobie, nieopisane uczucie rozpaczy, strachu, zwątpienia, nadziei, gniewu, jak błyskawice przelatując jedne po drugich, miotały mną całym.

Chodzili mi nad głową, szukali po wszystkich kątach. Nareszcie drzwi się zamknęły i nastała cisza. Gorąco podziękowałem Bogu za ocalenie.

Po półgodzinnem jeszcze siedzeniu w tem nie bardzo wygodnem, a jak się pokazało, bez-

pięcznem więzieniu uwolniono mię z niego. Moskale odbywszy rewizję w całym domu, przeszukawszy wszystkie kąty tak dalece, iż nawet do szaf i kufrów zaglądali, nic nie znalazłszy odjechali.

Nie wiadomo czego, lub kogo szukali, gdyż nie powiedzieli nic; prawdopodobnie jakaś denuncjacja być musiała. W dalszej mojej podróży ku granicy, często bardzo zdarzało się, iż w pół godziny po odejściu Moskali przybywałem do jakiej wioski i zaraz po moim wyjeździe znów przychodzili, lecz opieka Boska, widać, czuwała nademną! Przeszło 30 mil drogi przebyłem szczęśliwie umknąwszy ich sępów.

Przybywszy do Ojcowa, zamierzałem tu dłuższy czas zabawić, a następnie wrócić napowrót do oddziału. Jak naiwny wtedy byłem najlepszy dowód, że pomimo tylu klęsk i niepowodzeń, nie traciłem zupełnie nadziei, łudząc się do samego ostatka. Drogie to były dla mnie złudzenia!

Gospodarza w domu nie zastałem, wyjechał był bowiem na kilka tygodni do swojej rodziny; sam więc tu byłem uchodząc za jego krewnego, który przybył umyślnie, aby w nieobecności samego pana zastępywać go w gospodarstwie; służba dworska i wszyscy we wsi uważali mię za takiego; czułem się dość bezpiecznym, a nawet parę razy obieszczyków moskiewskich (straż graniczną), przyjmowałem w imieniu gospodarza, traktując ich do syta wódką.

W dwa dni po mojem przybyciu do Ojcowa, dowiedziałem się, iż z wyjątkiem mego szwadronu, dowodzonego obecnie przez Moroka, zredukowanego silnie ostatniemi potyczkami, w całem Sandomierskiem i Krakowskiem nie ma już ani jednego oddziału zbrojnego; — przed dwoma tygodniami jeszcze porozbijano resztki: Denisiewicz

z oddziałem piechoty otoczony w okolicach Chmielnika, do szczętu rozbity, sam ranny wzięty został do niewoli i powieszony. Rosenbach również z oddziałem piechoty po bitwie pod Iwaniskami, przyparty do granicy, musiał przejść do Galicji; Solbach z czterma szwadronami kawalerji sandomierskiej w potyczce pod Wąchockiem pobity i rozproszony został, sam poległ na placu bitwy. Szandor Szreder pod Ostrowem z kawalerją rozbity, sam dostał się do niewoli i na miejscu powieszony. Kilka jeszcze drobniejszych oddziałków podobny los spotkał.

Same złe wiadomości sypały się jak z rękawa! W parę dni potem jeden żołnierz z byłego mego szwadronu przechodzące przez Ojców w zamiarze dostania się za granicę opowiadał mi, iż ostatni oddział zbrojny Moroka w spotkaniu się z nieprzyjacielem w okolicach Przedborza, został zupełnie zniesionym, a sam Morek, gdy koń padł pod nim dostał się żywcem do niewoli. Z całego oddziału pozostało tylko kilkunastu ludzi, którzy nie mając gdzie się podzieć pod dowództwem Lotkina tułali się z kąta w kąt, ukrywając się jeszcze z kilkanaście dni po lasach. W końcu i Lotkin został w jakiejś chacie koło Bebelna schwytany i odstawiony do Kielc a niebawem rozstrzelany.

Tak więc nie było już na całym obszarze Polski, ani jednego oddziału zbrojnego; — powstanie zupełnie już i ostatecznie zgnębionem zostało.

Nie było po co dłużej w kraju czekać tembardziej, że swoją obecnością, to jest ukrywaniem mnie, innych na prześladowanie ze strony wroga wystawiałem, sam zaś co chwila mogłem być złapanym.

Postanowiłem więc przy najpierwszej sposobności przedrzeć się przez granicę do Galicji, a

raczej do W. Ks. Krakowskiego. Lecz i to nie bardzo było bezpiecznie po ogłoszeniu stanu oblężenia, tem bardziej, iż więcej skompromitowane osobistości rząd austrjacki na żądanie Moskwy wydawał, którzy bez żadnego sądu wydanych więźniów zaraz na granicy wieszali. Podobny fakt miał świeżo miejsce w Skale, miasteczku nadgranicznem o milę drogi od Ojcowa oddalonem, gdzie kilku wydanych przez Austrję powstańców podczas mojej bytności w Ojcowie powieszono.

Mając przykład z tych biedaków, a uważając to jakby za przestrogę dla siebie tem więcej, że paszport miesięczny już mi się kończył, udałem się do organizacji cywilnej, której reprezentantami byli tutaj kilku włościan, z prośbą, aby zechcieli mię przeprowadzić przez granicę. Dnia 3. maja 1864 roku gdy zmrok wieczorny zapadł, w towarzystwie dwóch przewodników włościan ruszyłem piechotą ku granicy.

Lud wiejski wzdłuż granicy nie był tak przychylny powstaniu, jak to miało miejsce w powiecie Kieleckim, gdzie był w ciągłej styczności z nami. Tutaj warty włościan utworzone w każdej wsi przez Moskali dopomagały im w łapaniu powstańców. To też w samym Ojcowie o mało nie wpadłem im w ręce: Aby się wydostać ze wsi, musieliśmy przechodzić koło takiej warty, złożonej z kilku chłopów; na ich zapytanie: „Stój, kto idzie!“ poczęliśmy przyspieszać kroku, oni poczęli biedz za nami, lecz nie żałując nóg dopadliśmy krzaków, gdzie w ciemności wieczornej byliśmy już bezpiecznymi. Noc była tak ciemną, że na parę kroków nie było nic widać; była to okoliczność bardzo dla nas sprzyjająca, lecz za to także i deszcz lał jak z cebra. Większą część drogi szliśmy lasem; tu nam szło jeszcze niezgorzej, lecz wyszedłszy

na pole, trzeba było brodzić powyżej kostek w błocie. Z pół mili od granicy zmuszeni byliśmy przechodzić w poprzek trakt krakowsko-olkuski, co było trochę niebezpiecznie, gdyż objeszczyki i kozaki włóczyli się ciągle po tym trakcie. Będąc może z kilkadziesiąt kroków od gościńca, usłyszeliśmy jakieś głosy i stąpanie po błocie kilku koni — był to patrol kozacki, który jechał drogą od komory w Szycach, w kierunku Olkusza; przycupnęliśmy cichutko w bruździe; niebawem Moskale zrównali się z nami i pojechali dalej.

Czekała nas jeszcze druga, nierównie niebezpieczniejsza przeprawa, niż ów gościniec; trzeba było koniecznie przechodzić koło wsi Szyc (komory granicznej), o jakie sto kroków od chałup, przy których zwykle stawała warta chłopska. Nie było tu żadnej drogi, lecz szliśmy na przełaj przez pole.

Marsz naszego nielicznego, bezbronnego hufca odbywał się w pewnym wojskowym porządku; ja maszerowałem w samym środku, stanowiąc główny korpus, awangardę o 4 — 5 kroków przedemną tworzył jeden z moich przewodników, a drugi w tem samem oddaleniu postępował w arriergardzie dla zabezpieczenia moich tyłów. Zbliżając się ku wsi ostrzeżono mię, abym jednego słówka nie wymówił, gdyż to najniebezpieczniejsze miejsce z całej naszej podróży, które gdy szczęśliwie uda nam się przebyć, z łatwością już dostaniemy się do przesmyku, „Panieńskiemi skałami“ zwanemgo.

Będąc już na wysokości chat, obok których musieliśmy przechodzić, na nasze nieszczęście psy we wsi poczuły nas obcych, a wyleciawszy ku nam, poczęły straszliwie ujadać. Na szczekanie psów dało się słyszeć trąbienie warty chłopskiej i głosy: stój! kto idzie? Na nieszczęście jednemu z moich przewodników moich wyrwało się

z ust niespodziane słowo: uciekajmy! co widać usłyszawszy wartownicy, poczęli krzyczeć: trzymaj! łapaj! trzymaj!

Pomknęliśmy z kopyta i biegliśmy z kilka minut... Wtem słyszę naraz przedemną plusk jakiegoś ciężkiego przedmiotu połączony z jękiem i w tejże chwili sam lecę w jakąś przepaść i padam na mego towarzysza, gramolącego się w wodzie, prawie równocześnie i drugi mój przewodnik biegnący z tyłu, czyni to samo, przygniatając nas obydwóch swoim ciężarem i wszyscy znaleźliśmy się w jakimś dole napełnionym wodą. Katastrofa ta byłaby komiczną, gdyby nie grożące nam niebezpieczeństwo od strony wsi; kilku bowiem ludzi, zapewne warta, w towarzystwie psów biegła ku nam, krzycząc na całe gardło: trzymaj! łapaj! Nie było czasu do namysłu, wydobywamy się z trudnością z przeklętej jamy i pomykamy dalej; ten co pierwszy upadł, utopił gdzieś w błocie swoją ogromną czapę na zawiasach. Biegniemy co sił ze dwieście kroków... Nagle mój towarzysz poprzedzający mię, zatrzymuje się, krzyknąwszy: „powoli"; nim jednak zdołał wymówić to słowo, ja nie mogąc się tak raptem zatrzymać w biegu, z powodu krótkiego oddalenia, z pędem uderzam swojem ciałem o niego i powalam o ziemię, a sam upadam, powtórnie dając nurka w wodę! Wpadliśmy znowu do jakieś jamy z tą tylko różnicą, że nie upadłem już na mego towarzysza, jak przedtem, lecz tuż obok, twarzą w sam środek kałuży błotnistej, trzeci z nas zdołał się jeszcze na czas zatrzymać nad przepaścią. Pogoń za nami ustała; przewodnik, który zgubił czapkę, chciał wracać się sam dla odszukania takowej i dopiero gdy obiecałem, że szkodę, jaką poniósł, wynagrodzę mu pieniężnie, zaniechał swego za-

miaru, zdecydowawszy się z gołą pałą maszerować dalej.

Zmoczeni, zabłoceni, po kwadransie marszu, dobiliśmy nareszcie do upragnionych „Pańteńskich skał". Nareszcie już granica! z taką niecierpliwością wyglądana... A jednak, gdym ją przekraczał, gwałtowny ból w sercu uczułem i łzy kroplami potoczyły się z powiek! Porzucam ukochaną Ojczyznę! lube moje strony, gniazdko moje rodzinne, wszystko i wszystkich! — wszystkich, których ukochałem, bez pożegnania, bez słowa pociechy, serdecznego uścisku dłoni... kiedy i czy ujrzę ich znowu? Czy kości niemłożę w ukochanej ziemi..., którą w tej chwili opuszczam może na zawsze!?

Czułem, że idę na tułactwo w świat nieznany, między ludzi obcych, bez świadomości, co z sobą poczną i gdzie los mnie rzuci! Jeden więcej między tysiącami wygnańców, świadczących o niesłychanej tyranii despoty, o znęcaniu się nad pokonanymi, o bezprawiach i gwałtach, dotąd w świecie nieznanych, nawet za słynnych czasów Tyberjuszów i Nerenów!!

Ileż gorzkiej prawdy w słowach poety:

Kraj który wśród świata
Był dręczon przez kata
Tak srodze, jak Polska w tej chwili?
Któż krople policzy,
Kielicha goryczy,
Któreśmy aż do dna spełnili?

Wróg puścił swe hordy
Na łupież i mordy,
Wiek starców — wstyd dziewic znieważa!
Wściekłość Mongoła
Nie wstrzymać nie zdoła,
Cześć grobów—ni świętość ołtarza!...

W dwa dni później, znalazłem się o kilka mil od granicy, w Gródku. Obywatel miejscowy p. Zaremba przyjął mię z prawdziwą polską serdeczną gościnnością. Straciwszy sam syna w powstaniu, odczuwał moją przykrą dolę i wraz z całą swoją zacną rodziną starali się o ile możności osłodzić mi i uprzyjemnić pobyt w ich domu. Szlachetni ci ludzie otaczali mię prawdziwie rodzicielską opieką, za co niech mi będzie wolno przynajmniej w ten sposób złożyć im serdeczne dzięki i niewygasłą wdzięczność wynurzyć.

W domu państwa Zarembów dowiedziałem się, iż Bosak od dwóch tygodni przeszedł granicę i ukrywa się w Krakowie.

Było to najlepszym dowodem ostatecznego upadku powstania.

W czasie pobytu mego w Gródku przybył do mnie urzędnik organizacji narodowej tutejszego okręgu z propozycją objęcia komendy nad świeżo sformowanym oddziałem kawalerji, składającym się z 70 koni, przeznaczonym do wkroczenia w województwo krakowskie. Dowódzca tego oddziału niejaki Niewiadomski, zachorował, ofiarowano mnie przeto wprowadzenie tego oddziału w granice Królestwa.

Podziękowawszy za położone we mnie zaufanie, odmówiłem, nie ukrywając faktycznego stanu rzeczy na linji bojowej; radziłem rozpuszczenie oddziału, gdyż wysłanie go do Królestwa nie miałoby innego celu, jak oddanie 70 młodzieży na rzeź Moskwie; nie wiem co w tym względzie uczyniono, zdaje mi się jednak, iż do mej rady się zastosowano.

Dłuższy pobyt w tych stronach, wobec zaprowadzonego stanu oblężenia w Galicji i W. Ks. Krakowskiem, narażał mnie na niebezpieczeństwo wyśledzenia i złapania przez żandarmerję, w następstwie czego czekałoby mię więzienie w

jednej z fortec austrjackich, lub co gorzej odstawienie do granicy i wydanie na łup Moskwie.

Zdecydowałem się więc wyjechać do Pragi.

Radzono mi abym wobec okoliczności, iż nie posiadam żadnego paszportu, jechał końmi aż na Śląsk i tam dopiero wsiadł do wagonu kolei żelaznej, na wszystkich bowiem stacjach kolejowych w Krakowskiem stoją posterunki żandarmerji, które ściśle bardzo przeprowadzają rewizje paszportów. Nie było prawie jednego dnia, aby na tych stacjach kogoś z powstańców nie aresztowano.

Nająwszy jakiegoś zaufanego żyda za cenę 50 złr. za przewiezienie mię, z dziesięć mil drogi i dostawienie żywego i bezpiecznego do stacji kolejowej w Dziedzicu na Szląsku, ranniutko w sam dzień Zielonych Świąt opuściłem Gródek.

W dwóch wsiach, przez które przejeżdżać byliśmy zmuszeni, warty chłopskie przy karczmach starały się nas zatrzymać zapytując o paszport: „mas pon pas?“

Kilka odlewanych batów przylepionych koniom, które ruszyły z kopyta, uwolniły mię od bliższej legitymacji, pokazując chłopom z daleka, jakiś świstek papieru w zamian żądanego paszportu.

Na przejeździe przez Wisłę stał posterunek żandarmerji, musiałem go zatem ominąć; furman mój sam pojechał na prom, mnie zaś przewiózł łódką przez rzekę jakiś znajomy współwyznawca mego towarzysza podróży; poczem już udałem się piechotą do pobliskiej wioski, zdaje mi się Smolic, leżącej na drugim brzegu Wisły.

Nikogo we dworze nie zastałem. Państwo byli na wizycie w niedalekiem sąsiedztwie.

Niebawem jednak na wiadomość o przybyciu jakiegoś nieznajomego w ich dom, nadje-

chała sama pani, młodziutka kobieta. Dowiedziawszy się kim jestem, w obawie, abym w przejeździe przez miasto Zator, którego niepodobna było ominąć, nie zwrócił na siebie uwagi żandarmów i nie był przez nich zatrzymanym, nie chciała pozwolić, abym jechał swoją najętą furą, lecz wynalazłszy mego żyda naprzód, była tyle dobrą i łaskawą, iż ofiarowała się sama odwieźć mię do pewnej wioski, aż dwie mile stąd odległej.

Para dzielnych szpaków zaprzężonych do eleganckiego wolaneika, uniosła nas dziarsko przez miasto, które przebyliśmy szczęśliwie bez zwrócenia na siebie jakiegokolwiek podejrzenia.

Nocleg, który wypadł mi w Oświęcimie w jakiejś ubocznej brudnej żydowskiej karczmie, nie bardzo miłem przyjemny.

Dla odwrócenia bowiem uwagi od siebie zmuszony byłem spać w stajni na słomie przy koniach, ogrzewając się wśród chłodu nocy ciepłotą żydowskiego ciała mego towarzysza podróży.

Nazajutrz rano dobiłem szczęśliwie do Dziedzica na Szląsku, gdzie wsiadłszy do wagonu, udałem się wprost do Pragi.

V.

Na tułactwie.

Przybywszy do stolicy Czech zaraz na wstępie samym, jadąc z dworca do miasta, spotkałem jednego z moich znajomych, który zaprosił mię do siebie w gościnę. Oprócz niego pomiędzy gromadką powstańców w Pradze internowanych, znalazłem paru kolegów z oddziału.

U Czechów wówczas jeszcze Polacy cieszyli się wielką sympatją; utworzył się komitet z samych krajowców złożony ku pomocy emigracji polskiej; potrzebującym udzielali wsparcia, wyrabiali miejsca chcącym pracować, więcej zaś skompromitowanym, którym groziło niebezpieczeństwo pozostania w Austrji, ułatwiali przejście granicy.

Muszę tutaj wspomnieć o niejakim p. Veselym, właścicielu browaru i kawiarni na Spálenej Ulice w Pradze, który wraz z całą swoją liczną rodziną w szczególny sposób demonstrował swoją sympatję dla Polaków. Wynalazł on sobie między emigracją, znajdującą się w Pradze, pewnego biednego chłopca B., a wziąwszy go do swego domu, otoczył wszelkiemi możliwemi wygodami aż aż do zbytku; z pewnością B. nigdy w domu własnym tego nie miał, co świadczyli mu jego zacni opiekunowie.

Ubrał go od stóp do głów, kupił mu wierzchowca, aby miał rozrywkę w jeździe konnej, a powóz był zawsze na jego rozkazy, gdy tego zażądał; prenumerował mu dzienniki polskie, abonował stale bilet do teatru, nadto codziennie przysyłał mu przy śniadaniu po dwa reńskie na tytoń i cygara.

Gdy po kilku miesiącach pobytu w domu państwa Veselych B. wyjechał do Włoch w celu wstąpienia do legionów polskich, o których formowaniu rozeszła się była fałszywa pogłoska między emigracją, cała ta zacna rodzina odprowadziła go na dworzec kolejowy, a dwie najstarsze córki państwa V. panny F. i M., sprzedawszy poprzednio wszystkie swoje biżuterje, wręczyły mu na drogę w prezencie od siebie tysiąc pare set złr.

Gdy jeden pupil pożegnał ich, wynaleźli sobie zaraz innego, niejakiego P., mego dobrego znajomego, u którego często bywając, miałem zaszczyt poznać bliżej tę szlachetną rodzinę.

Po dwumiesięcznym pobycie w Czechach, mianowicie w Pradze i Cieplicach, opatrzony w list polecający do hrabiego Karolyego, w towarzystwie mego kolegi, niejakiego J. L., oficera saperów z oddziału Chmielińskiego, udałem się do Pesztu.

Kolej z Pragi do Pesztu, choć to 3-cią klasą, jednak na nasze emigranckie kieszenie była bardzo kosztowna, a fundusze, jakiemiśmy rozporządzali, więcej jak szczupłe. Puszczanie się z podobnie małym kapitałem do kraju nieznanego, między ludzi zupełnie nam obcych, gdzie ani jednej osoby nie mieliśmy znajomej, przy braku nadto władania krajowym językiem, dowodziło co najmniej kompletnego braku doświadczenia z naszej strony; myśl podobna mogła się była

faktycznie wolą tylko w głowach dwudziestoletnich chłopców, jakimiśmy wtedy byli; to też odpokutowaliśmy dobrze za naszą odwagę i nieroztropność.

Przybywszy do stolicy Węgier, stanęliśmy w najbliższym dworcu kolejowego hotelu: „Zur Stadt Klausenburg," właścicielem którego był Niemiec, czy też żyd.

Na drugi dzień koło południa wyszliśmy na miasto szukać pałacu hr. Karoly'ego; znaleźliśmy go nareszcie, lecz powiedziano nam, że hrabia od dwóch tygodni wyjechał do kąpieli na lato, do Karlsbadu. Co tu począć, co z sobą robić wśród tak niespomyślnych okoliczności?...

Po naradzie wspólnej prosiliśmy sekretarza Karoly'ego, który mieszkał w jego pałacu, aby list polecający nas przesłał hrabiemu do Karlsbadu; nim jednak odpowiedź nadejdzie, postanowiliśmy cierpliwie wyczekiwać rezultatu naszego kroku. Odpowiedzi tej wyczekiwaliśmy cały pierwszy tydzień.

Fundusze nasze miały się ku schyłkowi. Konsekwencje naszego wyjazdu z Pragi przedstawiły mi się nagle w prawdziwie przerażających barwach. Nie było za co z Pesztu wyjechać.

Napisałem nareszcie do ojca, którego poprzednio nie uwiadomiłem wcale o wyjeździe mym do Pesztu, wyjawiając mu całe moje rozpaczliwe położenie, prosząc o wybawienie mię z tej niewoli węgierskiej, w którą dobrowolnie się oddałem. Odpowiedzi jednak nie mogłem się wcześniej spodziewać, jak za dziesięć dni — tymczasem właściciel hotelu żądał natarczywie zapłacenia przedłożonego rachunku.

Zdołaliśmy ułagodzić tę jego natarczywość, lecz z żołądkami trudniejsza była sprawa. Wówczas nie wiedziano jeszcze o doświadczeniach dr. Tannera i dwa dni, w ciągu których nie

w ustach nie mieliśmy, zrobiły fatalny wyłom w naszych organizmach.

Trzeciego dnia tego mimowolnego postu naszego, popołudniu udaliśmy się na codzienne miejsce naszej przechadzki. Gwałtowny głód nam dokuczał; zdawało się, iż przyjdzie zginąć głodową śmiercią.

Siedzieliśmy na ławeczce przy alei spacerowej na placu Elżbiety, wtem dźwięk rodzinnej naszej mowy obił się o uszy nasze, jakby iskrą elektryczną tknięci, zerwaliśmy się z miejsca, biegnąc w stronę, zkąd usłyszeliśmy słowa w tym czarującym nas języku, wygłoszone. Byli to dwaj chłopcy od siodlarza pana B. Polaka; zaprowadzili nas zaraz do swego pryncypała, który serdecznie bardzo nas przyjął, a co najważniejsze najpierw nakarmił. U pana B. poznaliśmy także p. Machnickiego (emigranta z 1848 r. z Królestwa, a obecnie trudniącego się krawiectwem i zarządem pałacu jakiegoś hrabiego), którego pan B. zaraz zaprosił do siebie, dla odbycia walnej narady co z nami począć.

Przypadkowe poznanie dwóch tych dobrodziejów naszych uratowało nas od głodowej śmierci, lub jakiego rozpaczliwego kroku, a co najmniej od więzienia austrjackiego. Jakże ważną rolę w życiu ludzkiem odgrywa przypadek.

Uspokojeni powróciliśmy do hotelu. Tu czekała nas nowa niespodzianka: Tylko cośmy weszli do swego pokoju, otwierają się drzwi i wchodzi właściciel hotelu, oświadczając nam z drwiącą miną, iż przyszły oczekiwane pieniądze.

— Chwała Bogu!—wykrzyknąłem, skończyła się nareszcie bieda nasza!

— Przysłano panom ogromną kwotę, rzecze gospodarz z uśmiechem złośliwym —bo aż pięć złr.

Struchlałem nie wiedząc co to wszystko ma znaczyć, wręczył mi nareszcie list, rozwiązujący tę dla mnie niezrozumiałą zagadkę.

Mieliśmy w Pradze dobrego naszego kolegę i przyjaciela P., z którym korespondując, donosiliśmy mu o naszem smutnem położeniu. Poczciwy ten chłopiec mając bardzo małe i tem jeszcze dzielił się z nami, przysyłając nam 5 zł. Tłumaczyłem gospodarzowi, iż to nie są spodziewane pieniądze, lecz zupełnie inne, ten jednak nie dając mi już wiary, oświadczył kategorycznie; iż jeżeli w tej chwili nie uiścimy należytości hotelowej, odda nas w ręce policji.

Na takie ultimatum nie było innej rady, jak korzystając ze świeżo zabranej z naszymi rodakami, udać się do nich z prośbą o pożyczkę lub przynajmniej porękę za nas w hotelu; skoro jednak dla urzeczywistnienia tego zamiaru chcieliśmy wyjść na miasto, gospodarz zagradzając nam drzwi swoją osobą oświadcza, iż nas nie puści z obawy nie zobaczenia nas więcej.

Ręka świerzbiała. Miałem ochotę porachować zęby szwaba czy żyda, lecz obawa policji zmroziła moje zapędy i skończyło się na kompromisie z gospodarzem; towarzysz mój miał iść za pieniądzmi, ja zaś ofiarowałem się pozostać na miejscu jako zakładnik.

Z tej arcyprzykrej kolizji wydobył nas poczciwy p. Machnicki, złożywszy potrzebne pieniądze na zapłacenie rachunku hotelowego.

Dalszy czas naszej niewoli węgierskiej przepędziliśmy w domu pp. Machnickich, gdzie doznawaliśmy szczerej, serdecznej gościnności.

Jakoś w tydzień po tych tragi-komicznych wypadkach w hotelu, utrzymałem nareszcie upragniony list z domu, z potrzebnemi funduszami do dalszej drogi. Ojciec życzył sobie, abym się udał do Francji w celu dalszego kształcenia się.

Popaliwszy nieniężne długi i pożegnawszy naszych dobroczyńców, wsiedliśmy na statek i Dunajem popłynęliśmy do Presburga. W Bernie rozłączyłem się z moim przyjacielem i współtowarzyszem niedoli; on podążał do Cieszyna na Szląsk, ja zaś przez Pragę do Bawarji.

Zabawiwszy w Monachium kilka dni dla obejrzenia niektórych osobliwości znajdujących się w jego murach, wyjechałem w kierunku Szwajcarji; — w drodze zjechałem się z partją expowstańców jadących z Drezna, skąd na wezwanie żądanie Rosji, rząd saski ich wydalił.

Lindau, gdzieśmy wysiedli, miasteczko bawarskie, położone nad samem jeziorem Bodeńskiem, ostatnia stacja kolejowa, odznacza się pewną osobliwością, której przejechawszy większą część krajów Europy nigdzie więcej nie widziałem.

Dojeżdżając do dworca kolejowego w celu ominięcia zdaje się góry, trasa kolejowa schodzi łukiem w jezioro i idzie wodą na przestrzeni dwóch może wiorst drogi; szyny nie wiele wznoszą się nad wodą tak, iż jadąc ma się złudzenie, jakoby pociąg toczył się po samej powierzchni wód.

Przenocowawszy w Lindau, na drugi dzień rano w towarzystwie rodaków jadących z Saksonji wsiedliśmy na statek szwajcarski. Gdym się znalazł na pokładzie statku wolnego państwa, po raz pierwszy od czterech miesięcy, to jest od czasu opuszczenia oddziału, swobodnie, całą piersią odetchnąłem.

W Pelsce, gdym zdążał ku granicy w celu przejścia tejże, wisiała nademną groza stryczka, w Austrji i Węgrzech perspektywa więzienia w fortecy lub wydania Moskwie; w Bawarji aczkolwiek nie groziło mi już żadne niebezpieczeństwo, pomiędzy Niemcami jednak byłem jakiś nie

swój; tutaj dopiero, odbiwszy od brzegu, wypłynąwszy na jezioro, uczułem się zupełnie wolny i swobodny.

W początkach naszej wodnej podróży, niebo się zachmurzyło, czarne kłęby chmur zawisły nad nami, zerwała się burza, deszcz lunął jak z cebra, jezioro się sfalowało, a bałwany wody bijąc o statek rozległy się jak piorunem; nie zadługo jednak chmury pędzone gwałtownym wichrem znikły gdzieś w dali i słońce zajaśniało w całej pełni swego blasku; piękny widok na około ukazał się oczom naszym: z tyłu we mgle niknąca Bawarja, z prawej strony jak okiem zasięgnąć nieprzejrzane, podobne morzu, wody jeziora, którego brzegi prawe, ubarwione gęsto rozsianemi, bielejącemi zdala wioskami i miasteczkami, wchodzącego tu klinem księztwa Badeńskiego; po lewej wierzchołki niebotycznych skał Tyrolskich gór, sterczące po nad pasmem obłoków, w kształcie białych kłębów dymu, a przed nami w oddali w amfiteatrze góry uroczej Szwajcarji.

Podróż nasza statkiem trwała blisko trzy godziny, choć przejeżdżaliśmy jezioro w najwęższem miejscu. Czas ten jednak przeleciał mi niepostrzeżenie, gdyż oko zajęte ciągle było coraz to nowemi przecudownemi widoki.

Około godziny 1szej po południu przybiliśmy do brzegów Helwecji, wylądowaliśmy w miasteczku Romanshorn. Na brzegu oczekiwało przybycia statku dwóch członków komitetu Szwajcarskiego, którego celem było niesienie pomocy przybywającej do Szwajcarji emigracji polskiej.

Panowie ci zaprosili nas na obiad, poczem opatrzywszy biletami jazdy na kolej, wyprawili do Zurychu.

Nie będę opisywał czarujących widoków, co chwila to innych i coraz to piękniejszych, jakie-

mi w czasie całej mej podróży przez Szwajcarję, oko dość zachwycać się nie mogło.

Nie śmiałbym się porywać nawet na opisanie tych prawdziwych cudów natury, które już tyle razy w tak żywych barwach odmalowane były piórem najzdolniejszych pisarzy i wyspiewane w pieśniach poetów.

Na drugi dzień przybycia mego do Zurychu obchodzono uroczyście rocznicę unii Polski i Litwy.

W program uroczystości wchodziło naprzód nabożeństwo w kościele, na które zgromadzili się wszyscy Polacy, znajdujący się wówczas w Zurychu w liczbie blizko 300.

Spotkałem tu kilku moich znajomych, jak: Jenerała Bozaka, pułkownika Kurowskiego, kapitana Moroka, tego samego, który po mnie objął komendę szwadronu, pannę Pustowójtów i kilku jeszcze innych.

Jenerał zaliczając mnie w poczet nieżyjących, ucieszył się bardzo, ujrzawszy mnie i przywitał serdecznie, poczem zaprosił do siebie, gdzie miałem szczęście poznać i jego żonę.

Spotkanie się z Morokiem, z którym tyle niebezpieczeństw i przykrych chwil przebyliśmy razem, uradowało mię bardzo; od niego dowiedziałem się o moich dawnych kolegach i losie całego mego szwadronu, co mię naturalnie mocno interesowało. Morok opowiedział mi koleje szwadronu, jakie tenże przechodził od czasu mego rozstania się z nimi.

W ostatniej bitwie, jaką musiał stoczyć, będąc ze wszech stron otoczonym w okolicach Przećborza, ostatni oddział zbrojny na całej ziemi polskiej został do szczętu zniesionym. Morok sam, mając konia zabitego pod sobą i broniąc się jakiś czas jeszcze na piechotę, bę-

dąc obstąpiony przez kozaków, dostał się do niewoli.

Przyprowadzono go do Włoszczowy, gdzie osadzono w więzieniu. Nie przyznawał się naturalnie, iż jest Morokiem. W celu wydobycia z niego tego wyznania zaraz na wstępie śledztwa wsypano mu sto kozackich knutów; a gdy to nie odniosło pożądanego skutku, zawieszono śledztwo w zamiarze przewiezienia go do Kielc i oddania do godnych rąk oprawcy-renegata, majora Bentkowskiego, z obietnicą porcji stu batów dziennie, dopóki się nie przyzna.

Od tej jednak ostatniej, a w następstwie i szubienicy, uwolnili go zacni okoliczni włościanie, ułatwiając mu ucieczkę. Potrafiwszy skomunikować się z nim w więzieniu, umówili dzień ucieczki. Był to dzień jarmarkowy, w którym miasteczko roiło się masą okolicznego ludu. Wydostawszy się cudownym sposobem o szarej godzinie z więzienia, Morok wpadł do sieni jakiegoś domku w bocznej uliczce, gdzie na niego dwóch włościan oczekiwało; ogolił przygotowaną na ten cel brzytwą, na sucho i po ciemku ogromne wąsiska i brodę, i przebrany w chłopską białą sukmanę, dosiadłszy dostarczonej mu chudej szkapy, wyjechał z miasta. Udając pijanego przejechał rogatkę, gdzie stojący na warcie kozak na pożegnanie złajawszy go porządnie w niedobieranych wyrazach po swojemu za tak późny powrót z jarmarku i do tego w stanie nietrzeźwym, przylepił mu kilka odlewanych batów.

Po dwóch tygodniach ukrywając się po lasach, dostał się nareszcie, idąc ciągle pieszo, do Krakowa, skąd przybył do Szwajcarji.

Po nabożeństwie udaliśmy się wszyscy na statkach do Bendlikonu, położonego nad samem jeziorem, pół godziny drogi od Żurychu, dla oddania owacji naszemu jenerałowi. W parku przed

pałacem Władysława hr. Platera, uszykowani po wojskowemu w dwa szeregi oczekiwaliśmy jego przybycia. Niebawem ukazał się Bosak w towarzystwie gospodarza prezydenta kantonu Zurychskiego, wyższych oficerów i kilku dam polskich. Po krótkiej stosownej do okoliczności przemowie hr. Platera, ofiarowaliśmy jenerałowi w dowód uznania jego zasług i naszej czci dla niego, sztandar o barwach narodowych przesłany na ręce hrabiego Platera przez Polaków zamieszkałych w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Na zakończenie uroczystości, wzniesiono toasty na cześć nieszczęśliwej ojczyzny i gościnnej Szwajcarji, oraz za zdrowie ukochanego naszego wodza, który w niecałe siedm lat później, poniósłszy szlachetne życie swoje w ofierze dla niewdzięcznej Francji, padł śmiercią walecznych na placu boju od kuli pruskiej, pod Dijon dnia 21. stycznia 1871 r. w randze jenerała brygady armji Wogeskiej, dowodzonej przez Garibaldiego.

Zwidziawszy osobliwości pałacu hr. Platera, i śliczną okolicę Rapperschwilu, późno wieczorem powróciliśmy do Zurychu.

Po dwutygodniowym pobycie w tem mieście udałem się przez Solurę, miejsce dłuższego pobytu i śmierci Kościuszki, do Neufchatel, gdzie dla załatwienia pewnej, przez ziemcję narodową w Zurychu poruczonej mi sprawy, zmuszony byłem cztery dni zabawić. Tutaj zastałem niewielu bardzo Polaków.

Siedząc pewnego dnia w towarzystwie rodaków w miejscu spacerowem przytykającem do samego jeziora, zachwyciłem się uroczym widokiem grupy gór z drugiej strony jeziora położonych, po nad któremi srebrzyły się z dala promieniami zachodzącego słońca oświecone wierz-

chołki wiecznie śniegiem i lodem pokrytej góry Mont-Blanc.

Od tego widoku oderwały moją uwagę dwie młode kobiety zbliżające się ku nam aleją; zaintrygowały mię one swoim strojem, wyróżniającym się wśród patrzących ubiorów spacerujących Szwajcarek: były bowiem żałobnie ubrane, w czarnych suknich i takichże welonach. Strój ten przypomniał mi naszą żałobę narodową. Na szyi miały zawieszone czarne krzyżyki ze złamanym krzyżem.

Były to Szwajcarki, mieszkanki tutejszego miasta, które będąc parę lat guwernantkami w Królestwie Polskiem, tak pokochały nasz kraj i Polaków, iż ubierały się zawsze tak jak w Polsce się wówczas nosiło, to jest w żałobie i wyuczywszy się naszego ojczystego języka, pomiędzy sobą zawsze tylko po polsku rozmawiały. One to wytworzyły w Neufchâtel taką sympatię dla Polaków, iż emigracja przybyła tutaj przyjęta była z największą gościnnością i serdecznością do tego stopnia, iż utrzymywano ich kosztem miasta.

Nietylko Zurych i Neufchâtel, ale w ogóle wszystkie Kantony Szwajcarji, niemieckie, francuskie i włoskie, wszystkie bez wyjątku mały rywalizowały na wyścigi w okazywaniu hołdu i okazywaniu swej sympatji dla nieszczęśliwej naszej ojczyzny, przyjmując na swej ziemi jej synów, nieszczęśliwych tułaczy, ostatniemi wypadkami z rodzinnego gniazda wyrzuconych, z najwyższą gościnnością i niechlubną serdecznością.

Wszystkich, którzy znaleźli się w rozpaczliwem położeniu, nie posiadając zasobów własnych, nie mających pomocy z kraju rodzinnego, utrzymywano kosztem rządu; tym znów, co tylko przejeżdżali przez Szwajcarję w chęci udania się

do Francji lub Włoch, a również nie posiadali środków materjalnych, i zmuszeni byli korzystać z ich pomocy, dawano wolne bilety jazdy na kolej, a nadto po kilkadziesiąt franków gotówką na koszta podróży. Chcącym pracować dawano sposób do życia, umieszczając ich po fabrykach i rozmaitych zakładach przemysłowych, często nawet ze szkodą krajowców, których wydalano z fabryk, aby zrobić miejsce dla Polaków. To też wielu tułaczy pozostało na zawsze w Szwajcarji.

Każdy z nas, który tylko wstąpił na tę gościnną ziemię, kto tylko otarł się o tych zacnych i szlachetnych ludzi, musiał unieść w swej pamięci niezatarte wspomnienia chwil spędzonych między nimi, a w sercu dozgonną przyjaźń i wdzięczność dla zacnych obywateli Rzeczypospolitej Helweckiej.

Po czterech dniach pobytu w Neufchâtel, gdy wybierałem się w dalszą podróż, zażądałem rachunku w hotelu, który przez ten czas zamieszkiwałem, gdzie również i stołowałem się, jakież było moje zdziwienie jednak, gdy gospodarz oświadczył mi, iż nic odemnie się nie należy i że rachunek mój jest już wyrównany, od niego dowiedziałem się, iż ma rozkaz od mera miasta, aby od Polaków, zatrzymujących się u niego, nie brał za nic pieniędzy, lecz przedkładał rachunek władzy przełożonej miejskiej, która wszelkie należytości z kasy publicznej zapłacić się obowiązuje.

VI.

Dokończenie.

Z prawdziwym żalem opuszczałem ten tyle nam sympatji i współczucia okazujący naród, którego serca równie piękne jak i ziemia, którą zamieszkują. W dwadzieścia godzin po przejeździe granicy szwajcarsko-francuskiej znalazłem się w centrum najwyższej cywilizacji — lecz zarazem największego zepsucia — w stolicy świata — w Paryżu.

W dwa dni później, mając listy rekomendacyjne do księcia Władysława Czartoryskiego, zostałem uczniem szkoły wyższej polskiej, przygotowującej do specjalnych szkół technicznych na Montparnasse.

Tutaj zastałem jednego tylko kolegę z oddziału, lecz za to mnóstwo kolegów ze szkoły politechnicznej w Puławach. Oryginalny widok przedstawiała ta szkoła; było nas przeszło stu razem jako internów. Od wyrostków szesnastoletnich do ludzi czterdzieści kilka lat wieku liczących, sami powstańcy, od prostego żołnierza do pułkownika. Była to szczególna mięszanina tak pod względem wieku, jak i stopnia wykształcenia, uczniowie wyższych klas gimnazjalnych, studenci uniwersytetu w Petersburgu, Moskwie, Kijowie, Warszawie, Krakowie, politechniki w Puławach,

byli profesorowie szkół, oficerowie z wojska rosyjskiego, ukończeni inżynierowie wszystko to teraz jako koledzy na wspólnych ławach szkolnych, połączeni jedną ideą dobrze zrozumianą, potrzebą nauki, ślęczący nad książką, łamiący sobie głowę dawno już wywietrzałemi z pamięci dowodzeniami elementarnej arytmetyki, geometrji, algebry itd.

Dyrektorem szkoły był wówczas — profesor sławny Niewęgłowski; do nauczycieli należały same powagi, jak jenerał Władysław hr. Zamojski, Jan hr. Działyński, Plichta, Kalinka, Janszkiewicz — prezesem zaś i głównym protektorem Władysław ks. Czartoryski.

Szkoła Montparnasse była na tych samych prawach, co wszystkie szkoły, licea i pensjonaty francuskie; stanowiła jak te ostatnie internat, instytut zamknięty. Byliśmy pod kluczem zamknięci jak w więzieniu; w dzień powszedni nie wolno było nikomu wychodzić do miasta, chyba za specjalnem pisemnem pozwoleniem dyrektora szkoły, na mocy której to przepustki złożonej u concierge'a brama z ryglów swoich dopiero się otwierała. We czwartek tylko po zanurych kursach i po drugiem śniadaniu o 11tej godzinie rano i w niedzielę po nabożeństwie byliśmy wolni i każdy mógł jak mu się podobało, czasem swoim rozporządzać. Jednak o 9tej wieczór trzeba było być już z powrotem w szkole, wszelkie szóżenia notowane były w oddzielnej na ten cel przeznaczonej księdze, a formalności te musiały być zachowane gdyż inspekcja rządowa i na naszą szkołę rozciągniętą była.

Oryginalny był widok jak w niedzielę kilkudziesięciu nas pod nadzorem tak zwanych pionów, maszerowaliśmy parami w porządku do kościoła Pantheonu.

Dla Francuzów widok tej kawalkaty dzieci i starych brodaczów, golowąsów i szpakowa-

tych już lub żyjących, był widać ciekawy i zabawny, gdyż zazwyczaj gapili się za nas maszerujących.

Wszyscy dobrowolnie oddaliśmy się w te więzy szkolne. Ciężką i przykrą była ta niewola, z upływem czasu jednak mając tylko za wyłączny cel naukę, powodowani poczuciem obowiązku, przywykliśmy powtórnie do ławek szkolnych. Silnym bodźcem było dla nas przeświadczenie, że wytrącony oręż z ręki zastąpić mamy z korzyścią dla ukochanej ojczyzny rozszerzeniem wiedzy, kształceniem umysłów i serc naszych, cichą ale obfitą w skutki walką na polu cywilizacji.

Pokolenie, do którego należałem, spełniło swoją misję dziejową. Przypadło mu w udziale podnieść raz jeszcze krwawy protest przeciw bizantyńskiemu despotyzmowi, spełnić czarę goryczy, i czarę tę spełniło aż do dna. Daj Boże, aby krew, która w latach 1861 — 1864 zbroczyła się ziemia polska, była krwią ostatnią rzuconą na szalę odkupienia.

Nie żałujemy tej krwi, bo jesteśmy przekonani, że to obfity posiew i plony wyda obfite, nie żałujemy ofiar poniesionych ojczyznie w dani bośmy spełnili tylko nasz obowiązek; nie bolą krzywdy doznane od obcych.... lecz boli potępienie, bolą policzki niezasłużone, któremi nas właśni rodacy tak hojnie obdarzyli.

Są ludzie, którzy nie znaleźli słowa jednego na usprawiedliwienie ostatniego ruchu zbrojnego w Polsce, potępiając ryczałtem wszystko i wszystkich.

Zdaje mi się, że nie będę w błędzie twierdząc, iż wielu z potępiających należało w onym czasie do organizacji narodowej, jako bardzo czynni a przynajmniej bardzo głośni członkowie.

Wówczas nie widzieli nic zdrożnego w konspiracji.

Nie robimy bynajmniej tym panom zarzutu iż konspirowali tak długo, jak długo mogli b e z p i e c z n i e konspirować. Jesteśmy raczej zdania, iż zmiana przekonań nastąpiła wskutek opłakanych następstw, jakie powstanie styczniowe sprowadziło. Zresztą po co nam wchodzić w pobudki, wolno każdemu uznać się winnym nierozważnego postępowania, uderzyć się w piersi i powiedzieć sobie: ha! zgrzeszyłem! żałuję za grzechy moje i.... zmieniam przekonanie! Ale poządzać o złą wiarę, szarpać poczciwe imię ludzi, którzy pozostali wierni swemu przekonaniu, przenosząc śmierć na polu walki, lub na rusztowaniu, Sybir, katorgi, wygnanie i przykre koleje tułaczego życia, nad rejteradę; bezcześcić bodajby cały naród dla usprawiedliwienia nagłej zmiany frontu: to już za daleko idąca.... pokuta!

I jakież to zarzuty spotykają organizację ruchu 1863 roku?

Oto, odrzuciwszy na bok żółć i błoto, jako zbyt niepolemiczne artykuły, zredukować można wszystkie zarzuty do frazesów, iż powstanie styczniowe same ujemne rezultaty wykazuje, że było dziełem stronnictwa, które zdołało wyzyskać patrjotyczny zapał niedoświadczonej młodzieży. Prawda, iż kraj został zrujnowany materjalnie, odebrano nam język w szkole i urzędach, lecz i bez powstania przyszłoby było do tego samego, gdyż rząd moskiewski od wielu lat systematycznie dążąc w tym kierunku, czekał tylko lada sposobności, aby upozorować swoje postępowanie. Prawda, że ponieśliśmy olbrzymie straty w ludziach, że straciliśmy kwiat młodzieży... Do trzydziestu tysięcy padło na placu boju, zawisło na szubienicach, pomarło w więzieniach i lochach

podziemnych lub na wygnaniu, albo w inny sposób wymordowane zostało; stokilkadziesiąt tysięcy wywieziono na Sybir, a kilkanaście tysięcy wyszedłszy na tułactwo, rozproszyło się po wszystkich końcach świata. Straty ogromne, to prawda, lecz ta poważna liczba ofiar dowodzi właśnie, iż ruch nasz nie miał tak ograniczonych rozmiarów; a byłby się dziesięćkrotnie rozszerzył, gdyby nie zdrady i prywaty nikczemne, gdyby nie osobiste widoki i liczne nadużycia, paraliżujące świętą sprawę w samym zarodku, gdyby nareszcie nie zawczesne wywołanie ruchu zbrojnego bez dostatecznego przygotowania.

Zapał był ogromny, lecz cóż? szybko ostygał widząc nieład i nieporadność u samej góry, mogący nieraz uważanym być za zdradę.

Na pierwsze hasło powstania, masy się ruszyły, lecz nie otrzymawszy na punktach zbornych przyobiecanej broni, rozchodziły się rozczarowane.

Pamiętam, pierwszej nocy powstania dnia 22. na 23. stycznia 1863 r. z samych Puław stanęło nas na punkcie zbornym 560 studentów szkoły politechnicznej i przeszło stu włościan z sił okolicznych; ci ostatni byli tylko uzbrojeni w swoje własne, przekute na prosto kosy, reszta miała tylko kije, lub zwykłe siekiery, trzy dubeltówki, jeden pałasz (i to bez pochwy), i dwa pistolety; tak uzbrojeni mieliśmy atakować 700 celnych strzelców moskiewskich i pół baterji armat, stojących w Końskiej-Woli.

Ruch ten był ogólnym, rozszerzonym na wszystkie warstwy społeczeństwa, widzieliśmy bowiem w szeregach obok siebie walczących: magnata i wieśniaka, rzemieślnika i urzędnika, szlachcica, jego oficjalistę i służącego, słowem,

przedstawicieli od najwyższego do najniższego szczebla hierarchii społecznej.

Zyskaliśmy w części przynajmniej zatarcie się różnic społecznych, zrównanie się wszystkich stanów, nad niezgodą których tak gorąco i wytrwale wrogowie nasi pracowali, podburzając wiecznie jednych przeciwko drugim i siejąc nieufność i waśń pomiędzy braćmi jednej matki.

A uwłaszczenie włościan czyż nie jest dziełem powstania styczniowego?

Moskale wprawdzie wprowadzili je w wykonanie, lecz zmuszeni do tego zostali pierwotnym rozkazem Rządu Narodowego, znoszącym pańszczyznę.

Nie było jednego powiatu na całej ziemi polskiej w granicach dawnej Rzeczypospolitej, zostającej pod zaborem moskiewskim, gdzieby krew polska się nie przelała. Zabory Pruski i Austrjacki choć nie wystąpiły czynnie w swoich granicach, połączyły się jednak z nami, organizując oddziały na swojem terytorjum, zasilając bronią, mundurami, pieniędzmi i ludźmi swoimi. Dowiodły zatem łączności z nami.

Przelaniem krwi na wspólnym placu boju, walcząc obok siebie w tych samych szeregach, zespoliliśmy się na nowo duchem i sercem i dowiedliśmy światu, który uważał nas już za trupa, iż pomimo stuletniej okrutnej niewoli, żyjemy, żyć pragniemy, że stanowimy jedną nierozdzielną całość, jeden naród, który praw swych historycznych się nie wyrzekł, i.... da Bóg, nie wyrzeknie się nigdy!

BIBLIOTEKA GŁÓWNA

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
179752
Biblioteka WSP Kielce
0115485

Z drukarni „Dziennika Polskiego.“